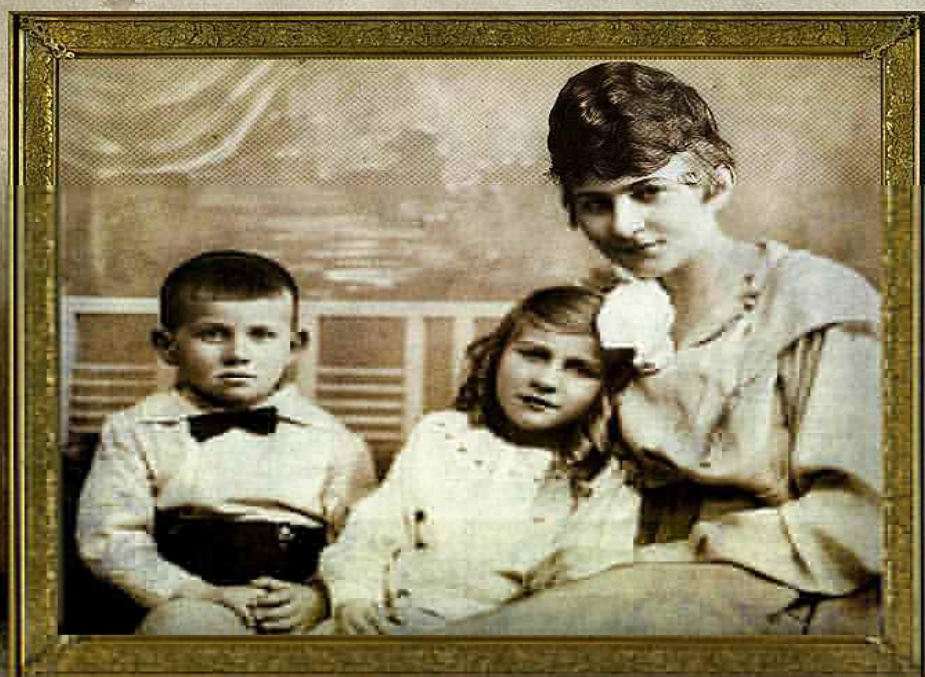


iris may

losy rodziny
polsko-niemieckiej

DZIECI GOSI

PO KTÓREJ JESTEŚ STRONIE?



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Copyright © by Iris May

Copyright © for the Polish translation by Artur Kożuch

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2015

Zdjęcia Autorki na okładce: Copyright © by Jorinde Gersina

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Redakcja: **Justyna Jakubczyk**

Korekta: **Agnieszka Brach**

Skład graficzny: **Justyna Jakubczyk**

Projekt okładki: **Ilona Gostyńska-Rymkiewicz**

Fotografie wykorzystanie w książce (Roman May II na dachach Poznania, okładka – Gosia z dziećmi, zdjęcia do drzewa genealogicznego rodziny Mayów): prywatne zbiory Autorki

ISBN: 978-83-65223-34-0

Słupsk 2015

Wydawnictwo Dobra Literatura

zamowienia@literaturainspiruje.pl

www.dobraliteratura.pl

www.literaturainspiruje.pl

Skład wersji elektronicznej: **Tomasz Szymański**

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Preludium](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Drzewo genealogiczne rodziny Mayów](#)

[Nota biograficzna](#)

[Przypisy](#)



Nieustraszony – Roman II May na dachach Poznania, 1928 rok

Książka powstała na kanwie prawdziwych wydarzeń i przedstawia prawdziwe osoby. Kreacja postaci, fabuła i dialogi są dziełem fikcji literackiej.

To, jacy my jesteśmy – mam na myśli to, czy jesteśmy ludźmi przyzwoitymi, czy świniami – w dużym stopniu zależy od całego szeregu rzeczy, które się za nami ciągną, to znaczy od tego, kim był nasz dziadek, pradziadek i prapradziadek, kim byli nasi rodzice, jak żyli. Natomiast to, jak my żyjemy, a więc czy siedzimy po tej, czy po tamtej stronie stołu, to jest w dużym stopniu zależne od przypadku.

Krzysztof Kieślowski

Preludium

„W życiu możesz stracić wszystko, nie trać tylko ducha!” – zdanie to powtarzał mój tato za każdym razem, gdy zapodziałam kolejną parasolkę. Za młodu puszczałam jego gadanie mimo uszu. Teraz wiem, że miał całkowitą rację.

W życiu straciłam wszystko, co było bliskie memu sercu. Niemniej jednak ciągle jeszcze jestem.

Ich bin ein Berliner – że tak powiem, posiłkując się Kennedym. Dokładniej mówiąc: jestem reinickendorfczanką, bo Reinickendorf to nazwa mojej dzielnicy. Poza jej granice nigdy się nie wypuszczam, nie mam ani auta, ani konia.

Jak brzmiało takie ładne powiedzonko? *Kiedyś byłam piękna i młoda. Pozostało mi z tego jeno „i”.*

Mimo wszystko naprawdę nieźle się trzymam. Stuknęło mi już 96 lat, a chodzę trzy piętra w górę i trzy w dół – niech no ktoś spróbuje mi dorównać! Nie żebym miała jakieś inne wyjście – w mojej kamienicy brakuje windy.

Na ulicę, przy której mieszkam, mówią z przekąsem „Bulwar Emerycki”, bo tutejsi lokatorzy w większości są równie zgrzybiali i zgarbieni jak ja. Jednocześnie jest tak, jakby wszystko miało miejsce nie dalej jak wczoraj – wojna, miłość, młodość i błędy, które popełniłam. Bruk na mojej ulicy to przeżytek. Kiedy go wymienią? Teraz nie uświadczy się już czegoś takiego. Dzięki Bogu nie zakładam niebotycznych czólenek, jak kiedyś miałam w zwyczaju. Teraz mam na nogach kaptcie ze sklepu ortopedycznego. Co za wstrętne trepy! Ale przynajmniej obcasy nie grzęzną mi w szczelinach między kocimi łbami.

Z biegiem czasu musiałam powykreślać prawie wszystkich krewnych i znajomych w grubym notesie z adresami. Niewielu dożyło tak podeszłego wieku jak mój. Gdy znów ktoś umierał, nad jego nazwiskiem pisałam czarnym atramentem słowa: „Nie żyje od...” oraz datę, żeby przypadkiem nie wykręcić z przyzwyczajenia jego numeru, bo zdarza mi się być zapominalską.

Powoli zbliża się pora na uregulowanie kilku spraw. W przyszłym tygodniu muszę pójść do notariusza. Chciałabym najlepszej przyjaciółce zapisać w spadku parę groszy, które po sobie zostawię. I perły.

Gdzie, do licha, wetknęłam te wszystkie dokumenty? Grzebię w sekretarzyku. Nic. Tylko wyblakłe fotografie i stare listy. Na samym wierzchu zakurzone pakiety akcji, które dzisiaj nie mają żadnej wartości. Dla mnie zawsze były za ciężkie, żeby je znieść do kontenera na makulaturę, w przeciwnym razie dawno bym je wyrzuciła. W pewnym momencie przestałam oglądać się wstecz. Kogo interesują jeszcze stare dzieje? Wszystkie te poźółkle szpargały!

Chociaż znalazłoby się kilka ładnych zdjęć. Choćby Kasimira. Ach, te oczy... Jego wzrok wciąż mnie przeszywa. Już wiem, dlaczego nie powiesiłam na ścianie żadnej jego fotografii. Było, minęło.

A niech to szlag! Hola, hola, dama tak się nie wyraża.

W takim razie: *merde!* Kasimir...

Rozdział 1

Była ni to chłodna, ni ciepła niedziela na wiosnę 1909 roku. Rodzice znowu zostali zaproszeni na kawę do swoich znajomych, tych nudziarzy Schulzów. Mnie zaś, osiemnastoletniemu wtedy podlotkowi, nie chciało się z nimi iść.

– Wolę się wybrać razem z Gertrude na Bulwar pod Lipami – oświadczyłam mamie i tacie.

– A cóż tam po was?

– Trochę sobie pospacerujemy, porozglądamy się.

– Ty i twoja siostra... Obie was tylko do uciech ciągnie! – gderwała mama. – A nie mogłybyście choć raz nie robić nic?

Tato martwił się raczej o naszą cześć.

– Gdy będziecie mijać jakiegoś mężczyznę, musicie spuścić wzrok. Nie przystoi zawierać znajomości na ulicy. Wiecie o tym, prawda? Macie tu pięć marek. Siadźcie sobie u Bauera w saloniku dla pań i uraczcie się tortem.

„Salonik dla pań? Jeszcze czego! – pomyślałam. – Równie dobrze mogłabym się kisić w domu!”.

Wzięłam pieniądze, podziękowałam i razem z Gertrude skierowałyśmy się prościusienko do „Café Kranzler” na rogu Friedrichstraße, ponieważ na zewnątrz był tam podest, na którym można było siedzieć przy stolikach. Odstrzeliłyśmy się w białe odświętne sukienki uszyte przez mamę, z dużymi białymi kokardami nad pupą. Miałam ciasno zasznurowany gorset. Chcesz, by komuś dech zaparło, sama musisz ledwo dychać.

Siedziałyśmy sobie w słońcu już dobrą chwilę, kiedy spostrzegłam, że

jakiś mężczyzna impertynencko się na mnie gapi. Obserwowałam go kątem oka. Kiedy zawołał kelnera, żeby uścić rachunek, uderzył mnie w jego głosie lekki akcent. Czyżby Rosjanin? Z wyglądu przypominał raczej brytyjskiego oficera. W każdym razie był to dżentelmen: subtelne rysy twarzy, blond włosy, nienaganne maniery.

Gdy ponownie zmierzył mnie wzrokiem, wysnęło mi się:

– Co, nie widział pan berlinianki pełną gębą?

Była to jedna z odzywek, za które mama z pewnością dałaby mi po twarzy. Nie palnęłabym tego głupstwa, gdybym tylko patrzyła w ziemię.

Młodzieniec oblał się rumieńcem, widać poczuł się przyłapany na gorącym uczynku. Ale wnet odzyskał fason, podszedł do nas i lekko się uklonił.

– Panie wybaczą. Czy wolno mi się przedstawić? Kasimir May. Imię nadano mi na cześć Kazimierza Wielkiego, króla Polski.

– Margarete i Gertrude Leitloff – odszczeknęłam się. – Nazwisko nadano nam na cześć mamy i taty.

Nie cierpię pozerów. Muszę jednak przyznać, że widok, jaki miałam przed oczami, nadzwyczaj przypadł mi do gustu. Mój wzrok wędrował z dołu do góry i z góry na dół. Chłopiec jak z obrazka – buty wypucowane na błysk, starannie zaczesane włosy z przedziałkiem i śnieżnobiały trzyczęściowy garnitur, który wyglądał na drogi.

Kasimir nie odniósł się do mojej bezczelnej uwagi. Rzuciwszy okiem na wyskrobane do czysta talerzyki, zapytał:

– Czy mógłbym odwiedzić panie do domu? Mój automobil stoi tuż przed wejściem.

Do stu piorunów! Ten to dopiero miał tupet – żeby nas tak zażyć z mańki!

– Czemu nie? – zgodziłam się bez zastanowienia, a Gertrude siedziała z otwartą buzią.

Owszem, czułam się trochę nieswojo, ale cóż miało nam grozić ze strony

tego całego Kasimira? Z wyglądu przypominał raczej wyrośniętego chłopaka, którego ktoś wcisnął w garnitur.

Kiedy kręcił korbą pod maską samochodu, próbując zapuścić silnik, natychmiast krew napłynęła mu do twarzy. W mig się połapałam: do pracy fizycznej to on nie przywykł.

– A zaciągnął pan aby hamulec ręczny? – spytałam.

Skinął głową. Z pewnością był pod wrażeniem, że umiałam mu zadać tak fachowe pytanie. Tymczasem tylko czytałam o tym w „Berliner Illustrierte Zeitung”¹. Dziś nie sposób sobie nawet wyobrazić, jak wielu automobilistów zostało przejechanych przez własny samochód, bo przy ręcznym rozruchu silnika zapomnieli podnieść rączkę hamulca.

W drodze do Reinickendorfu cała nasza trójka była w szampańskim nastroju. Kasimir kilka razy odwrócił się do tyłu, świdrując mnie spojrzeniem. Miał poważne oczy. Jasnobłękitne o szarawym odcieniu. Jakie myśli chodziły mu po głowie?

– Z tyłu jest prawie tak przytulnie jak na kanapie w naszym salonie – powiedziałam w pewnej chwili.

Plotłam trzy po trzy, bo cóż mówić, jak się kogoś nie zna.

– To Horch Phaeton 11/22 PS – objaśnił Kasimir. – Dotąd wyprodukowano niewiele egzemplarzy. Potrafi przejechać nawet siedemdziesiąt kilometrów w ciągu godziny.

– Śmiało, niech pan pokaże – zachęciłam go.

Nie trzeba mu było powtarzać. Kiedy nagły zryw wcisnął nas w tylne siedzenie, obie zapiszczałyśmy. Kasimirowi widocznie tak się to spodobało, że posunął się jeszcze dalej i zaczął jechać zygzakami.

– Zaraz zwymiotuję – jęknęła Gertrude.

Ze względu na moją siostrę dalej Kasimir jechał już zwyczajnie. Nie dość, że Gertrude dawała popalić, to jeszcze potrafiła zgasić człowieka.

– Mieszkamy w Reinickendorfie, pokażę panu drogę. Cały czas na północ, na łono natury, to już na dobrą sprawę opustoszała okolica, tfu,

okolica. Skoro jednak mowa o lisie, trzeba panu wiedzieć, że nazwa Reinickendorf bierze się od lisa Reineke, no, tego słynnego lisa przechery. Mamy go zresztą w herbie...

Kasimir znosił ze stoickim spokojem potok moich słów. Zmusiłam się, żeby na chwilę zamknąć usta, i zamiast paplać, zaczęłam się do niego uśmiechać. On odwzajemnił mój uśmiech.

– To tutaj – zawołałam. – Wittestraße 7, ten domek w kolorze skorupki jajka.

– Ładny – stwierdził Kasimir.

– To jeden z domów, które przemysłowiec Borsig kazał wybudować dla swoich pracowników. Tata ma u niego posadę prokurenta.

Z pewnym ociąganiem Kasimir wydukał „aha”. Puściłam do niego oko:

– Borsig, odlewnia żeliwa. Każde dziecko o tym wie, nie?

Kasimir kiwnął głową. Wsiadł i pomógł nam się wydostać z wozu. Drzwi otworzyła mama. Ujrzawszy obcego mężczyznę, natychmiast chciała na nas nakrzyczeć. Kasimir wybawił nas z tej kłopotliwej sytuacji.

– Łaskawa pani, pozwoliłem sobie odwiedzić do domu obie pani córki. Całkiem poważnie zanosilo się wszak na deszcz.

Mama założyła na nos binokle i nieufnie otaksowała promiennie błękitne niebo, na którym nie było ani jednej chmurki.

– Pani pozwoli, doktor Kasimir May z Poznania.

To zapewne tytuł doktora uspokoił mamę. Nagle na jej twarzy pojawił się nawet cień uśmiechu.

Na pożegnanie Kasimir wetknął jej do ręki wizytówkę i czym prędzej odjechał. Przez chwilę odprowadzałyśmy wzrokiem biały tuman kurzu, który wzniecił na drodze pokrytej wapnem.

– Co to za harmider? – chciał wiedzieć tata, zagłębiony w swoim stojącym w bawialni fotelu z wysokim oparciem. Mama odczytała mu, co widniało na kartoniku.

– To był niejaki... doktor Kasimir May, przedstawiciel Fabryk

Chemicznych, kantor przy Wilhelmplatz, Poznań. Odwiozł do domu Gertrude i Grete.

Tato wyjrzał przez okno i stwierdził:

– Brzmi to całkiem, całkiem. No ale!

„No ale” oznaczało, że dostałyśmy szlaban na dwa tygodnie. Tato wyjaśnił to tak: „Was naprawdę nie można nigdzie puścić samopas”. I dodał: „Nie życzę sobie, żeby ludzie wzięli was na języki”.

Jakieś trzy tygodnie później – zdążyłam już prawie zapomnieć o całym zajściu – rozległ się dzwonek u drzwi. Kiedy zobaczyłam stojącego przed nimi Kasimira, niemal padłam z wrażenia. Jak można być tak nieprzyzwoicie przystojnym?

A on tylko stał i uśmiechał się szeroko.

– Miałem kilka spraw do załatwienia w mieście. Chciałbym panią zapytać, czy nie miałaby ochoty na małą przejażdżkę po okolicy.

I to jeszcze jaką miałam ochotę! Serce aż mi podskoczyło. Wszystko składało się idealnie: mama była na zakupach, tato w pracy. A Gertrude miała z łaski swojej trzymać głębę na kłódkę.

Zaproponowałam Kasimirowi wyprawę nad jezioro Tegel, gdzie można było wypożyczać łódki. Wiosłując po jeziorze, raz za razem na mnie patrzył. W końcu wydusił z siebie:

– Musiałem panią zobaczyć. Pani jest taka... *je ne sais pas quoi*.

To był nie lada komplement! Gdyby tylko powiedział to po niemiecku: pani jest taka... no-sam-nie-wiem-jaka, uznałabym go za skończonego safandulę. Po francusku wyrażenie to zabrzmiało niebywale szarmancko.

Francuski, oprócz kultury fizycznej, był w szkole jedynym przedmiotem, który mnie pociągał. Praktycznie rzecz biorąc, stanowił tajny kod używany w wykwińtym towarzystwie. Przechodzono na ten język, chcąc porozmawiać o sprawach intymnych lub drażliwych. Nie rozumiał go prosty lud, przede wszystkim służba. Jasne więc, że francuski bardzo mnie interesował. Chciałam zobaczyć, co się kryje za fasadami. Chciałam poznać sekrety arystokracji.

Mniejsza z tym, historia z Kasimirem ciągnęła się niemal przez dwa lata. Obecnie jest nie do pomyślenia, że można się było do siebie zbliżyć w tak ślimaczym tempie. Ale jak wszyscy młodzi ludzie wierzyliśmy, że należy do nas wszystek czas świata.

Kasimir przyjeżdżał po mnie cichaczem w odstępie dwóch, trzech tygodni. Udawaliśmy się w jakieś ustronne miejsce, gdzie nikt nas nie znał, i szliśmy na spacer. Był to uzasadniony środek ostrożności, ponieważ naówczas bardzo łatwo było okryć się złą sławą. Mieliśmy niewiele czasu na nasze *tête-à-tête*, bo mama na zrobienie sprawunków potrzebowała góra trzech godzin.

Wiedliśmy bardzo kulturalne rozmowy, ale Kasimir nie mógł nawet przypuszczać, co naprawdę się ze mną działo. Podczas gdy opowiadał mi o fabryce, którą miał kiedyś odziedziczyć, w głowie kołatała mi jedna myśl: „Kiedy on mnie wreszcie pocałuje?”. Gdy przystawał i wpatrywał się w moje oczy, serce waliło mi jak młotem. Powzięłam mocne postanowienie, że zachowam rozsądek, i uzbroiłam się na wypadek, gdybym musiała bronić swojej cnoty. Kasimir w każdej chwili mógł spróbować przekroczyć granice przyzwoitości. Był jednak zbyt dobrze wychowany, żeby posunąć się do zakazanego czynu. Ku mojemu niezadowoleniu.

Nocą często leżałam, nie mogąc zasnąć i fantazjując o tym, jak dojdzie do naszego zbliżenia. Marzyłam, by mnie wszędzie dotykał i pieścił dłońmi. Chciałam, by okrywał moje ciało pocałunkami. Pragnęłam czuć na sobie jego gorący oddech.

Pewnego dnia Kasimir przyniósł mi bukiet krwistoczerwonych róż. Gdzieś w środku rozsadzała mnie radość, bo nie mógł wysłać bardziej jednoznacznego sygnału. Pomimo to jedynie czule wybąkałam:

– Och! Ślicznie dziękuję.

Z dumą wyjaśnił mi, że sam je wyhodował:

– To moja ulubiona odmiana: *Bouquet de Marie*. Nawożę je regularnie naszym najbardziej chodliwym produktem. Superfosfat z lignosulfonianem magnezu, ot i cały sekret. Dlatego mają tak duże płatki.

Guzik mnie obchodziły nazwy różnych odmian róż, które Kasimir sadił

w swoim ogrodzie. W jeszcze mniejszym stopniu interesowało mnie, czym je nawoził. Przyglądałam się tylko jego dumnie wygiętym wargom i długim szczupłym palcom, życząc sobie z utęsknieniem, by mnie nimi dotykał.

Ale on ciągnął dalej:

– W różach lubię to, że ich płatki są miękkie jak aksamit. Mógłbym się w nich zanurzyć.

Wziął jeden z pąków, który jeszcze nie całkiem rozkwitł, i go otworzył. Następnie wetknął do środka nos i z przymkniętymi oczami wciągał woń róży.

Patrzyłam na niego jak urzeczona. W wyobraźni byłam tym kwiatem. Kasimir głaskał mnie swoimi smukłymi palcami, rozchyłał moje usta językiem, obejmował mnie, a potem rozpinał sukienkę. Zalewały mnie na przemian fale gorąca i zimna.

Ponieważ jednak niczego podobnego nie uczynił, moja tęsknota stawała się coraz większa i coraz bardziej nieznośna.

Gdy spacerowałam u jego boku, co chwilę spoglądałam na niego i potajemnie chłonełam jego zapach. Byłam w stanie wyłowić nutę bergamotki lub olejku cytrusowego. Ani śladu męskiego potu. Wszystko w nim było *comme il faut*: zawsze nosił śnieżnobiałe koszule z wysokimi usztywnionymi kołnierzykami. Nie zdarzyło się, by jego włosy były nieufryzowane. Nie miał nawet spoconych dłoni. Szukałam czegoś, co ukazywałoby go bardziej kruchym czy też niedoskonałym. I nic. Jawił mi się półbogiem. „Tyle że nikt nie może zawsze być przyzwoity i bez skazy”, mówiłam sobie.

Co się z nim działo, kiedy nocą leżał sam w łóżku? Czy się dotykał? Czy czasami przeglądał się w lustrze i podziwiał swoją urodę? Nie, na pewno nie pozwalał sobie ani na jedno, ani na drugie.

Czyżby jednak nigdy nie odczuwał potrzeby zbliżenia się do mnie? Przecież głęboko w duszy i jego musiały przepełniać tęsknoty i namiętności. A może uczucia były tylko z mojej strony?

Pewnego popołudnia Kasimir odwiózł mnie do domu. Zajrzeliśmy sobie głęboko w oczy.

– Na razie – powiedział po polsku.

Kilka dni później zadzwonił do nas w pewne niedzielne przedpołudnie. Miałam jeszcze na sobie koszulę nocną. „Czego on może chcieć? – przemknęło mi przez głowę. – Przecież dobrze wie, że w niedzielę wszyscy są w domu”.

W rzeczy samej Kasimir pomyślał właśnie o tym. Chciał porozmawiać z moim ojcem. Obaj oddalili się do salonu, gdzie odbyli poważną rozmowę. Kiedy stamtąd wyszli, wyglądali na zadowolonych. Kasimir odmalował przed tatą swą świetlaną przyszłość i podał kilka liczb związanych z Fabrykami Chemicznymi. Za kilka lat miał podobno objąć stanowisko szefa. Tytuł doktora nauk chemicznych, jak wyjaśnił, trzymał już w kieszeni.

Kasimir poprosił o moją rękę z zachowaniem wszelkich należytych form. Mnie o nic nie potrzebował pytać, czy mówią więcej niż słowa.

Tato promieniał. Kasimir i ja trzymaliśmy się za ręce. Tylko mama znowu była skwaszona. Zawsze znajdowała dziurę w całym.

– A co na to wszystko pańscy rodzice? Chętnie bym ich poznała, zanim pan porwie naszą Margaretkę!

Na czole Kasimira pojawiła się zmarszczka gniewu.

– Łaskawa pani, chciałbym jej zwrócić uwagę, że jestem osobą w pełni wieku! Mam 29 lat i doprawdy nie potrzebuję już zgody matki! Ojciec zaś zmarł dawno temu.

– A tam, dajże spokój, Wando – łagodził sprawę ojciec, więc mama zamilkła.

Oczywiście wszystko musiało potoczyć się w zgodzie z utartym porządkiem. Wieść o naszych zaręczynach roztrąbiliśmy wszem wobec, zamieszczając anons w gazecie i śląc rozliczne kartki okolicznościowe. Kasimir ofiarował mi pierścionek zaręczynowy z okazałym diamentem. Od tej pory mógł się już u nas pokazywać, a sąsiedzi nie mieli powodu szeptać za naszymi plecami.

Zbliżał się dzień rozstania z moim dotychczasowym życiem pilnie strzeżonej córeczki.

Tacie łzy stanęły w oczach.

– Rozumiem, że muszę ją panu oddać – powiedział do Kasimira. – Tylko niech mi pan dobrze dba o Margaretkę! Dopiero co skończyła 18 lat, i na życiu zna się tyle co nic.

Kasimir złożył stosowną obietnicę. A ja byłam pobudzona. Już niedługo będę razem z Kasimirem zgłębiać niezbadane i dotychczas zakazane rewiry. Wyobrażałam sobie, jak to będzie żyć ze sobą jak mężczyzna z kobietą i co będzie ze mną wyczyniał, gdy zostanę jego żoną z prawdziwego zdarzenia. Fantazje te nie pozwalały mi nocą na spokojny sen. Dni do mojego wyjazdu dłużyły się w nieskończoność.

Rozdział 2

Z niesamowitym napięciem czekałam, aż wreszcie będę mogła poznać świat Kasimira. Do dwóch walizek zapakowałam najniezbędniejsze rzeczy i pojechałam koleją do odległego o trzysta kilometrów Poznania.

Kasimir czekał na mnie na dworcu. Kolejny raz byłam prawdziwie olśniona jego aparycją. Nosił trzyczęściowy garnitur. Na powitanie pocałował mnie prosto w usta. *Mon Dieu!* Ten pocałunek miał w sobie to coś. Dla osób postronnych wypadł nieco zbyt długo i zbyt intymnie. „No, no, no”, zgał nas konduktor. Kompletnie go zignorowaliśmy.

W pierwszej kolejności zawieźliśmy mój bagaż do mieszkania Kasimira. Z uwagi na nasz ślub wynajął mieszkanie w mieście: Poznań, Kronprinzenstraße 112. Siedem pokoi na dwustu metrach kwadratowych. Do tego duży balkon wychodzący na wewnętrzny dziedziniec, na którym zieleniły się palmy i drzewka pomarańczowe. Byłam pod ogromnym wrażeniem, ale przecież nie wszyscy musieli o tym wiedzieć.

– Ciut chyba za duże – zakpiłam.

– Poczekaj tylko! Jak pojawią się dzieci i służba domowa, inaczej będziesz śpiewać – odgryzł się Kasimir.

A więc to było nasze nowe królestwo! Z rozkoszą myślałam o tym, w jaki sposób nadam mu własny rys. Pomiędzy poszczególnymi pokojami znajdowały się wielkie przesuwne drzwi, które można było poukrywać w ścianach, tak że tworzyły się długie amfilady. Bardzo przypadła mi do gustu kuchnia: ani śladu nafty, zupełnie inaczej niż u nas w domu! Za pomocą przekręcanego kontaktu można było „zapalić” elektryczne żarówki z włóknami węglowymi.

– Ależ tu nowocześnie! – zawołałam.

– To także jedno z pierwszych mieszkań, w których zainstalowano aparat telefoniczny – tłumaczył mi Kasimir.

Jednak najbardziej zakochałam się w prześlicznej chłodziarce, ozdobionej drewnianymi intarsjami z motywem kwiatowym. Do kuchni przylegała słuźbówka, którą na razie zamierzałam wykorzystywać w charakterze pokoju gościnnego.

– Tymczasowo będę jeszcze nocował u mojej matki – oświadczył Kasimir.
– Dopóki nie weźmiemy ślubu.

– Aha – odparłam.

Co za rozczarowanie! Kasimir zawsze przestrzegał cholernych norm. Potem udaliśmy się na długą przechadzkę po mieście.

– Wygląda tu całkiem jak u mnie – uznałam.

Nie sposób było przeoczyć, że Poznań należał do Rzeszy Niemieckiej. Gdzie tylko spojrzeć – niemieckie sklepy. Pruscy bohaterowie użyczyli ulicom i placom swoich nazwisk: cesarzowa Augusta Wiktoria, Hardenberg, Blücher – i cała reszta, jakkolwiek się nazywali. W miejscu, gdzie obecnie stoi budynek uniwersytetu z gigantycznym pomnikiem Mickiewicza, znajdowała się akademia cesarska ze statuą Bismarcka. Zaraz za nią wznosił się pełen przepychu zamek.

– Kto w nim mieszka? – pytałam.

– W zamku cesarskim? My, poznaniacy, mówimy na niego warownia. Nikt w nim nie mieszka. Wasz Wilhelm wydał na niego pięć milionów marek. Zeszłego lata cała rodzina cesarska przyjechała w otwartych samochodach na uroczystość inauguracyjną. Jaki ścisk panował na ulicach! Nawiasem mówiąc, widziałem cesarza z bliska. Otóż przybył on nazajutrz, by osobiście odebrać paradę oddziałów w naszym garnizonie.

Kasimir pałał zachwytem.

– Naszym garnizonie? – zaciekałam się.

– Nie opowiadałem ci o tym? Jestem oficerem rezerwy.

– A co to dokładnie oznacza dla naszego pożycia, Kasimirze?

– Cóż, tyle że raz na jakiś czas będziesz musiała się beze mnie obejść. Kilka razy do roku przychodzi wezwanie na musztrę. Znajdziesz mnie wtedy na placu ćwiczebnym albo w kasynie oficerskim. Ćwiczenia jeździeckie i strzeleckie w gronie kompanów – mam ubaw po same pachy! Czasem noszę się z zamiarem, żeby zostać oficerem zawodowym.

– Ach tak – bąknęłam nieco zaskoczona. W końcu który mężczyzna nie bawi się myślą o karierze wojskowej?

– Czyli w ubiegłym roku widziałeś z bliska Wilhelma II. Wydał ci się sympatyczny? – kontynuowałam.

– Czy ja wiem – odrzekł Kasimir. – Głos ma donośny i gromki. Wychwalał Poznań pod niebiosa. Rozpływał się w zachwytach nad zamkiem cesarskim i całą nowo powstałą dzielnicą rezydencjalną. Ale od tej pory po nim ani widu, ani słyhu.

– On po prostu dużo podróżuje. W jego przypadku skrót I.R. nie oznacza Imperator Rex, tylko „Intensywnie w rozjazdach” – klarowałam. – Wiesz co, my, berlińczycy, i tak woleliśmy Wilhelma z brodą. Wilhelm I nie był takim chwalipiętą.

W taki sposób wtedy się wypowiadałam. Nie byłam ani jakoś strasznie wiernopoddańcza wobec cesarza, ani specjalnie krytyczna, a już na pewno nie byłam rewolucjonistką. Ot, miałam swoje sympatie i antypatie.

Następnego ranka towarzyszyłam Kasimirowi w drodze do jego kantoru przy Wilhelmplatz.

– Oto centrum gospodarcze Poznania – wyjaśnił mi.

Kiedy mijaliśmy konny pomnik cesarza Fryderyka III, rzuciłam:

– Że też postawili mu tutaj posąg! Wymownością to on nie grzeszył, a na tronie nie utrzymał się nawet sto dni.

Ale Kasimir widział wszystko zupełnie inaczej:

– Nie jego wina, że był chory. Poza tym był dobrym dowódcą armii oraz mecenasem nauki i sztuki. A to, że pokonał Francuzów, przysłużyło się

naszej gospodarce.

– Na tych sprawach to już się kompletnie nie znam – skwitowałam.

Na chwilę zaszliśmy do kawiarni „Hohenzollern” przy Wilhelmplatz, żeby się nieco posilić. Była ona przynajmniej równie elegancka jak „Café Kranzler”. Tutaj także można było usiąść na zewnątrz i obserwować spacerowiczów. Ale mieliśmy niewiele czasu. Musiałam odprowadzić Kasimira do jego biura, które znajdowało się po sąsiedzku.

– Czy to wszystko? – zapytałam, zobaczywszy jego biuro po raz pierwszy. Czoło Kasimira znów przecięła ta gniewna zmarszczka.

– Dziecino – powiedział. – To tylko biuro reprezentacyjne. Budynki fabryki znajdują się w Starołęce, na przedmieściach Poznania. Kiedyś był to podmiejski teren rekreacyjny, a po niemiecku nazywał się Luisenhain.

– Ktoś przecież musi doglądać fabryki.

– Moja pani matka mieszka tuż obok, jeśli cię to ma uspokoić. Może tam pójść, kiedy jej się żywnie podoba, i ma baczenie na wszystko.

– Pokażesz mi tę fabrykę?

– Wszystko w swoim czasie.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie. Odkąd byliśmy zaręczeni, całowaniu się nie było końca. Pocałunki działały na mnie osobliwie. Powodowały mrowienie w okolicy żołądka, które rozchodziło się w dół, docierając do miejsca między moimi nogami. Czyżbym była płochą dziewczyną? Przypuszczam, że tak.

– A teraz muszę się brać do pracy – powiedział Kasimir raptownie.

Potem wcisnął mi do ręki stumarkowy banknot.

– Matka zaprosiła nas na kolację. Będą tam też moje siostry, więc kup sobie coś ładnego do ubrania! Przyjdę po ciebie o dwunastej.

Zrozumiałam: pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz i nie wolno go zepsuć. Wprawdzie nie suknia zdobi człowieka, ale jak cię widzą, tak cię piszą!

Nareszcie miałam ją poznać: Helenę Marię May, z domu Kratochwill,

matkę Kasimira. Podejmowała nas w swoim wytwornym miejskim mieszkaniu przy Mühlenstraße 9.

Specjalnie na tę okazję zrobiłam zakupy u Kałamajskiego. Matka Kasimira miała się przekonać na własne oczy, jak bardzo mogę być elegancka. Ale też jak bardzo byłam godna szacunku. Swoje miedziane loki ujarzmiłam za pomocą niezliczonej ilości spinek. Zdecydowałam się założyć zapinaną pod szyję jedwabną suknię w kolorze pistacjowym i rozłożysty, choć skromnie przyozdobiony kapelusz.

Gdy dotarliśmy na miejsce, na powitanie zdjęłam jedwabną rękawiczkę i podałam dłoń Helenie. Z zachowaniem doskonałych form, jak mniemałam.

Zamiast jednak uścisnąć mi rękę, Helena zapytała:

– *Bonjour, mademoiselle. Vous avez eu un bon voyage?*

– *Bien sûr* – odparłam. – *Le train arrivait ponctuellement!*

W głowie się nie mieści! Właśnie usiłowała wprawić mnie w zakłopotanie swoją francuszczyzną! Najwyraźniej jednak to ja zdobyłam pierwszy punkt.

Zajęliśmy miejsca przy długim owalnym stole nakrytym białym adamaszkowym obrusem. U szczytu stołu zasiadała Helena. Jej prezencja peszyła mnie. Cała była odziana w czerń, a na jej grubo ciosanej twarzy widniały ciemne brwi, spod których baczenie mnie obserwowały szaroniebieskie oczy lśniące pomiędzy przymrużonymi powiekami. Gdyby miała krótkie włosy i nosiła garnitur, spokojnie uszłaby za mężczyznę.

Nakryto wystawnie do stołu. Wypolerowane na połysk ciężkie sztucce ze srebra nosiły inicjały: H.M. Od śnieżnobiałego obrusu wytwornie odcinała się porcelana miśnieńska z szerokim złożonym brzegiem. Podobnie zdobione były kryształowe kieliszki i salaterki.

Jakże się cieszyłam, że poznam siostry Kasimira. Roiliam sobie, że staną się moimi nowymi powiernicami i sojuszniczkami. Koniecznie chciałam uciąć z nimi pogawędkę. Tylko o czym?

O, choćby o tym obrazie na ścianie! Był to olejny portret nadnaturalnej wielkości, ujęty w złożoną ramę, całą w zawijasy, który przedstawiał

postawnego młodzieńca z wilhelmińskim wąsem i wspaniałymi kędziorami. Postać ta wbijała w obserwatora dumne i przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

– Kto to jest? – zapytałam, wskazując na mężczyznę.

– Na obce osoby nie pokazuje się gołym palcem. Nikt tego pani nie wpoił w dzieciństwie? – zbesztła mnie Helena.

Po krótkiej pauzie dorzuciła:

– Doktor Roman May, mój zmarły małżonek. To on był założycielem Fabryk Chemicznych.

Wolałabym, żeby siostry Kasimira opowiedziały mi co nieco o swoim ojcu: jaki był, czy za nim tęsknią, na co umarł. Ale mówiła jedna jedyna osoba: Helena.

– Wie pani, kwiat wyrwany z rodzimej gleby już nigdy nie rozkwitnie tak pięknie jak kiedyś – stwierdziła, nie patrząc na mnie.

Zrozumiałam jej przesłanie: miałam wracać tam, skąd przybyłam.

– Być może ma pani rację – odparłam najśłodszy głosem, na jaki mogłam się zdobyć. – Ale ojczyzna zawsze jest tam, gdzie jest nasze serce. W moim przypadku tam, gdzie jest Kasimir.

– Ka-zi-mierz! – poprawiła mnie Helena, że aż zaświstało. – On ma na imię Kazimierz. Ci pruscy impertynenci wszystko tutaj zniemczają. Ale, moja droga, kij zawsze ma dwa końce. A pani jak się nazywa?

– Margarete Wanda Luise Leitloff. Bliscy mówią na mnie Grete albo Margaretka.

Helena popatrzyła z odrazą. Siostry, niby to urażone, spuściły wzrok, a ja spiekłam raka.

– Margarete, powiada pani. A zatem od dziś: Małgorzata.

Przy stole zapadła martwa cisza. Słyszeć było jedynie odgłos wahadła w dużym stojącym zegarze. W swojej bezradności popatrzyłam na Kasimira, lecz on unikał mojego spojrzenia.

Usiłowałam odgadnąć myśli jego sióstr: Stefki, Haliny, Romany i

Stanisławy. Jednak zbyttnio starały się nie dać po sobie poznać jakichkolwiek emocji. Rzuciło mi się w oczy, że każda z sióstr May miała wydatny podbródek. Tato zawsze powiadał, że znamionuje on ludzi energicznych, którzy potrafią postawić na swoim.

Siostry miały na sobie zbyttnowne bluzki przystrojone brukselskimi koronkami i sznury pereł. Siedziały sztywno, jakby połknęły kij, a układny uśmiech na ich twarzach był niczym wryty dłutem. Nie dało się nawiązać z nimi kontaktu wzrokowego, ponieważ albo spuszczały oczy, albo zwracały je nabożnie ku Helenie.

Tylko Stefka uśmiechnęła się do mnie w którymś momencie, by dodać mi animuszu. Była najstarszą z sióstr Kasimira i żoną rolnika, który dzierżawił od pewnego hrabiego majątek ziemski w Runowie nieopodal Poznania.

Chwilę przed podaniem deseru przydarzyła mi się wpadka: ze zdenerwowania upuściłam łyżeczkę. Już miałam się schylić, by ją podnieść, kiedy Helena ostro mnie zgańała:

– Proszę się nawet nie ważyć! Nie będzie mi tu pani używała brudnych sztućców!

Srebra stołowe trzymano w kredensie tuż za moimi plecami. Zauważyłam to, kiedy szykowano wszystko do posiłku.

– Szybciutko wezmę sobie nową łyżeczkę – powiedziałam. – Wiem, gdzie...

– To zajęcie dla służącej – ucięła mi Helena w pół zdania. – Niech pani poczeka, aż przyjdzie i przyniesie pani czyste sztućce.

Zastosowałam się do jej polecenia, chociaż na widok świeżych truskawek, które uśmiechały się do mnie z salaterki, ciekła mi ślinka. Zanim służąca przyniosła łyżeczkę z komody w salonie, pozostali zdążyli już dawno zjeść swoje porcje. Kiedy zaczęłam wsuwać sobie do ust truskawki, niecierpliwe spojrzenia pięciu kobiet wbijały się we mnie niczym szpilki. Musiały czekać, dopóki nie skończę, żeby można było uprzątnąć ze stołu. Staralam się jeść z jak największą klasą i jak najszybciej. Pomimo to wydawało mi się, że upłynęła cała wieczność, zanim opróżniłam swoją miseczkę. Truskawki równie dobrze mogły być grudami ziemi, w ogóle nie

czułam ich smaku.

Po deserze byłaby w sumie świetna okazja do nieco mniej wymuszonej pogawędki z siostrami Kasimira. One jednak pożegnały się zaskakująco szybko, nie odezwawszy się do mnie ani słowem.

Chciałam natychmiast wracać. Zasłaniając się więc migreną, poprosiłam Kasimira, żeby mi dotrzymał towarzystwa w drodze do domu.

– Czy mogę iść? – zwrócił się do matki, która skinęła głową obruszona. – Jutro o ósmej rano porozmawiamy w kantorze.

Dopiero wtedy Kasimir otoczył mnie ramieniem.

– Chodź, odprowadzę cię – powiedział.

Z Mühlenstraße na Kronprinzenstraße było raptem parę kroków.

– Co ci jest? – dopytywał, kiedy znaleźliśmy się sam na sam.

– Nic, jestem tylko okropnie zmęczona. Już sama ta historia z imionami...

– Czemu? Małgorzata brzmi całkiem ładnie, nie sądzisz?

– To o wiele za długie. Moi przyjaciele nie mówią na mnie Margarete, tylko Grete.

– Zdrobnienie od Małgorzata to Gosia. Mnie się podoba. Jest krótsze niż Margarete i brzmi bardziej miękko niż Grete.

– Wszystko mi jedno. Możesz na mnie mówić Gosia – odburknęłam. – Kasimir, dlaczego nie stanąłeś w mojej obronie?

– Ach, moja matka przywykła decydować o wszystkim i za wszystkich. Otwarta konfrontacja z nią zwyczajnie nic nie przyniesie. Co się tyczy ciebie, dopiąłem swego. Ślub się odbędzie.

– Tak między nami, co ona ma do mnie?

– Wolalaby, żebym ożenił się z bratanicą fabrykanta Cegielskiego. Takie małżeństwo byłoby jej w smak.

– A ta bratanica pewnie ci nie leżała?

- Cegielszczanka? Deptała mi w tańcu po nogach.
 - Z mojej strony ci to nie grozi.
 - Na pewno? – droczył się ze mną Kasimir. A potem znowu spoważniał. – Matka ma problem także z tym, że jesteś Prusaczką.
 - Dlaczego? Przecież tutaj też są Prusy.
 - Nie dla mojej matki. Dla niej Polska nadal istnieje. Tylko znajduje się pod pruskim zaborem.
 - Nigdy nie patrzyłam na to pod tym kątem. Powiedz, czy twoja matka zawsze taka była?
 - Po nagłej śmierci ojca stała się bardzo twarda. Miałem wtedy siedem lat.
 - Jakim człowiekiem był twój ojciec?
 - Bohaterskim – odparł Kasimir bez chwili wahania. – Jednym z tych, którzy wszystko robią, jak trzeba.
- Zdziwiłam się, bo nagle tak posmutniał, jak gdyby dźwigał na barkach brzemię całego świata. Tymczasem dotarliśmy do naszego domu. Do drzwi wejściowych pozostało zaledwie kilka stopni, bo mieszkaliśmy w belétage’u.
- A cóż bohaterskiego zrobił? – pytałam dalej, kiedy już weszliśmy do środka.
 - To długa historia. Usiądź w fotelu – nakazał mi Kasimir i zaczął opowiadać: – Mój ojciec walczył o wolność już jako szesnastolatek.
 - Jaką wolność? – patrzyłam, nie rozumiejąc ni w ząb.
- Kasimir głęboko zaczerpnął powietrza.
- Cóż, w takim razie muszę chyba zacząć od Adama i Ewy. W 1795 roku Polska zniknęła z mapy Europy, wiesz? Rosja, Prusy i Austria dokonały jej rozbioru. Rosjanie i Prusacy, jako zaborcy, tak dawali w kość, że co rusz dochodziło do powstań. Strzelali do każdego, kto stanął im na drodze. Na przykład w 1830 urządzili taką jatkę, że nasz ukochany Szopen, przebywający wtedy na emigracji, z krwawiącym sercem usiadł do fortepianu i skomponował słynną „Etiudę rewolucyjną”.

– Hm, ale to było dawno temu – zauważyłam.

Wolałabym, żeby Kasimir mnie pocałował, czułam jednak, że historia ojca miała dla niego znaczenie.

– Nastął rok 1863 i po raz kolejny naród był gotowy na wszystko, bo musiał znosić zbyt wiele cierpień. Ojciec miał 16 lat, kiedy niejaki hrabia Wielopolski wprowadził w Królestwie Kongresowym obowiązek dwudziestoletniej służby wojskowej dla wszystkich młodych mężczyzn. Wtedy wybuchło powstanie styczniowe.

– Królestwo Kongresowe? A gdzie to jest?

– Niedaleko od Prowincji Poznańskiej, Gosiu. To obszar okupowany przez Rosjan.

– Cóż to obchodziło twojego ojca?

Z prześlicznej chłodziarki wyjęłam butelkę szampana i nalałam sobie i Kasimirowi po kieliszku. Ale on nawet nie ruszył swojego.

– Nigdy nie słyszałaś o solidarności? Wszyscy ci młodzi ludzie byli jego polskimi braćmi. Poza tym zarówno mój ojciec, jak i jego koledzy ze szkoły obawiali się, że w Poznaniu stanie się to samo. Nie miał ochoty nadstawić karku na jakichś wojnach przez 20 lat. Wyobraź sobie: najlepsze lata życia!

– Ale mówiłeś, że miał wtedy ledwie 16 lat? Był na wpół dzieckiem.

– Tak, był jeszcze niedorostkiem, ale razem z nauczycielem i paroma śmiałkami z klasy pojechał pociągiem do granicy z Królestwem Kongresowym. Do Wrześni. Tam rozwiesili plakaty na znak solidarności z braćmi Polakami i śpiewali.

Kasimir faktycznie zaintonował pieśń:

Jeszcze Polska nie umarła,

Kiedy my żyjemy.

Co nam obca moc wydarła,

Szablą odbijemy.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,

Będziem Polakami.

Dał nam przykład Bonaparte,

Jak zwyciężać mamy.

– No cóż – stwierdziłam, sącząc szampana. – Tyle że samym śpiewem nikt jeszcze świata nie zmienił.

– Oni też nie. Całą gromadkę zdybali rosyjscy żandarmi, którzy natychmiast sięgnęli po karabiny. Nasi w przerażeniu pobiegli w stronę pruskich lasów. Tam zostali schwytani i aresztowani przez policję Rzeszy Niemieckiej.

– No to już chyba lekka przesada. Żeby zaraz łapać paru uczniów wymachujących flagami! Przecież oni byli całkiem nieszkodliwi, prawda?

– Być może, ale policja wcale nie miała takiej pewności. Każdy walczył tym, co miał akurat pod ręką. Chłopi na przykład walczyli przy użyciu kos. Byli też partyzanci uzbrojeni w prawdziwe karabiny, którzy okopali się w lesie. Rosjanie przez ponad rok nie jeden raz połamali sobie na nich zęby.

Ciągle jeszcze nie mogłam się w tym wszystkim połapać.

– Czyli twój ojciec i jego koledzy, i ten nauczyciel. Wobec tego czemu aresztowali ich Prusacy, skoro protestowali przeciwko Rosjanom?

– Gosiu, w kwestii ucisku ludności rosyjska ręka pruską rękę myje. Zawsze tak było. Mają nawet specjalny traktat. Sprokurował go Bismarck.

– Co zrobili z twoim ojcem?

– Postawili go przed pruskim sądem i skazali jako wroga Rzeszy. Ponieważ był niepełnoletni, musiał odsiedzieć za kratkami tylko dwa miesiące, ale potem wydali go z gimnazjum. I tak miał szczęście. Kilka tysięcy powstańców z 1863 roku od razu stracono lub zesłano na Sybir. Taki los spotkał jego nauczyciela. Już nigdy nie wrócił.

Dalej popijałam szampana, delektując się bąbelkami, które szczypały mnie w język, podczas gdy Kasimir wciąż jeszcze nie tknął swojego kieliszka. Rozpasane pocałunki raczej nie wchodziły już w grę.

– No dobrze – podjęłam wątek. – Pewnie ukończył inną szkołę.

– To wcale nie było takie proste! – uniósł się Kasimir. – Rodzice ojca nie zaliczali się do zamożnych. Nie przyjęto go już do żadnej szkoły w Poznaniu. Musiałby sobie znaleźć stancję gdzie indziej. Zresztą mój dziadek i tak wolał, żeby ojciec terminował w jego zakładzie i zrobił dyplom mistrza dekarckiego.

– I zrobił?

– O mały włos tak by się stało. Musisz jednak wiedzieć, że mój ojciec był prymusem. I że w tamtych czasach był taki nurt, pozytywizm. Wielu Polaków pożegnało się z myślą, że można przegnać zaborcę na drodze walki zbrojnej. Pozytywiści, między innymi fizyczka i chemiczka Maria Curie...

– To ona nie jest Francuzką?

– Nie, pochodzi z Warszawy, ale wydała się za Francuza. Tak czy inaczej pozytywiści byli zdania, że dany naród może zademonstrować swoją przewagę dzięki edukacji. Duchową przewagę. Taki pogląd wyrażał też Anton Kratochwill.

– Kto to znowu?

Najwyraźniej musiało mi coś umknąć.

– Mój dziadek ze strony matki – odrzekł Kasimir, jak gdyby była to oczywista oczywistość. – Był jednym z najbogatszych ludzi w Poznaniu. Prowadził młyn parowy i eksportował mąkę nawet do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– O kurczę! – wyrwało mi się.

– W każdym razie Anton Kratochwill, który był pozytywistą, chciał przyznać komuś stypendium i zasięgnął języka w gimnazjum Marii Magdaleny, kto byłby odpowiednim kandydatem. Dyrektor opowiedział mu o Romanie Mayu, najlepszym uczniu, który teraz miał zostać dekarzem, bo opowiedział się za wolnością Polski. Jego historia wzruszyła starego Kratochwilla, dlatego odwiedził rodzinę Mayów. Upodobał sobie Romana i zdołał przekonać mojego dziadka, żeby chłopak zdawał maturę w Głogowie na Śląsku. Pokrywał koszty jego stancji w mieście.

W międzyczasie przyniosłam sobie futrzaną kapę z kanapy i szczerze się

nią otuliłam. Zapowiadała się dłuższa historia. Kiedy Kasimir kontynuował opowieść, z jego oczu bił blask.

– Mój ojciec studiował później chemię we Wrocławiu i obronił doktorat *summa cum laude*. Rzecz jasna Kratochwill nigdy nie przeczytał tej dysertacji poświęconej silikatom, bo nie miał o tym bladego pojęcia. Wzruszyło go jednak, że jego podopieczny zadedykował pracę właśnie jemu.

– Przynajmniej tyle – uznałam. – Przecież Kradziwill płacił za wszystko.

– Kratochwill, Gosiu! Musisz mieć na uwadze, że Kratochwill nie miał własnego syna i powoli dobijał do późnego wieku. Myślał o przyszłości.

– Potem twój ojciec pewnie pracował w tym młynie parowym i w którymś momencie przerobił go na fabrykę chemiczną – spróbowałam nieco przyspieszyć bieg tego życiorysu.

Historie, w których nie ma wątku miłosnego, szybko mnie nudziły. I tak zostało po dziś dzień.

– Ależ nie, Gosiu! Pleciesz androny! Ojciec przyjął posadę asystenta na uniwersytecie i odbył roczną praktykę w fabryce chemicznej pod Dreznem. Potrzebował jednak pieniędzy! A więc zatrudnił się jako nauczyciel. Tyle że już wkrótce wyrzucono go z pracy.

– Z jakiej racji?

– Wtedy obowiązywał zakaz nauczania w języku polskim. Było to solą w oku Prusaków, którzy dążyli do całkowitej germanizacji. Na lekcjach mój ojciec modlił się z dziećmi po polsku. To było niewybaczalne!

Zamarłam.

– Znowu trafił do pudła?

– Tym razem nie. Nie mógł tylko pracować jako nauczyciel. Zresztą i tak marzyło mu się coś zupełnie innego: chciał założyć własną fabrykę chemiczną.

– Niby za co?

– Pokładał nadzieje w starym Kratochwillu. Wyłożył mu w najdrobniejszych szczegółach swoją koncepcję przedsiębiorstwa. Ale

Kratochwill zareagował zupełnie inaczej, niż się tego spodziewał ojciec. Zwrócił się do niego: „Jeżeli szukasz instytucji, która udzieli ci kredytu, musisz się udać do mojego brata Mariana, właściciela największego banku w mieście. Proponuję ci jednak coś zgoła innego: ożeń się z moją córką! Obaj na tym skorzystamy. Nie wyobrażam sobie, by znalazł się dla niej lepszy kandydat na męża, a ty dostaniesz ode mnie pokaźny posag, za który będziesz mógł wybudować swoją fabrykę”.

– Brzmi to tak, jakby chciał się pozbyć dziewczyny. Była aż taka szpetna?

– Gosiu, błagam, miejże odrobinę szacunku! Mówimy, było nie było, o mojej matce. Dopiero co ją poznałaś.

Zrobiłam się czerwona jak burak.

– Przepraszam, Kasimirze, to było głupie z mojej strony.

– Nic się nie stało. Dziadek po prostu chciał oddać córkę w dobre ręce. Zadbał, aby w przyszłości wszystko toczyło się wytyczonym torem. Poza tym młodzi przypadli sobie do gustu.

– Zakochali się?

– Nie od razu! Nie tak szybko jak my dwoje. – Kasimir nie mógł powstrzymać się od szerokiego uśmiechu. – Ale owszem, kochali się. Przynajmniej tak myślę. Bądź co bądź spłodzili pięcioro dzieci. Przecież nie przyniósł ich bocian.

Znowu pojawiło się to mdlące uczucie w żołądku – mieszanka lęku i podniecenia. Nadal nie wiedziałam, skąd się biorą dzieci. Jedyna rada, jaką dała mi na drogę mama, brzmiała: „Córeczko, czegokolwiek by chciał twój mąż po ślubie, tak jest słusznie. Po prostu się połóż, zamknij oczy i niech się dzieje wola nieba. Z początku może nawet trochę boleć, ale ból szybko minie. Wytrzymasz, podobnie jak wszystkie kobiety przed tobą”.

– Kasimir... – chwyciłam go za krawat i przyciągnęłam do siebie. Pocałowaliśmy się. Szampan sprawił, że wszelka powściągliwość ulotniła się bez śladu.

– Kasimir, czy ty już kiedyś...?

– Czy ja już kiedyś co? – zapytał.

Wcisnął się w fotel, zajmując miejsce koło mnie, a pod futrzany koc wsunął dłoń, która precyzyjnie wylądowała na moim biuście. Nie kwapił się, żeby ją stamtąd usunąć. Z wrażenia aż mnie zatkało.

– Za tydzień bierzemy ślub, Gosiu – powiedział. – Wtedy będziesz do mnie należeć cała, od stóp do głów.

Pocałował mnie, byłam bliska omdlenia.

„Co będzie potem? – myślałam z niepokojem. – Co dokładnie będziemy robić ze sobą, kiedy już weźmiemy ślub?”

Zgodnie z zapowiedzią nocę poprzedzającą nasze zaślubiny Kasimir spędzał u swojej matki, kiedy to ja spałam w wielkim mieszkaniu przy Kronprinzenstraße. Jednak czas mijał w zawrotnym tempie, aż w końcu nastał dzień, w którym stanęliśmy na ślubnym kobiercu.

Był 11 kwietnia 1911 roku, dzień deszczowy, wręcz burzowy. To, że ślub kościelny mógł się odbyć w katolickim kościele św. Franciszka, zawdzięczaliśmy młodemu proboszczowi. Było mu obojętne, że jestem ewangeliczką, nie musiałam nawet przechodzić na katolicyzm. Najwyraźniej nie żywił też nienawiści do Niemców. Zgodnie z jego *credo*: „Przed Bogiem wszyscy ludzie są równi”.

Kasimira poprowadziła do ołtarza Helena, mnie tymczasem powiódł mój dumny jak paw ojciec Karl August. Po ceremonii wszyscy zatrzymali się przed wejściem do kościoła. Krewni Kasimira obrzucili nas drobnymi monetami i ryżem.

– Gosiu, musisz pozbierać pieniądze – zawołał Kasimir ze śmiechem. – Kto zbiera najwięcej, będzie rządził w domu. To taki stary zwyczaj.

Wzięłam udział w tej zabawie, choć doskonale wiedziałam, że i tak wygra Kasimir. Był w końcu o jedenaście lat starszy ode mnie.

Potem długi orszak weselny, złożony z około 200 osób, udał się do hotelu „Bazar”, w którym Helena wynajęła salę bankietową. Zaproszenia wystosowała do wszystkich, których uważała za ważnych. Zaprosiła na przykład wielu poznańskich obszarników, bo byli dobrymi nabywcami nawozów sztucznych firmy May. Ponadto wszystkich członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w którym po śmierci męża przyznano Helenie

honorowe członkostwo. Nie była ona wprawdzie jakoś specjalnie oddana naukom, ale dbała o kultywowanie pamięci o małżonku. Dlatego jego bogate zbiory przyrodnicze przekazała należącemu do Towarzystwa muzeum, samo zaś Towarzystwo raz za razem wspierała sowitymi darowiznami finansowymi. Wśród gości znalazła się też grupka posiwiiałych już weteranów z 1863 roku – „wiarusów”, jak sami o sobie mówili – z którymi mój nieżyjący teść, doktor Roman May, odbył swego czasu pielgrzymkę do Wrześni. Wreszcie rzecz jasna wszyscy krewni szeroko rozgałęzionych rodzin Mayów i Kratochwillów. Ślub jedynego syna był dla Heleny znakomitą okazją, by wyraźnie zaznaczyć własną pozycję w kręgach towarzyskich Poznania. Hotel „Bazar” był synonimem nie tylko elegancji, ale również polskości. Zatrzymywali się w nim wielcy posiadacze ziemscy i szlachcice. Ponadto był ulubionym miejscem spotkań polskich patriotów i rewolucjonistów.

Zanim podano do stołów, każdy wypił kieliszek wódki i rzucił go za siebie, aż powietrze wypełniło się brzękiem tłuczonego szkła. Miało to chyba na celu rozluźnienie towarzystwa. Mnie jednak było głupio, że na własnym ślubie czułam się jak gość. Sama zaprosiłam tylko swoich rodziców, siostrę i dwie najlepsze przyjaciółki z Berlina. Pozostali weselnicy byli mi całkowicie obcy, lecz Kasimir co chwilę nachylał się ku mnie, aby mi szczegółowo wyjaśnić, jak się nazywają i czym się zajmują. Ponieważ jednak byłam na rauszu, nie zapamiętałam zbyt wiele.

Siostry Kasimira nadal zachowywały wobec mnie dużą rezerwę. Żadna z nich nie obdarzyła mnie niczym więcej niż formalnym powitaniem. Jedną z tych czterech gracji miała na imię Stanisława. Sprawiała wrażenie najeżonej jak kaktus, dlatego też od razu zapamiętałam sobie jej przezwisko: Stacha².

Kasimir opowiedział mi, że Stacha zaangażowała się w walkę o prawa kobiet. Wymógłszy na mnie obietnicę zachowania dyskrecji, odsłonił nieco tajemnicy. Okazało się na przykład, że Stacha uczyła języka polskiego w jednej z tajnych szkół powszechnych w śląskim Raciborzu.

– Przez tę głupotę może trafić do więzienia – zaznaczył Kasimir. – Nauczanie w języku polskim jest surowo zabronione! Tak więc nikomu ani słowa!

Mężem Stachy był niejaki Cyryl Ratajski, który złożył egzaminy adwokackie i notarialne w Berlinie. Od tej pory z upodobaniem reprezentował interesy swoich rodaków, którzy zaznawali krzywd ze strony pruskich władz. Choćby wtedy, gdy kolejny Polak został wywłaszczony. Jednak na prośbę mojej teściowej niedawno zamknął swoją kancelarię, żeby objąć kierownictwo w zakładach Mayów.

– Kim jest ten pan, z którym twój szwagier tak zawzięcie dyskutuje? – dopytywałam.

– Ach! – zachnął się Kasimir. – Zasiada w poznańskiej Radzie Miasta jako członek frakcji polskiej. Cyryl, ten pocziwiec, jest niezwykle zaangażowany w sprawy kraju. Należy do ruchu narododemokratycznego. Powiem ci jedną rzecz: kiedyś będzie jeszcze z niego polityk.

– Zabrzmiało to, jakbyś... Nie lubisz go?

– Skądże znowu, lubię. Co miałbym mieć przeciw niemu? Oprócz tego, że matka jakby nigdy nic powierzyła mu kierownictwo firmy. Mnie nawet nie zapytała, czy chciałbym wdrożyć się w zadania kierownicze. A przecież powoli już czas na to.

– Jest sporo od ciebie starszy.

– Raptem sześć lat!

– To w końcu lubisz go czy nie?

– Należy do rodziny – odparł Kasimir. – Ale o czym mamy rozmawiać? On jest zagorzałym patriotą, a ja pragmatykiem. W Poznaniu pod pruskimi rządami wszystko idzie właściwie dobrze.

Potoczyłam wzrokiem dookoła. W przerwach pomiędzy obfitymi daniami orkiestra grała mazurki i polonezy. Siostra Kasimira, Halina, tańczyła ze swoim mężem. Spośród wszystkich obecnych na weselu odznaczała się zdecydowanie największą urodą. W gruncie rzeczy była żeńskim wydaniem Kasimira – miała blond włosy, była dumna i wysoka, dokładnie jak on. Tylko nie mogłam pojąć, co ona widziała w swoim małżonku: spoza rogowych okularów o grubej czarnej oprawie lśniły brązowe oczka przypominające dwa guziki.

– Kim jest mąż Haliny? – zwróciłam się z pytaniem do Kasimira.

– Ach, ten! Andrzej zrobił doktorat z rolnictwa. Obecnie pracuje jako zarządca w majątku baronostwa Czecz de Lindenwald w Kozach. Z tego tytułu przysługuje mu tam darmowe mieszkanie. Moja droga siostra przeniosła się tam z całą rodziną.

Staralam się nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, jednak ani Halina, ani jej mąż nie zwracali na nas uwagi.

– Jesteście poróżnieni? – zapytałam.

– Nic podobnego! – oburzył się Kasimir. – Bunia to Bunia, i tyle. – Kolejne zdrobnienie, które musiałam sobie zapamiętać. – Bunia patrzy z góry na wszystkich, którzy nie są równie urodziwi i majątni, co, w jej przekonaniu, ona – westchnął Kasimir. – A jej mąż, no cóż...

– Masz wobec niego jakieś ale?

– Przyjaźnił się z pierwszym, nieżyjącym już mężem Buni. Na jego pogrzebie zagiął na nią parol. Moja matka, nie – właściwie wszyscy mieliśmy zastrzeżenia do tego związku.

– Dlaczego? – drażylałam.

– Helena uznała, że Rozmiarek nie jest dobrą partią dla Buni. Był, jest i na zawsze będzie synem chłopca. Nic nie zmieni tutaj fakt, że zarządza majątkiem barona...

– W naszym przypadku jest dokładnie tak samo – wtrąciłam. – Twoja matka...

– To dwie różne sprawy – przerwał mi. – Jest dużo gorzej, gdy mężczyzna pochodzi z niższego stanu niż żona. Przecież musi jej coś zaoferować. Utrzymywać ją i dzieci!

Uznałam ten temat za mało przyjemny. Ostatecznie pochodziłam z porządnej i szanowanej rodziny. Nie byliśmy co prawda krezusami, ale też nie wypadliśmy sroce spod ogona. Nie miałam tylko ochoty wdawać się w to akurat teraz. Nie w trakcie naszego wesela.

– Jak myślisz? – zaczęłam z innej beczki. – Czy oni oczekują, że do nich

podejdę?

– Nawet nie masz po co. Bunia nie chce z tobą rozmawiać, bo jesteś Niemką. Nie bierz tego do siebie. Przed dwoma laty straciła swoją wielką miłość. Kochała się w lekarzu pediatrze, którego zabrała gruźlica. Bunia jednak wierzy, że winę za jego śmierć ponoszą Niemcy. Twierdzi, że wykończyli jej męża psychicznie, moralnie i fizycznie.

– Nie rozumiem. Przecież był ciężko chory! Co mają do tego Niemcy?

– Może to, że nabawił się zapalenia płuc, odbywając służbę wojskową w armii pruskiej. Na dodatek przyplątała mu się ta nieszczęsna gruźlica.

– I dlatego Bunia nienawidzi wszystkich Niemców... Mnie też?

– Bynajmniej, ale to długa historia – rozgadał się Kasimir. – Emila, bo tak miał na imię mąż Buni, cechował przynajmniej taki sam upór jak mojego ojca. Szczerze mówiąc, był z niego morowy chłop: wysoki, szczupły, może nieco zbyt wrażliwy jak na mężczyznę. Ale bardzo go lubiłem! Miał gołębie serce. W Bydgoszczy przyjmował w prywatnym gabinecie i leczył za darmo dzieci ubogich. Na receptach pisał aptekarzowi adnotację *per me*, kiedy wiedział, że pacjentów nie stać na wykupienie lekarstw. W prawdziwe tarapaty popadł z innego powodu. Po otwarciu swojego gabinetu nie złożył kurtuazyjnej wizyty niemieckim lekarzom. Wskutek tego co rusz odkręcano tabliczkę na jego gabinecie. Zdarzyło się nawet, że ktoś do niego strzelał zza węgła.

– Co t a k i e g o? Strzelano do niego, bo nie złożył komuś wizyty?

Kasimir spojrzał mi prosto w twarz, na której malował się wyraz przerażenia. Poglądził mi ręce i stwierdził łagodnie:

– To święta prawda, Gosiu. Ale zostawmy z boku te stare dzieje, w końcu dzisiaj jest nasz szczęśliwy dzień.

Kasimir miał rację. Wesele nie było odpowiednią porą na rozpamiętywanie starych historii.

– Chodźmy zatańczyć – zawołał Kasimir i kilka chwil później kołysaliśmy się w rytmie walca.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniemy sami – wyznałam i

popatrzyłam nań wyzywająco. Starał się uśmiechnąć, ale sprawiał wrażenie spiętego.

Moi rodzice siedzieli na drugim końcu sali. Pomachałam do nich ręką, jednak mnie nie zauważyli.

Kilka razy spostrzegłam, że matka Kasimira i jej córki stały razem i coś między sobą szeptały. Od czasu do czasu łypały na mnie okiem. Miałam wrażenie, że mnie obgadują.

Koło północy rzuciłam w tłum swój welon, nie pamiętam jednak, kto go złapał. Przypuszczam, że Romana, najmłodsza siostra Kasimira.

Wokół mnie wszystko wirowało, stopy mi spuchły i chciałam się położyć. Orkiestra była opłacona do szóstej nad ranem. Niech inni sobie tańczą. Ja miałam na razie wszystkiego serdecznie dość.

Wyszliśmy na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Co ci jest? – zapytał Kasimir z uśmiechem. – Chyba nie oklapniesz przed poprawinami?

– Popra... czym?

– To taka mała uroczystość nazajutrz po weselu. Nie mów mi tylko, że w Prusach nie macie takiego zwyczaju. – Kasimir wybuchł głośnym śmiechem. – A kto u was w Berlinie zjada ostatki?

Nie mogłam się dłużej powstrzymać i zwymiotowałam pod pierwszym lepszym krzakiem. Byłam okropnie zażenowana, ale Kasimir wyjął z kieszeni spodni bieluteńką chusteczkę i delikatnie otarł mi twarz. Potem wziął mnie na ręce, zaniósł do samochodu i pocałował.

– Gosieńko moja – szeptał. – Za dużo wódki jak na takie maleństwo. Powinienem był to przewidzieć.

Kiedy dotarliśmy do domu, zaniósł mnie do wspólnej sypialni i ułożył delikatnie na poduszkach.

– Wreszcie należysz do mnie – wyszeptał mi do ucha, pieszcząc zarazem moją twarz.

Nudności przeszły mi jak ręką odjął. Zastąpiło je to mdlące uczucie w

okolicy żołądka, które znałam, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam Kasimira.

Dążąc pewnie do celu, rozpiął mi sukienkę i ściągnął ją ze mnie. Po raz pierwszy widział mnie w samej bieliźnie, której nie ma nawet co porównywać z współczesnymi *dessous*: gorset i sięgające kolan pantalony w znacznej mierze nadal mnie okrywały. Pomimo to czułam się obnażona i cała dygotałam. Dłonie Kasimira wędrowały badawczo po zasłaniającym mnie jedwabnym materiale. Aż wreszcie było mu tego za mało.

– Skąd wiesz, jak się rozpina gorset? – zdumiałam się.

Mruknął coś o czterech siostrach. Kiedy już leżałam przed nim całkiem naga, jak gdyby łuski spadły mi z oczu:

– Kaziu! Ty jesteś całkiem ubrany!

Nigdy wcześniej nie zwróciłam się do niego tym pieśczośliwym zdrobnieniem.

– Uzasadniony sprzeciw.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, w mgnieniu oka się rozebrał i położył obok mnie. Ukradkiem mierzyłam wzrokiem każdy centymetr jego ciała. Po raz pierwszy w życiu ujrzałam nagiego mężczyznę. Uczyłam się w szkole żeńskiej, nie miałam braci, a ojca widywałam wyłącznie w ubraniu. Dotychczas moje pojęcie o budowie męskiego ciała było mgliste – a karmiło się ono widokiem na kąpieliskach mężczyzn odzianych w zakrywające wszystko kostiumy kąpielowe.

A zatem pierwszy obnażony mężczyzna. Bez ubrania Kasimir wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam go sobie w swoich marzeniach: ucieleśniony Dawid Michała Anioła. Drażniło mnie tylko to groźnie wzniesione coś.

– Nie bój się, Gosieńko! Nie zrobię ci krzywdy – obiecał.

A potem posiadł mnie po raz pierwszy jako swoją żonę. Doskonale wiedział, co trzeba robić. Objęłam go mocno za szyję, kiedy poruszał się we mnie. Następnie wyprężył się, a parę sekund później opadł wyczerpany.

Wciąż pamiętam, co wtedy pomyślałam: „Nie do wiary! I to ma być wszystko? To ma być ta wielka sprawa, o której nie wolno było pisać słówkiem? Kilka nieefektywnych sekund oznaczyło moje pożegnanie z

dziewczętwem?”.

Czekałam, aż pojawi się ból, który zapowiadała mama. I nic. Ale spodobało mi się to splecenie dwóch nagich ciał. Nawet bardzo. Stać się jednym ciałem, jak napisano w Biblii. Teraz już byłam pewna, że jestem rozwiązłą dziewczyną. Jeśli to ma być spełnianiem małżeńskiego obowiązku – cudownie. Rzecz jasna odkrycie to musiało pozostać moją słodką tajemnicą.

Byłam szczęśliwa. Stałam się dorosłą kobietą. Posiadłam wiedzę i górowałam nad tymi wszystkim podfruwajkami, które mogły tylko głupkowato chichotać. Obsypywałam pocałunkami ciało Kasimira, przeczesałam palcami jego zmierzwione włosy i muskałam jego wargi. Dopóki nie spostrzegłam, że śpi jak suseł.

Rozdział 3

Co dzień czyniliśmy postępy we wzajemnym badaniu naszych ciał. Już wkrótce bez słów wiedzieliśmy, w jaki sposób mamy się dotykać. Kiedy się kochaliśmy, nieraz ogarniał mnie przestrasz. W Kasimirze pojawiała się gwałtowność, której nie umiałam wyjaśnić. Czyżby to była bestia czająca się ponoć w każdym mężczyźnie? A może drzemała w nim rozpaczliwa wściekłość, której nie mógł dać upustu za dnia?

Chciałam to ustalić, więc poddałam swojego męża dokładnej obserwacji. Poza domem zachowywał się jak snob, był nieprzystępny i przybierał pozę pana i władcy. Wrażenie to potęgował fakt, że będąc w kantorze, zawsze nosił monokl w złotej oprawce i wszystkim kazał się zwracać do siebie per panie doktorze. W sferze prywatnej Kasimir był jak odmieniony: kochający, wrażliwy i niezwykle w stosunku do mnie uważny. Zetknęłam się z tym zjawiskiem już w przypadku mojego ojca – oblicze pokazywane publicznie różniło się skrajnie od prywatnego. Kiedy odwiedzałam ojca w fabryce Borsiga, on też twardo trzymał dystans.

Pewnego razu, gdy siedziałam w kawiarni „Hohenzollern” w oczekiwaniu na Kasimira, bo mieliśmy razem zjeść obiad, przypadkowo podsłuchałam rozmowę dwóch pań, które mnie nie znały:

– Syn doktora Maya nie zniża się do uściśnięcia ręki pracownikom, kiedy się z nimi wita na ulicy. No ale co z tego? I tak nie ma się czym chwalić. Tak czy siak, u nich to stara trzęsie wszystkim.

Trochę mnie to zezłościło, ale nie wiedziałam, czy mam się z tą sprawą naprzykrzać Kasimirowi.

Wreszcie nadeszła wielka chwila: Kasimir pokazał mi główną siedzibę Fabryk Chemicznych w Starołęce. Zakład był w najwyższym stopniu

nowoczesny. Nie dość, że wyposażono go w maszyny parowe, to jeszcze miał elektryczność i własną sieć szynową.

– Czy to nie wspaniałe? – zachwycił się Kasimir. – Rocznie wyprawiamy w wagonach 25 tysięcy ton superfosfatu do Prus Wschodnich, Galicji i Królestwa Kongresowego.

– I za to wszystko zapłacono pieniędzmi z wiana twojej matki? Także za dom? – zdziwiłam się.

– Nie, jej posag był o wiele za mały – sprostował Kasimir. – W samym środku budowy rodzicom zabrakło pieniędzy. Ojciec musiał rozejrzeć się za inwestorami, którzy by w niego uwierzyli. I znalazł. Jednym z nich był krewny, a nazywał się Leitgeber. Inny był Niemcem, właścicielem poznańskiego Browaru Huggerów. Obaj zresztą już dawno zostali spłaceni. Nasz nawóz rozchodzi się jak świeże bułeczki. Polska to kraj pól i łąk, które tylko czekają na nawożenie.

– Hm, a na co właściwie zmarł twój ojciec?

– Nie wiemy – odrzekł Kasimir. – Matka zasięgnęła konsultacji u co najmniej trzech lekarzy. Możliwe, że ojciec nabawił się malarii w Tunezji. Pod koniec nie mógł już mówić i wykazywał oznaki dziwnego paraliżu. Być może miał krwotok mózgowy albo zapalenie płuc. Matka opowiedziała mi kiedyś, jak udali się do teatru w towarzystwie państwa Kuzstelanów. W pewnym momencie ojciec zaczął kaszleć krwią.

Wyobraziłam sobie Kasimira jako siedmioletniego chłopca, opuszczonego, smutnego blondynka, który przed nikim nie mógł okazać swojej zgrzyoty. Nagle i ja posmutniałam.

– Chyba wiem, jak bardzo ci go brakuje – powiedziałam.

– Wprawdzie rzadko widywaliśmy ojca. Wciąż jeszcze widzę go przed sobą, jak każdego dnia o szarym świcie wsiada na swojego siwka i jedzie w dal. Przez jakiś czas korzystał z pociągu, ale ten nie zatrzymywał się w Starołęce. Ojciec dogadał się z konduktorem. Na łuku w pobliżu fabryki pociąg nieco zwalniał, tak aby można było z niego wyskoczyć. Na dłuższą metę było to niebezpieczne. Dlatego też wolał znowu się przesiąść na konia.

Kasimir wskazał nieodległe miejsce, gdzie szyny ciągnęły się po stromej

skarpie wzdłuż zabudowań fabrycznych. Jak można było w takim miejscu wyskakiwać z pociągu? Ojciec Kazia musiał być szaleńcem.

– Nie tylko fabryką ojciec zajmował się z wielką pasją – mówił dalej Kasimir. – Był dodatkowo dyrektorem Centralnego Towarzystwa Gospodarczego i ciągle wygłaszał odczyty w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Poza tym współuczestniczył w budowie stacji meteorologicznej w Poznaniu. Na koniec rozważał start w wyborach do Reichstagu. Z listy polskiej.

Stopniowo zaczęły działać mi na nerwy te niekończące się opowieści o ojcu. Koniec końców – był martwy na amen. O wiele bardziej ciekawił mnie Kasimir, co dokładnie robił i do czego dążył. Tu i teraz.

– Kaziu, jakim jesteś typem szefa?

– Czy ja wiem? Mam niewiele do czynienia z robotnikami. Z każdą sprawą zwracają się do mojej matki albo do mojego szwagra, Ratajskiego. Gdybym to ja był władny, postępowałbym jak ojciec. On udzielał swoim ludziom kredytów na śmiesznie niski procent, żeby mogli budować własne domy. Jednemu nocnemu stróżowi, Stachowiakowi, który był mu wiernie oddany, wręcz sprezentował dom. Chciał, aby wszyscy byli zadowoleni. Wysyłał robotników na rentę, gdy kończyli 55. rok życia, bo praca w fabryce źle się odbijała na ich zdrowiu. Natomiast ja... zanim cokolwiek zrobię, zawsze muszę najpierw zapytać matkę. Albo wuja Mariana Kratochwilla, który z tym swoim bankiem kredytowym po cichu macza we wszystkim palce, a zarazem grzmi tubalnym głosem jak, nie przymierzając, cesarz.

A więc to tak. Matka traktowała Kasimira jak poddanego, petenta, jakąś płotkę. Mówiąc bez ogródek, była to dla mnie gorzka pigułka do przełknięcia. Kasimir był przecież męskim potomkiem. Wydawało mi się jak najbardziej oczywiste, że to on był tutaj szefem!

Staralam się poruszyć ten temat jak najdelikatniej.

– Twój szwagier i twój wuj mają więcej do powiedzenia niż ty? A tak konkretnie, jakie zadanie wykonujesz w fabryce?

Najwyraźniej dotknęłam czułego punktu. Kasimir nadal był mi winny odpowiedź na pytanie, na czym polega jego praca.

– Powiem tak: być może los rzuci mnie gdzie indziej – po chwili zaczął

snuć rozważania. – Przecież czytuję „Sport und Salon”³. Niewykluczone, że będę się ubiegał o przyjęcie do gwardii przybocznej Wilusia. Przynajmniej pooglądam świat, skoro on tyle podróżuje.

Zabrzmiało to jak kiepski dowcip. A co będzie ze mną? Byłam oburzona, nie miałam jednak ochoty wszczynać kłótni, bo pierwsze dziecko było już w drodze, a wraz z nim wszelkie towarzyszące temu objawy: mdłości, torsje i osłabienie. Dzięki Bogu już niebawem nudności ustały i zaczął się okres niczym niezmaconego, radosnego oczekiwania.

W tamtych czasach poród był sprawą ściśle prywatną. Nikomu w głowie nie powstało, żeby pójść do szpitala i obnażyć się na oczach obcych ludzi. Można to było zafundować tylko upadłym dziewczynom bez dachu nad głową. Szanująca się kobieta wydawała na świat potomstwo w domu, zachowując absolutną dyskrecję.

Podobnie było w moim przypadku. Leżałam w sypialni na nieskazitelnie białej pościeli, starając się opanować towarzyszący mi lęk. Czyżbym miała zostać rozerwana na strzępy? A może od razu umrzeć? Chciałam, żeby Kasimir trzymał mnie za rękę, a jednocześnie cieszyłam się, że nie widział mnie w tym stanie. Leżałam jak ciężko ranne zwierzę, złana potem, wydana na pastwę bólów porodowych i miotana śmiertelnym strachem.

Obecna była tylko położna. Poród trwał 20 godzin: parłam i płakałam, aż w pewnym momencie nabrałam pewności, że umrę albo ja, albo umrze dziecko. Kasimir trzymał się z dala od nas, jak na prawdziwego dżentelmena przystało. Czas oczekiwania uprzyjemniał sobie w towarzystwie naszych wspólnych znajomych – Lewina i Berty. Miałam mu posłać wiadomość przez umyślnego, jak tylko dziecko się urodzi.

Kiedy w lutym 1912 roku nasza córka ujrzała światło dzienne, wyglądała jak ciemnoczerwony, rozwrzeszczany tłumoczek. Byłam zbyt osłabiona, aby zapobiec temu, że to Helena, jeszcze przed Kasimirem, podejdzie do łóżka, by obejrzyć dziecko. Natychmiast mi je odebrała. Straciłam niewiarygodną ilość krwi i czułam się tak wymęczona, że z wdzięcznością przyjąłam jej ofertę:

– Kiedy mała będzie za bardzo płakać, w każdej chwili możecie ją do mnie przynieść. Dobrze wiem, jak kobieta czuje się zaraz po porodzie.

Musisz z powrotem nabrać sił.

Być może dzidzius nastroił ją łagodnie. Czyżbyśmy miały jeszcze zostać przyjaciółkami? Gorąco na to liczyłam.

Niedługo potem przyszedł Kasimir. Najpierw musiał zgasić papierosa, a potem nieporadnie wziął na ręce mocno opatulone dziecko.

– Nie podoba ci się nasza dziewczynka? – badałam grunt.

– Gdzieżby tam, oczywiście, że mi się podoba – uspokajał mnie, dotykając z niedowierzaniem małych policzków i oddając z powrotem niemowlę. – A więc to jest nasza Helena May juniorka.

– Moim zdaniem jest bardziej podobna do Wandy – zaprotestowałam słabo.

– Nie, nie – zaproponował Kasimir. – W naszej rodzinie utarł się taki zwyczaj. Dzieci noszą imiona przodków. Przecież ja też mam na drugie imię Roman, po ojcu.

– Ale moja mama ma na imię Wanda – wtrąciłam.

Kasimir potrząsnął głową. Pochylił się nade mną i szepnął:

– Nie możesz przecież wiecznie drzeć kotów z moją matką. Nazwij nasze dziecko na jej cześć, a sama zobaczysz...

Podjęłam wtedy stanowczą decyzję, że nie będę chowała urazy wobec teściowej. Tworzyliśmy teraz jedną wspólną rodzinę. Tak więc moją córeczkę ochrzczono imieniem Helena, w formie zdrobniałej – Hela. Byłam nią oczywiście zauroczona. Wykapany Kasimir. Już kiedy skończyła roczek, miała gęste złociste włosy, których piękno podkreślałam, wiążąc na nich kokardę.

Półtora roku później, w listopadzie 1913 roku, przyszło na świat drugie dziecko. Na chrzcie chłopiec przyjął imię Roman, i znowu był to ukłon w stronę przodków Kasimira. Tym razem jednak udało mi się przeforsować przynajmniej drugie imię: mój syn nazywał się, bądź co bądź, Roman Karl, aby uhonorować także mojego ojca.

Każdą wolną chwilę Kasimir spędzał ze mną i dziećmi. Nie miałam zbyt

wiele pracy, ponieważ zdążyliśmy już zatrudnić dziewczynę, która zajmowała się praniem, zmywaniem i sprzątaniami. Gotować nie musiałam – jadaliśmy w gronie rodzinnym u Heleny albo poza domem.

Życie wydawało mi się wtedy niezwykle łatwe. Dużo się śmialiśmy, na przykład z tego, że w ubikacji wywiesiłam nuty i pierwszy wers piosenki ludowej „Maju kochany, wróć pełen...”. Oprawione w złotą ramkę, ma się rozumieć.

Czasem wybieraliśmy się z Bertą i Lewinem do kinematografu. Obejrzelśmy na przykład niemy film z udziałem Asty Nielsen pod tytułem „Gorąca krew”. Było to emocjonujące przeżycie, ponieważ aktorka poczyniła sobie dość śmiało. W jednej scenie ukazywały się na kilka sekund jej obnażone kolana. Co za skandal!

Pewnego razu Kaziu, Lewin, Berta i ja pojechaliśmy do samej Warszawy, gdyż koniecznie chcieliśmy ujrzeć Polę Negri, która w tamtych czasach była wielką gwiazdą teatralną. Jako że kinematograf tkwił jeszcze w powijakach, a fabuła na ekranie często była dość uboga, aktorstwo sceniczne cieszyło się większym uznaniem niż występ w filmie. Zarówno mnie, jak i Bertę niezmiernie fascynowały Asta Nielsen i Pola Negri. Uosabiały kobiety, które biorą sobie, co chcą, i gwiżdżą na opinię innych. Z kolei Kasimir i Lewin mieli je za lafiryndy, które w prawdziwym życiu daleko by nie zaszły.

I tak mijały nam dni, tygodnie, lata. W ciągu dnia oddawałam się swojej pasji – modzie. Sama szyłam ubrania dla siebie i swoich dzieci wedle krojów, które gdzieś mi się nawinęły. W nocy oddawałam się drugiej namiętności – Kasimirowi. Nasze życie wydawało mi się absolutnie doskonałe. Pojawił się tylko jeden sporny punkt: chciałam zatrudnić piastunkę, ale Kasimir uznał, że to czyste marnotrawstwo.

– Matka zatrudnia na służbie dwie niańki. Zawsze możesz zostawić im dzieci, kiedy gdzieś wychodzimy – orzekł. – Poza tym spotykają się tam ze swoim kuzynostwem. Dobrze wiesz, jak bardzo Romek i Hela są przywiązani do Koko i innych.

Żałuję, że nie udało mi się wtedy dopiąć celu! Zawsze jednak wspólnie spędzany czas wydawał mi się zbyt cenny, żeby go trwonić na kłótnie z Kasimirem. W końcu mój boski małżonek wystarczająco często był

nieobecny, kiedy na przykład wyjeżdżał w podróże służbowe do Tunezji lub na Kaukaz. Wiedziałam tylko tyle, że bawił tam w związku z pozyskiwaniem surowców. Ponadto często musiałam się obywać bez niego, kiedy uczestniczył w ćwiczeniach wojskowych w swoim garnizonie. Do tego świata nie miałam żadnego dostępu. Był to świat mężczyzn.

Tymczasem udało mi się trochę zaprzyjaźnić z najstarszą siostrą Kasimira. Stefka Broekere była matką dwóch starszych chłopców i dwóch dziewczynek, które zgodnie bawiły się z moimi dziećmi. Latem chodziliśmy razem popływać albo urządzaliśmy wyprawy do lasu.

Ale już wtedy okropnie działało mi na nerwy to, że Helena pociągała za wszystkie sznurki, na przykład w miesiącach letnich, kiedy wszyscy spotykali się na tenisa, na herbatki, na polowanie czy grę w karty w Strumianach, włościach teściowej.

Jej majątek ziemski tak był pomyślany, aby wszyscy przybywający czuli się onieśmieleni już choćby za sprawą długiej drogi dojazdowej. Gdy po raz pierwszy jechałam tam z Kasimirem w jego samochodzie, zapytałam:

– Jesteśmy już na miejscu?

Przytaknęła. Ale ja widziałam tylko drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa. Pomiędzy nimi pomniejsze pola pszenicy i kukurydzy, ale jak okiem sięgnąć – żadnych budynków.

– Matka odziedziczyła te posiadłości po dziadku Kratochwillu. Kiedy jeszcze byłam bardzo mała, uprawiano tu zboże wykorzystywane w jego młynie. Teraz mama każe je uprawiać wyłącznie na własne potrzeby, więc sosny zaczynają się panoszyć – wyluszczał Kasimir.

Phaeton sunął już dłuższą chwilę, minęliśmy zakręt i naraz wyłoniły się zabudowania. Dwór, czworaki i stajnie ustawione były w kształcie podkowy i zwrócone do siebie. Ponadto rzucił mi się w oczy mały murowany domek.

– Kto mieszka w tej chatce?

– Ach, to mała gorzelnia. Tato miał licencję na produkcję wódki i pokazał mamie, jak się to robi. „Kontuszówkę” poleca się tylko wtajemniczonym: jest lekkostrawna i zawiera dużą ilość anyżu i kolendry.

Kasimir chciał odwiedzać Strumiany bez mała w każdy weekend, toteż nie pozostawało mi w sumie nic innego, jak jeździć razem z nim. Jednak relacje z jego matką i pozostałymi trzema siostrami pozostawały chłodne. Helenie i Buni udawało się raz za razem zbić mnie z pantałyku.

Na przykład kiedy Helena dowiedziała się, że chciałam nakarmić Heleę piersią i w tym celu zaszyć się w zacisznym miejscu, Bunia powiedziała:

– Moja droga, samej karmić dziecko to dobre dla wieśniaczek, nie sądzisz? Nie wiesz, że piersi zrobią ci się od tego brzydkie i obwisłe, co sprawi, że popchniesz Kazimierza w ramiona innej?

Rzecz jasna zirytowała mnie ta niedyskrecja wyrażona protekcjonalnym tonem. Jednak istotnie nie pomyślałam o tym. Wiedziałam, że mężczyznom lepiej idzie patrzenie niż myślenie. Kasimir z pewnością nie stanowił w tym względzie wyjątku. Kolejny raz przyszły mi na myśl Pola Negri i Asta Nielsen. Chciałam wyglądać jak one: kobiety światowe. Byleby tylko nie jak wieśniaczka. W związku z tym szybko zaniechałam karmienia piersią i korzystałam z usług mamki, młodej robotnicy, która napatoczyła mi się w Strumianach. Sama właśnie odchowowała niemowlę i dodatkowe grosze bardzo jej się przydawały.

Bóg jeden wie, że rodzina Kasimira nie była łatwa w obejściu. Ale starałam się dopasować na wszelkie możliwe sposoby. W ostateczności, z którą rodziną jest łatwo?

Miałam nadzieję, że oto spełniły się już wszystkie moje marzenia. Przede mną roztaczała się perspektywa życia u boku ukochanego Kasimira, istoty niedostępnej za dnia, a nocą zmieniającej się w bóstwo miłości. Jak to się ładnie mówi: byłam cała w skowronkach.

Chcieliśmy mieć przynajmniej czworo dzieci, podobnie jak Stefka, i w ogóle snuliśmy dalekosiężne plany. Jednym z nich miała być podróż do Florencji, gdzie zamierzaliśmy zakupić prawdziwe florenckie kapelusze. Ponadto – ale nie mogłam się z tym zdradzić przed Kasimirem – chciałam choć raz w życiu ujrzeć Dawida dłuta Michała Anioła. Tego najpiękniejszego ze wszystkich młodzieńców – wyrzeźbionego w marmurze, nagiego, jakim go Bóg stworzył. I tak samo nieskazitelnego i godnego uwielbienia jak mój Kasimir.

Rozdział 4

W 1914 roku nad naszym małym, nieśpiesznym szczęściem zgromadziły się ciemne chmury. Przechadzałam się z Bertą po poznańskim Bulwarze św. Marcina, a w tym czasie gazeciarze rozdawali dodatek specjalny: „Zamach w Sarajewie na austriackiego następcę tronu!”. Zdjęcia Franciszka Ferdynanda w galowym mundurze zbroczonym krwią. Z zapartym tchem czytałam o przebiegu całej tragedii. „Zosieńko – miał jeszcze zakrzyknąć do swojej małżonki – zostań przy życiu dla naszych dzieci!”. Jego słowa na nic się zdały. Zamachowcem był młody człowiek. Nie zapamiętałam jego nazwiska, ale nigdy nie zapomnę jego smutnych oczu. Biedna, zagubiona serbska dusza. Nie miał zielonego pojęcia, co nawyprawia, popełniając to podwójne zabójstwo.

Jako tako można było jeszcze zrozumieć, że w następstwie tej zbrodni Austria zaatakowała Serbię. Chociaż uważałam, że nieszczęsny zamachowiec został już dostatecznie surowo ukarany przez wtrącenie go do wilgotnego lochu. Dzisiaj wiadomo, że przykuli go tam łańcuchem i dali mu powoli gnić. W końcu musiano mu amputować rękę; zmarł na gruźlicę. Ale zbaczam z tematu.

W ciągu kilku tygodni cały świat się chandryczył. Kłóciliśmy się nawet ja i Kasimir. Kiedy pierwszego sierpnia 1914 roku cesarz wypowiedział wojnę Rosji, Kasimir wpadł w zachwyty. Z mojego punktu widzenia cała sprawa była prosta jak dwa razy dwa:

– Wilhelm II to rozrabiaka, choćby miał i sto koron na głowie. Przecież tylko czekał, kiedy będzie mógł wypakować wszystkie swoje wojenne zabawki.

– Gosiu, znasz się na tym jak kura na pieprzu – usłyszałam w

odpowiedzi. – To przecież car sprowokował cesarza, który nie mógł postąpić inaczej, jak tylko podnieść rzuconą rękawicę.

– Też mi coś! – odparowałam. – Przez swoją żonę car jest dla Wilhelma kuzynem pierwszego stopnia. A Wilhelm zwraca się do Mikołaja per Miki, oni się całkowicie tykają.

Mój boski małżonek nie chciał jednak o tym słuchać.

– Mój Boże, Gosiu, nie możesz stosować tej kobiecej logiki rodem ze spotkań przy kawce w odniesieniu do domów królewskich. Tu chodzi o politykę światową! Gdybyś częściej czytała gazety, tobyś to rozumiała. Wiesz co? Ta wojna jest ogromną szansą.

– Szansą? A na cóż to?

– No, na nowy światowy porządek – palnął Kasimir bez chwili wahania. – Pomyśl tylko, wojska niemieckie i austrowęgierskie dysponują razem ogromną siłą uderzenia. Zmieciemy Rosjan, ten barbarzyński naród, z powierzchni ziemi! Wytoczmy nasze nowoczesne, ogromne moździerze, i bum! Już po nich – nie będą nas więcej ciemnić.

Wykonał ręką gest, jakby coś ścierał. Do dziś widzę, jak jego oczy błyszczą w uniesieniu.

– Ale przecież dobrze nam się żyje tutaj, w Poznaniu – próbowałam go ułagodzić. – Po co mamy zadzierać z Rosjanami?

To nie to, że Rosjanie budzili we mnie specjalne współczucie. Byli mi raczej dosyć obojętni. Sprzeciwiałam się tylko przemocy i zniszczeniu.

– Gosiu, na świecie dzieją się teraz wielkie wydarzenia. I wezmę w nich udział. Zaciągnę się do wojska!

Nigdy wcześniej nie słyszałam z jego ust podobnych dyrdymałów. Ale jednak nigdy nie śmiałabym powiedzieć mu tego prosto w twarz. Dlatego też zapytałam tylko:

– A skąd ten pomysł? Dlaczego nie poczekasz, aż sami cię powołają? Ochotnicy walą teraz do nich drzwiami i oknami.

– Co ty sobie myślisz? Że chcę wyjść na tchórza przed kolegami? Jeśli

chce się nosić laur zwycięzcy na polu chwały, trzeba walczyć na pierwszej linii frontu.

W tym momencie dotarło do mnie, że to nie przelewki. Skończyło się czcze gadanie. Myślę, że już nigdy później nie byłam tak wściekła jak w tamtym momencie. Ręce mi się trzęsły, a serce tłukło w piersi. Nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

– A... ty mnie tutaj zwyczajnie zostawisz samą? Co z nami będzie? Ze mną i z dziećmi?

Zobaczyłam, że Kasimir się przestraszył. Nigdy wcześniej nie widział mnie tak rozjuszonej.

– Ależ nie denerwuj się tak – sumitował się. – Na Boże Narodzenie wrócę do domu. Za parę tygodni wojna się skończy. To będzie błyskawiczne zwycięstwo, jak na przełomie 1870 i 1871.

– Kasimir, jeśli teraz sobie pójdziesz, to między nami wszystko skończone. Nie będę na ciebie czekała – przestrzegłam go.

Były to zdania, które mi się po prostu wymknęły bez zastanowienia.

– Ty chcesz grozić mnie? – w mgnieniu oka Kasimir zmienił się nie do poznania. Ten stojący w sztywnej wojskowej pozie mężczyzna nie był już moim Kasimirem, lecz szacownym, wyniosłym panem doktorem, nietykalnym, oddalonym, nieskorym do rozmowy z istotą niższą, mojego pokroju. Nigdy nie tracił do końca opanowania, przypominał w tym swoją matkę. W jego oczach jednak zobaczyłam, jak głęboko został zraniony. Przez całe życie musiał czuć, że własna matka wodzi go na pasku. A w chwili, gdy dostrzegł nadchodzącą szansę, by się wyrwać, dokonać wielkich czynów, zostać bohaterem, ja nie wyraziłam zgody, poparcia, podziwu. Co gorsze, sprzeciwiłam się mu, powstrzymałam go! A przecież chciałam tylko chronić nasze szczęście.

Nie mogłam na to nic poradzić. Nagle łzy zaczęły mi płynąć strumieniami po policzkach.

– Co ja mam tutaj bez ciebie począć? – zaszlochałam. – Spodziewasz się może, że zostanę sama z twoją straszną rodziną, która mnie nie akceptuje?

Chyba powinnam była darować sobie słowo „straszna”. Było już jednak za późno. Przeciągnęłam strunę.

Kasimir poszedł do sypialni, ja podążyłam za nim. Podczas gdy pakowałam najbardziej niezbędne rzeczy do małej eleganckiej walizki ze skóry, ja, cały czas mówiąc, wpadłam w furję.

– Kasimir, opamiętaj się! Przecież Bunia zdołała ustrzec Andrzeja przed poborem do armii. Wiesz, że się przyjaźni z lekarzem wojskowym. Ten stwierdził jego niezdolność do służby. Ty też mógłbyś...

– Andrzej Rozmiarzek? Nie mam dla niego wyrazów uznania. Jak śmiesz choć przez chwilę porównywać mnie z człowiekiem, który nie jest gotów walczyć? – wycedził Kasimir z zimną pogardą.

– Wiem, że nie jesteś tchórzem. Ale jeśli o mnie chodzi, nie musisz być bohaterem. Wszystko mi jedno.

– Wszystko ci jedno? Wszystko ci jedno, czy coś osiągnę w życiu? Czy już do końca moich dni mam stać w cieniu ojca? Czy nawet za dziesięć lat mam słuchać tego, co mi każe robić szwagier? Wobec tego wolę już umrzeć, i to honorowo. Martwy bohater jest lepszy niż namiastka bohatera.

– Ale... Ale w umieraniu nie ma nic honorowego, Kasimir – łkałam. – Umieranie to umieranie, nieważne, co starają się wmówić człowiekowi.

– Ta wojna to dla mnie szansa. Mam gdzieś, czy to rozumiesz. I tak zrobię, co uważam za słuszne.

Kasimir zatrzasnął wieko walizki i skierował swoje kroki do drzwi. Z jego strony wszystko zostało już powiedziane.

– Nie wyobrażaj sobie, że będę grać rolę dzielnej narzeczonej żołnierza – krzyknęłam za nim. – Na pewno nie dostaniesz ode mnie niezapominajki, którą mógłbyś przyczepić do czapki lub wetknąć do lufy karabinu. Nie będę ci machać na pożegnanie.

– No to idź precz! – ryknął znienacka Kasimir. – Jedź z powrotem do Berlina, skąd się wzięłaś! Wracaj do tego musztardowego domku w Reinickendorfie i pierz brudy całej rodziny!

Na odchodne wypowiedział kilka nieskładnych słów, typu:

– Wypraszam sobie... Tego by tylko brakowało... Babskie sprawy...

Potrząsał przy tym głową.

Pobiegłam za nim i przyglądałam się, jak wsiada do samochodu. Usiłowałam dokładnie wryć sobie w pamięć jego szczupłą, pozbawioną zarostu twarz. Jego zdecydowane, dumne oblicze. Jego poważne szarobłękitne oczy, które w tamtej chwili wydawały mi się raczej błękitne jak lód. Jego blond włosy, które tak często przeczesywałam palcami.

I właśnie stojąc w tamtym miejscu, powinnam była coś powiedzieć. Coś pojednawczego. Powinnam była życzyć mu dużo szczęścia albo jeszcze raz powiedzieć, jak bardzo go kocham i podziwiam. Że będę na niego czekała. Że dochowam mu wierności.

Jednak stosowna chwila minęła, a ja pozostałam niema. Kiedy spoglądałam za oddalającym się automobilem, wiedziałam, że od tej pory nic już nie będzie takie samo jak przedtem.

Potem ja też spakowałam walizki, odebrałam obydwójce dzieci od Heleny, u której się właśnie bawiły, i wsiadłam do pierwszego z brzegu pociągu do Berlina.

– Jedziemy do babci i dziadka – wyjaśniłam dzieciom z udawaną radością. Hela miała wówczas dwa i pół roku, Romek nie skończył nawet roczku. Nie rozumieli, dlaczego płakałam przez całą podróż.

– Mamusia ma zapalenie oczu – skłamałam. Kiedy cała nasza trójka dotarła wreszcie do Reinickendorfu, byliśmy umordowani.

Mama Wanda wysłuchiwała mojej opowieści i od razu padły z jej strony zarzuty:

– No po prostu niesłychane! Przecież to żaden powód, żeby opuścić męża.

– Ależ mamo, przecież to on mnie opuścił.

– Baj, baj, będziesz w raju.

– Kiedy tak właśnie było! – obstawałam przy swoim.

– Proszę bardzo, możesz u nas zostać, ale sama rób własne pranie –

psioczyła. Gertrude również wtrąciła swoje trzy grosze:

– Z nas wszystkich trafiła ci się najlepsza partia, a ty z byle powodu rzucasz wszystko.

Opinię Gertrude miałam w głębokim poważaniu. Przemawiała przez nią czysta zawiść. Pies z kulawą nogą się nią nie interesował.

Jakiegokolwiek pocieszenia mogłam się spodziewać ze strony jednej tylko osoby, mojego ojca, Karla Augusta Leitloffa. Wystarczyło, że spojrzał w moją zapłakaną twarz, i już umiał sobie wyobrazić, co się stało.

– No, no – pocieszał mnie – wszystko się jakoś ułoży. Kiedy twoja matka i ja byliśmy młodszy, też się często kłóciliśmy. Dzieci są z tobą?

Ojciec ubóstwiał swoje wnuki. Uwielbiał bawić się z nimi w „wio, koniku” i rozśmieszać je do łez. Rozpuszczał moje dzieci jak dziadowski bicz, tak samo rozpieszczał mnie i Gertrude.

W każdym razie na początek zakwaterowałam się w swoim dawnym pokoju. Romek i Hela mieścili się na kanapie. Wszystko było niemal jak dawniej. Wanda, Gertrude i ja wszczynałyśmy nawet ze sobą zwyczajowe utarczki.

Żyłam w stanie ciągłego oczekiwania. Pochłaniałam sterty gazet z nadzieją, że dowiem się czegoś więcej o przebiegu działań wojennych, a co za tym idzie – o miejscu pobytu Kasimira. Stefka przysyłała mi regularnie ilustrowany dodatek wojenny do „Posener Neueste Nachrichten”. W pierwszym roku wojny wszystkie doniesienia były krzepiące. Można było odnieść wrażenie, że kampania wojenna jest dla Niemców i Austriaków jak wędrowna zastępa harcerzy. W gazetach wręcz roiło się od chwalebnych dowódców i bohaterów. Nasi żołnierze w podbitym kraju. Szczątki wrogich samolotów zestrzelonych przez oddział Hindenburga. Rosyjski las spustoszony przez niemieckie granaty. Rosyjscy jeńcy wojenni. Nasi żołnierze w przerwie na kawę, u fryzjera polowego albo piekący gęś na rożnie. Wielkim powodzeniem cieszyły się żołnierskie dowcipy i śmieszne fotografie. Przypominam sobie jedno zdjęcie, na którym widać było najwyższego i najniższego żołnierza cesarskokrólewskiej armii stojących obok siebie. Inne przedstawiało niemieckiego wojaka dojącego krowę.

O tym, jak bardzo na początku lekceważono sobie wojnę, mogą świadczyć zabawki. Producentka lalek Käthe Kruse wypuściła na rynek przeurocze figurki żołnierzy, które rozchodziły się na pniu. Ja sama byłam bliska kupienia kilku mojemu Romkowi. Ludziki były wykonane z materiału, ubrane w szary mundur polowy z filcu, a w związku z tym, że w środku miały drut, można je było wyginać tak, że przybierały każdą możliwą pozę. W zachwyty wprawiały także dodatkowe akcesoria: miniaturowa kuchnia polowa, cyrk w kolorze *feldgrau* wraz z klaunem, małpkami i kucykami albo po prostu filigranowe, lśniące działko artyleryjskie. Jak dobrze, że mój syn był za mały na rzekomo edukacyjną grę planszową „Dumdum”, której nazwa pochodziła od słynnej – czy raczej osławionej – amunicji używanej przez wroga.

Te pociski były tak w ogóle najokrutniejszą rzeczą, jaką pozwolono oglądać nam, pozostałym w kraju. Kule dumdum na pierwszy rzut oka wydawały się zwykłymi – trzeba przyznać, że bardzo spiczastymi – nabojami wypełnionymi ołowiem. Opis ten jednak nie daje nawet przybliżonego obrazu cierpień frontowego żołnierza, w którego ciele kula dumdum rozpadała się na kawałki, uwolniony ołów zaś powodował nieznośny ból [1]. Codzienny lęk przed śmiercią, nieuchronność, ofiary – dla nas, którzy zostaliśmy w kraju, wszystko to było nie do wyobrażenia.

Dzień za dniem z niecierpliwością czekałam na listonosza, licząc, że otrzymam znak życia od Kasimira. Niestety nie miałam pojęcia o niczym. Nie wiedziałam ani do której kompanii go przydzielono, ani na którym froncie walczył. Nie wiedziałam absolutnie nic.

W przyptywie rozpaczki zwróciłam się o pomoc do Heleny. Napisałam dwie kartki pocztowe. Drugą, którą dostałam zwrotnie pocztą, zachowałam do dziś:

Berlin, 7 sierpnia 1914

Droga Teściowo!

Jak dotąd Tatus nie odezwał się do mnie ani słowem, więc bardzo się niepokoję. Nie wiesz, gdzie jest? Pisałam w jego sprawie do Berty i Lewina, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Nadal przebywasz w Poznaniu? Gdybyś widziała się z Kazinkiem, poproś go, żeby przesłał mi jakąś wiadomość. Dzieci są całe i zdrowe.

Serdeczne pozdrowienia od Twojej Gosi

PS Otrzymałaś ode mnie kartkę? Napisz, proszę, wkrótce.

Rzecz jasna nigdy nie dostałam odpowiedzi od Heleny. O wiele gorsze było jednak to, że Kasimir naprawdę nie napisał do mnie ani linijki. Wszystkie koleżanki ze szkoły miały mężów, którzy leżeli gdzieś w okopach. Tylko ja jedna nie otrzymałam nawet strzępka poczty polowej.

Postanowiłam, że nadszedł czas, by zakasać rękawy. Musiałam najpierw ustalić, gdzie przebywał Kasimir. Chciałam mu wysłać list z prośbą o przebaczenie. Jednak sam list nie wystarczał. Udałam się do zakładu fotograficznego i poprosiłam, aby zrobiono mi zdjęcie razem z Helą i Romkiem. Wyszła wspaniała fotografia, na której cała nasza trójka spogląda tak smutnym wzrokiem, że poruszyłby on – byłam tego pewna – nawet kamień.

List wraz ze zdjęciem wysłałam na adres garnizonu Kasimira w Poznaniu. Niestety także ta korespondencja wróciła – z krótkim dopiskiem, że nie udziela się informacji o miejscu pobytu poszczególnych żołnierzy oraz że zainteresowany na pewno niebawem się odezwie. Postanowiłam zatem dalej czekać na wieści od Kasimira. Przecież nie mógł o mnie zapomnieć! Czyżby moje słowa, które wówczas padły, były aż tak niewybaczalne?

Upływał dzień za dniem, mijały tygodnie i miesiące. Za dnia pomagałam mamie przy gotowaniu i praniu albo spotykałam się z przyjaciółkami i bawiłam z dziećmi.

Nocami często śnił mi się Kasimir. Zwykle były to sny życzeniowe, które przedstawiały nasze ponowne spotkanie pełne łez, nasze namiętne pocałunki i kochanie się. W niektórych snach Kasimir był ciężko ranny, a w jednym nawet nie miał nogi. Jednak ja o to nie dbałam, ponieważ w tych sennych marzeniach znów byliśmy jednym ciałem i jedną duszą. Tylko to się liczyło. Pamiętam wyraźnie, że jeden jedyny raz się obudziłam: we śnie ujrzałam Kasimira, jak brocząc krwią, leżał na ziemi w swoim galowym mundurze i przyzywał mnie. Usiłowałam się do niego przedostać, ale powstrzymywał mnie drut kolczasty. Potem przez wiele godzin siedziałam wyprostowana w łóżku i płakałam.

Następnego dnia nareszcie przyszła do mnie poczta. Tego ranka listonosz, któremu już od wielu miesięcy działałam na nerwy ustawicznym suszeniem mu głowy, powiedział:

– Widzi panienska, że poczta wciąż działa bez zarzutu, nawet w czasie wojny. W Prusach wszystko ma swój porządek.

Koperta miała kolor brązowy, adresowana była odręcznie. Z niecierpliwością ją rozdarłam. Ze środka wypadła mała kratkowana kartka. Na niej widniała notatka, kilka linijek po polsku pospiesznie skreślonych ołówkiem. Mozolnie przetłumaczyłam zapisane słowa:

Wicewachmistrz May, dowódca patrolu w oddziale telefonistów, poległ we wsi Rawa Ruska w dniu 18 czerwca 1915.

Został stracony przez Rosjan kilkoma strzałami w głowę i serce.

Pochowany na miejscu wraz z kapitanem Ehrhardtem i jednym z telefonistów, p. szkic sytuacyjny (grób pierwszy z lewej).

M. Bukowiecki

Dłoń mi drżała. To nie ja byłam osobą, która czytała list. To nie o mojego męża chodziło. To jakaś pomyłka.

Odwróciłam kartkę. Bukowiecki miał niewątpliwy talent. Narysował miejsce na skraju lasu oraz trochę karłowatych zarośli. Na pierwszym planie widać było trzy mogiły. Pierwsza z lewej była oznaczona krzyżykiem.

Potem włożyłam list z powrotem do koperty.

Właściwie to musieli go pomylić z kimś innym. Wicewachmistrz? Zastępca podoficera? Coś tu się nie zgadzało. Byłam święcie przekonana, że Kasimir był kapitanem, a w każdym razie oficerem. Nie mogli go przecież zdegradować. Pragnął zostać bohaterem udekorowanym orderami. Także Helena wspomniała przy paru okazjach, że jej syn ma stopień kapitana.

Nigdy nie napomknął o towarzyszu, który nazywa się Bukowiecki. Dobrze wiedziałam, z kim ze swojej jednostki mój mąż się znał bądź przyjaźnił. Makabryczne nieporozumienie.

To, że Kasimir rzekomo dowodził oddziałem telefonistów, zakrawało na

gorzką ironię. Czyli całymi dniami instalował aparaty telefoniczne i kładł przynależne kable, a pomimo to nigdy się nie odezwał?

Niewykluczone, że Kasimir był w oddziale telefonistów. Oczywiście, znał się na tych sprawach. Mayowie jako jedna z pierwszych rodzin w Poznaniu mieli telefon. Kiedy Kasimir zachłystywał się, że za pomocą takiego urządzenia można rozmawiać nawet z kimś po drugiej stronie oceanu, moi rodzice w Berlinie pękali ze śmiechu:

– Po co komu dzwonić za morze? Nam to niepotrzebne. Jak trzeba coś omówić, robimy to osobiście.

Och, dlaczego moi rodzice musieli być tak zacofani? Kasimir na pewno by do mnie zadzwonił. Wiadomo, że o wiele łatwiej jest mówić, niż pisać.

Po południu opowiedziałam rodzicom o złowieszczym liście. Poza tym podjęłam decyzję:

– Chcę jak najprędzej pojechać do Poznania.

– Po co? Myślisz, że cię tam pocieszą? – ripostowała Wanda. – Nie powiedzieli ci nawet, gdzie stacjonuje.

– Ano nie. Ach, sama nie wiem. Chciałabym się dowiedzieć, czy przypadkiem nie napisał do Heleny. Albo do swoich sióstr. A jeżeli tak, to co o mnie napisał. Chcę zachować coś po nim. Choćby jego koszule czy rękawiczki. Być może pozostało coś w kieszeniach jego munduru, moje zdjęcie z dziećmi. Cokolwiek...

– Jak trzeba, to trzeba – powiedziała mama. – Jedź do Poznania. Tylko się nie zawieź, kiedy znów źle cię potraktują.

Ojciec nic nie powiedział, ale poznałam po jego minie, że wiadomość o śmierci Kasimira wstrząsnęła nim. Wprawdzie nie byli sobie szczególnie bliscy, ale się lubili.

Kiedy pakowałam walizki, mama zawyrokowała:

– Ale dzieci jadą z tobą. Mayowie na pewno mają w bród mleka i masła. W czerwcu 1915 roku przejazd z Berlina do Poznania pociągiem nie stanowił jeszcze najmniejszego problemu.

Zgodnie z tradycją Helena przyjęła mnie chłodno. Rysy twarzy miała jeszcze bardziej kanciaste, niż to zachowałam w pamięci. O śmierci Kasimira nie powiedziała ani słowa. Nie zdziwiło mnie to, ponieważ etykieta nie przewidywała składania sobie kondolencji przez bliskich krewnych. Tego, że Helena w ogóle miała uczucia, można było domyślać się tylko wtedy, gdy stykała się ze swoimi wnukami. Brzmienie jej głosu było wówczas bardziej miękkie niż zwykle.

Zamiast umieścić mnie w pokoju gościnnym, już pierwszego wieczoru przedłożyła mi propozycję:

– Kiedy zeszłego lata wyjechałaś na łeb, na szyję, pozbyłam się mieszkania przy Kronprinzenstraße. Wyszłam z założenia, że już nigdy nie wrócisz.

Byłam cała w pąsach.

– Owszem. Ja...

Helena przerwała mi bezceremonialnie:

– Do czasu uregulowania wszystkich spraw możesz wraz z dziećmi mieszkać tutaj, przy Mühlenstraße. Mnie znajdziesz w Strumianach.

– To bardzo szczodra oferta – powiedziałam oszczędnie.

Zbyt dobrze znałam Helenę, by nie wiedzieć, że niczego nie dawała z czystej uprzejmości. Najwyraźniej czuła się zobowiązana do łóżenia na mnie i dzieci, ale chciała mieć ze mną jak najmniej do czynienia.

W tamtym czasie moja przyszłość stała jeszcze pod znakiem zapytania. Ani nie przeprowadzono postępowania spadkowego, ani nie dostałam złamanego szeląga z wdowiej renty. Nie chciałam być kamieniem u nogi Heleny, dlatego podkreśliłam:

– Przywiozłam z Berlina kartki na chleb. Wystarczą mi do sierpnia. Helena jednak machnęła lekceważąco ręką:

– Berlińskich kartek na chleb nie uznają piekarze z Poznania. Poza tym jeszcze nigdy nie korzystałam z tego wymysłu. Ty i dzieci możecie żywić się w Strumianach. Mamy wszystkiego, ile dusza zapagnie. Bunia z dziećmi także przyjechała w gości do Strumian.

Akurat Bunia i jej dzieci były najmniej kuszącym powodem, by częściej pokazywać się w majątku Heleny, wobec tego ograniczyłam się do stwierdzenia:

– Czyli zaopatrzenie w Poznaniu jest lepsze niż w Berlinie.

– Nie w całej prowincji. Ponieważ parobki walczą na froncie, duża część plonów zniszczała. Ale sprowadziłam z Drezna dwa pługi parowe do pracy na moich polach. Z wyglądu przypominają lokomotywy. Z początku dziewczki tak się ich bały, że uciekły. – Na twarzy Heleny odmalował się szyderczy uśmiezek. – Z czasem nauczyły się je obsługiwać.

Wcale mnie to nie dziwiło, Helena miała przecież pieniądze. Bardziej interesowało mnie coś innego:

– Jak stąd dojadę do Strumian?

– Poślę po ciebie powóz. Automobil Kazimierza zarekwirowało wojsko. Zresztą podobnie jak nasze dwa najlepsze konie.

Krępujące milczenie. A jednak imię Kasimira padło w naszej rozmowie.

– W przyszłym tygodniu proboszcz odprawi mszę świętą w intencji Kazimierza. Zakładam, że zostaniesz przynajmniej do tej pory.

– Bez ciała? Ależ... A co, jeśli wszystko jest pomyłką?

Helena spojrzała na mnie pogardliwie i powiedziała ostrym tonem:

– Pomyłka jest wykluczona! Kompania przysłała oficjalne zawiadomienie o jego śmierci. Winien jest jakiś Rosjanin, który go zabił w tej wsi pod Lwowem!

– Msza bez... Czy nie powinien raczej spocząć w rodzinnym gro...?

– Owszem – zgodziła się Helena. – Z pewnością byłoby lepiej, gdyby Kazimierza pochowano w rodzinnym grobowcu. Ale to nie wchodzi w rachubę. Leży martwy na obszarze działań wojennych.

Naraz wiedziałam już, co zrobię: sprowadzę Kasimira do domu, żywego lub martwego. I to bez niczyjej pomocy. Być może zabrzmiało to dziwnie, ale ten plan dał mi nieprawdopodobny impuls do działania.

Nazajutrz wyłożyłam Helenie swój plan. Było po niej widać, że nie wierzy

w powodzenie mojego zamierzenia. Nie miała jednak żadnych obiekcji, zapewne myśląc w duchu: „A niech sobie próbuje”. Ponieważ za mną nie przepadała, było jej wszystko jedno, czy narażałam się na śmierć. Zresztą w Poznaniu moimi dziećmi zajmowały się głównie opiekunki.

Pobyt w Poznaniu był bolesny. Nie mogłam się nigdzie ruszyć, nie myśląc o Kasimirze. Pewnego razu zdało mi się, że rozpoznaję go w kawiarni „Hohenzollern”. Jego dumny chód, jego blond włosy. Ale był to tylko jakiś nieznajomy, być może na urlopie w ojczyźnie.

Helena pokazała mi dwa zdjęcia przysłane przez Kasimira z frontu. Na jednym z nich wylegiwał się pośród towarzyszy na jakiejś łące, w niedbalej pozie i pogodnym nastroju. Mężczyźni zdawali się dobrze bawić. Drugie zdjęcie było przypuszczalnie ostatnim, jakie zrobił mu któryś z kompanów. Twarz miał na nim bardziej pociągłą niż kiedykolwiek, mundur wisiał na nim jak na wieszaku. Zapuścił gęsty podkreślony wąs. Oczy patrzyły posepnie spod furazerki. Bryczesy lśniły wilgocią. W kościstej dłoni trzymał papierosa. Przez jakie piekło musiał przejść? Tak czy inaczej z tego ostatniego zdjęcia spoglądał na mnie ktoś całkiem obcy.

– Nigdy nie wspominał o mnie w listach? – zapytałam.

– Ani słowem – zapewniła Helena.

Nie wierzyłam jej.

Helenie udało się przynajmniej jedno: odnalazła zakład pogrzebowy we Lwowie, niedaleko od Rawy Ruskiej, który zadeklarował gotowość do ekshumowania ciała Kasimira. Koszty całej operacji były niebotyczne. Właściciel zakładu zażyczył sobie 1400 koron, które były walutą AustroWęgier. Tak na marginesie, obszar ten znajduje się obecnie na terytorium Ukrainy.

Schodziłam cały dzień, starając się zdobyć zezwolenie na wyjazd na obszar działań wojennych. Na poznańskim ratuszu wisiał kir. Ale ja byłam ślepa na wszystko. Siedząc na korytarzu prezydium policji, nadal wyobrażałam sobie, że cała historia okaże się koszmarną pomyłką.

Mój mały paszport w brązowej okładce trafił najpierw do Komendy Etapów cesarskokrólewskiej armii, gdzie łaskawie zdecydowano, że wolno

mi będzie zabrać ciało zmarłego męża. Zezwolenie to wydano w drodze wyjątku i musiał je jeszcze przyklepać konsulat austrowęgierski we Wrocławiu. W ostatecznym rozrachunku cała procedura zajęła bite pół roku!

Kiedy w listopadzie 1915 nareszcie mogłam odebrać swój paszport w prezydium policji, ogarnął mnie podniosły nastrój. Jednakże urzędnik szybko sprowadził mnie na ziemię.

– Należą się trzy marki – warknął. – I niech pani nie zapomni zabrać dowodu nieboszczyka. Typowe, pomyślałam. W dzisiejszych czasach nawet zwłoki nie mogą podróżować bez dokumentów.

Dopiero wtedy dokładnie przeczytałam zapisek w paszporcie.

Pozwolenie na wjazd na obszar działań wojennych dla Margarete May. Cel podróży: Lwów w Austrii. Powód podróży: sprowadzenie zwłok. Nakaz opuszczenia Twierdzy do 20.12.1915. Przekroczenie czasu pobytu podlega karze, o ile nie uzyskano stosownej zgody.

Kiedy siedziałam już w wagonie jadącym na Wschód, było tak zimno, że marzłam mimo futra. W Krakowie musiałam się przesiąść do innego pociąg. Dwóch żołnierzy sprawdziło mój paszport i wbiło do niego kolejny stempel, żeby wszystko miało swój porządek.

Wjazd do Twierdzy Kraków w dniu 21 listopada 1915.

Podróż trwała dalej. Krajobraz Galicji, jaki rozpościerał się z okien pociągu, był dokładnie tak szary i opustoszały, jak sobie wyobrażałam: rozległa kraina, naszpikowana prymitywnymi chatynkami z drewna, pomiędzy nimi pobrużdżone pola. Region słynął ze swojej brzydoty, tak że żołnierze szydzili: „Kto przegra wojnę, dostanie Galicję”.

Opadły mi powieki.

We Lwowie czekało na mnie dwóch cherlawych starców. Do odjazdu kolejnego pociągu do Poznania pozostawało jeszcze trochę czasu. Usiedliśmy w dworcowej kawiarni, żeby trochę pogawędzić. Potem mężczyźni mieli załadować trumnę. Rozmowa szła nam opornie.

– Często panowie coś takiego robią? – zagaiłam.

– Myśmy są tylko wozacy w zakładzie pogrzebowym Hedingera –

burknął jeden z nich. Drugi, ponuro szczerząc zęby, dodał:

– Nam nie robi różnicy, czy przewozimy beczki z piwem, czy trumny z trupami.

Ponieważ nie odezwałam się, któryś z nich – jak gdyby chciał strząsnąć z siebie wszystko, co wiązało się ze śmiercią – poinformował mnie:

– Wygrzebywaniem trupów zajmują się jeńcy wojenni.

Obydwaj musieli uznać, że nie mam wszystkich klepek, kiedy im oznajmiłam:

– Chciałabym ostatni raz rzucić okiem na męża. Na poparcie moich słów pokazałam im dowód Kasimira.

– Niechże pani posłucha – ofuknął mnie któryś. – Nie bez kozery trumna jest zaspawana! Przewożenie zwłok to nie wycieczka.

– A widzieli panowie mojego męża? To znaczy, ktoś musiał go do tej trumny włożyć. Na froncie nie ma chyba metalowych trumien, prawda?

– Wszystko robi Herdinger – znów odezwał się pierwszy.

– Coraz więcej tego wysyłania truposzy – wyjaśnił drugi. – Herdinger zbija na tej wojnie fortunę. Co i rusz ktoś kogoś dokądś chce przewieźć.

Zakipiałam z gniewu.

– Panowie – powiedziałam najsurowszym tonem, na jaki mnie było stać. – Dla was to zwykły interes. Ale z pewnością możecie sobie wyobrazić, że chciałabym pożegnać się z mężem.

Mężczyźni milczeli. Jeden z nich wertował dowód Kasimira, dopóki nie wydał z siebie okrzyku przerażenia:

– Zabity... w czerwcu? To przecież całe wieki temu. Przeleżał w ziemi pięć miesięcy. Po dwakroć nie otwierałbym trumny! Niech go pani zachowa w pamięci takim, jaki był.

Skinęłam głową. Mężczyźni mieli rację. To była moja *idée fixe*.

– Niech pani poczeka, mam jeszcze coś. Herdinger kazał to pani przekazać.

Było to małe zawiniątko z materiału. Wytrząsnęłam jego zawartość na stolik. Ze środka wypadły małe cążki, talia kart do gry w skata i zegarek kieszonkowy Kasimira. A właściwie zegarek jego ojca. Poznałam go po wygrawerowanych na nim inicjałach R.M. – Roman May.

Wsunęłam zegarek do kieszeni płaszcza i mocno zacisnęłam na nim palce. Nareszcie zdobyłam namacalny dowód. Mowy nie było o pomyłce.

Poza tym nie znalazłam niczego, co miałam nadzieję znaleźć. Ani zdjęcia mojego lub dzieci, ani rozpoczętego i niewysłanego listu. Żadnej oznaki, że Kasimir o mnie myślał. Że nasza waśń bolała go tak samo jak mnie.

– Nie ma jego pikielhauby i butów z cholewami. Wszystko, co jeszcze się nada, dostają nowe posiłki – zaśmiał się jeden. Jak gdyby mnie to obchodziło! W milczeniu przyglądałam się, jak obaj mężczyźni ładują metalową trumnę do wagonu towarowego. Kasimir był postawnym, roslym mężczyzną, a mimo to zmieścił się w tej małej smutnej skrzynce.

W drodze do domu przyszła mi na myśl bohaterska pieśń, której musieliśmy się nauczyć na pamięć w szkole. Człowiek zapamiętuje czasem okropne banialuki!

Niejeden chwyt był w swym żywiole,

Gdy krew przelewał, odniósł blizny

I na zielonym wrzosowisku poległ

Ku większej chwale swej ojczyzny.

Bo nie masz przecie lepszej śmierci,

Niż być zabitym z ręki wroga...

A potem zapadłam w sen. Śniło mi się, że nie śpię i patrzę przez okno jadącego pociągu. Pośród grubych płatków śniegu rozpoznałam Kasimira. Siedział razem z towarzyszami, grając z nimi w skata. Przed nimi wesoło trzaskał płomień ogniska. Wołałam go po imieniu raz za razem, aż wreszcie się odwrócił. Spod założonego na głowie opatrunku wypływała strużka jasnoczerwonej krwi i ściekała mu po policzkach. Na piersi miał ciemnoczerwoną plamę. Czy nie czuł bólu? Jak mógł być tak rozbawiony? Chciałam natychmiast wysiąść, żeby się do niego dostać. Jednak pociąg

mknął w dal, a Kasimir już niebawem stał się małym czarnym punkcikiem.

Rozdział 5

Na oficjalnym pogrzebie Kasimira w jego ojczyźnie stawilo się pół Poznania. Naturalnie ponownie spotkałam się z jego siostrami. Musiały się one uporać nie tylko z żałobą po bracie, ale też z wieloma innymi przeżyciami.

Piękna Bunia i jej drugi małżonek, doktor Andrzej Rozmiar, przybyli prosto z majątku Kozy. Oboje byli wstrząśnięci tym, co im się właśnie przytrafiło. Od początku 1915 roku komendant Piłsudski korzystał z gościnności państwa Czechów. Jednak na sam koniec jego żołnierze splądrowali majątek i ruszyli dalej. Nie tylko buchnęli wartościowe rzeczy, ale też spalili pracę doktorską Rozmiarka i książki Haliny. Ona sama zdołała ocalić swoje meble.

Nie rozumiałam tego. Piłsudski był bojownikiem o niepodległość Polski. Nie potrafił utrzymać w ryzach swoich podkomendnych? Szczerze powiedziawszy, niespecjalnie mnie ta sprawa poruszyła. A współczucie dla mało wylewnej Buni też miało swoje granice.

Ceremonia żałobna była odrealniona. Czy to panujący wówczas syberyjski ziąb sprawił, że czułam się, jakbym była blokiem lodu albo statystką?

Z chwilą gdy Kasimir spoczął w rodzinnym grobowcu u boku swojego ojca, moja misja była wypełniona. Życie musiało się toczyć dalej. Tylko jak?

Helena zaproponowała, bym nadal korzystała z mieszkania przy Mühlenstraße. Na Boże Narodzenie i Sylwestra 1915 roku moi rodzice oraz Gertrude odwiedzili mnie w Poznaniu. Faktycznie udało im się mnie nieco rozweselić. Nawet moja siostra niemal stawiała na rzesach. Teraz, kiedy przestała mieć jakikolwiek powód do zazdrości, łatwiej jej przychodziło być

miłą w stosunku do mnie. Wtedy jeszcze nie czułam się dotknięta tym, że krewni Kasimira nie zaprosili nas na żaden posiłek w okresie świątecznym.

Zdecydowałam, że będę mieszkać w Poznaniu, gdzie moje dzieci mogły przeżyć wojnę, nie doznając żadnego uszczerbku. Podjęłam też mocne postanowienie, że będzie mi tutaj dobrze. Tyle że w coraz większym stopniu czułam się nieprzydatna. Kucharka Heleny robiła sprawunki i co dzień gotowała. Hela i Romek woleli bawić się u babci niż w mieszkaniu przy Mühlenstraße, bo w strumiańskim parku mogli dokazywać do woli. Poza tym zawsze spotykali tam jakichś towarzyszy zabaw. Hela i Romek mieli razem jedenaścioro kuzynów i kuzynek: Stefka i Bunia urodziły po czworo dzieci, Stacha – dwóch synów, a Romana – córkę.

W jaki sposób mogłam sensownie spędzić ten czas? Rozważałam na przykład, że zgłoszę się jako wolontariuszka do opieki nad rannymi w poznańskim lazarecie, który urządzono w wystawnym zamku Wilhelma II. Pobiegłam więc tam i zaraz natknęłam się na siostrę z Czerwonego Krzyża. Miała zakrwawiony fartuch i obłęd w oczach. Gdy zaoferowałam swoją pomoc, nawet nie zapytała o moje kwalifikacje, za to zaprowadziła mnie do sali, w której leżało kilkunastu okaleczonych mężczyzn. Ranni jęczeli i rżęzili – to było wręcz nie do zniesienia.

– Nie można im podać morfiny? – zapytałam, lecz zmęczona siostra wykonała jedynie lekceważący gest.

– Potrzebujemy jej przy amputacjach.

Ujęłam jednego z pacjentów za rękę i lekko ją uścisnęłam. Była mokrutka.

– Czy nic się nie da zrobić? – pytałam dalej.

Siostra niemo potrząsnęła głową i odprowadziła mnie do drzwi.

– Niech się pani dobrze zastanowi.

Cała ta nędza kompletnie mnie przybiła. Cóż może dać takim mężczyznom kobieta, która sama często zasypia, płacząc? Czy rannemu, który stracił wzrok lub nogi, miałam opowiadać, że wszystko się ułoży? Nie czułam się na siłach podjąć temu zadaniu.

Z upływem 1916 roku atmosfera w Poznaniu uległa zmianie. Coraz głośniej domagano się, by Polska na powrót stała się samodzielnym państwem. W końcu to niemiecki cesarz proklamował Królestwo Polskie. Jednak niektórym Polakom to nie wystarczyło. Chcieli dokonać na Niemcach mieszkających w ich kraju odwetu za upokorzenia, które musieli znosić przez wiele pokoleń.

Pewnego dnia, musiała to być niedziela, na własnej skórze odczułam stężoną nienawiść do Niemców. Hela i Romek byli zaproszeni do Heleny na podwieczorek. O zaproszeniu mnie nikt się nawet – jak zresztą zwykle – nie zająknął, w związku z tym, nie chcąc się narzucać, udałam się do kościoła, aby oddawać się rozmyślaniom, licząc, że będę tam anonimowa. Jednak ledwie przekroczyłam jego podwoje, duchowny, który musiał mnie skądś znać, warknął:

– Zamknięte, posiedzenie Ligi Polskiej!

Do tej organizacji o charakterze narodowym należeli praktycznie wszyscy Polacy, przede wszystkim duchowni, niemniej jednak także szlachcice i chłopci. Odnosiłam wrażenie, że ja jako jedyna osoba w promieniu wielu mil nie byłam jej członkiem. Oszołomiona wyszłam z kościoła na zewnątrz i postanowiłam, że skosztuję babki czekoladowej w kawiarni „Hohenzollern”. Jakże często ten pyszny wypiek poprawiał mi nastrój. Ledwie jednak przestąpiłam próg kawiarni przy Wilhelmplatz, już ożyły wspomnienia o Kasimirze.

– Gosiu, kochanie, umorusałaś sobie buzię czekoladą – powiedział pewnego razu i delikatnie otarł mi twarz płócienną serwetką.

Jednak tym razem, kiedy spróbowałam kleistej i parującej strucli, licząc, że rozplynie mi się w ustach, dawna rozkosz nie chciała się pojawić. Równie dobrze mogłam położyć na języku kawałek drewna. Wspomnienia o Kasimirze – wspomnienie beztroskiego czasu – sprawiały mi ból. Teraz wyczuwałam fałsz we wszystkim. W kawiarni były tylko stoliki dwu- i czteroosobowe. Nikt tu nie siedział samotnie. Nie przewidywano takiej sytuacji. Wydawało się, że każdy jest z kimś, że coś go rozśmiesza – z wyjątkiem mnie. Uświadomienie sobie tego napełniło mnie bezbrzeżnym smutkiem. Miałam wrażenie, że przebywający wokół ludzie przewiercają

mnie wzrokiem i szepczą za moimi plecami. „Co robi ta Prusaczka w naszej kawiarni? Czego ona chce? Nikt sobie nie życzy jej obecności”. Czułam, że tracę rozum. Nic tu po mnie, pomyślałam. Rzuciłam się do wyjścia, chciałam jak najszybciej pobiec do domu, gdzie przynajmniej bez przeszkód mogłam się smucić. Wtem kelner złapał mnie za rękę:

– Ejże, panno! Tutaj się nie kradnie!

Na śmierć zapomniałam zostawić na stoliku parę marek za babkę. Nie puszczając mnie, kelner zażądał mojego dowodu i za chwilę skrzywił nos.

– To było do przewidzenia – mruknął – pruska pijawka. Gdybym to ja miał decydować, już dawno wszystkich by was wypędzono z Polski.

– Kiedy ja się tylko zamyśliłam – zaprotestowałam cichutko. – Jeszcze nigdy w życiu niczego nie ukradłam.

Drżącymi palcami wysupłam banknot dziesięciomarkowy, co stanowiło kwotę niemal trzykrotnie większą niż faktyczna wartość ciasta. Kelner pochwyił pieniądze i poszturchując mnie, skierował w stronę wyjścia. Teraz miałam już całkowitą pewność: oczy wszystkich były zwrócone na mnie. Odarto mnie z resztek godności. Przysięgam sobie, że moja noga więcej nie postanie w tej kawiarni.

Od tej pory czułam się źle w dwójnasób. W Poznaniu nic nie rozpraszało moich smętnych myśli. Nie miałam zwyczajnie nikogo. Nastawienie teściowej i sióstr Kasimira do mnie zdawało się niewzruszone, choćbym była nie wiem jak przymilna. Dawały mi do zrozumienia, że nie są zainteresowane moim towarzystwem.

Nadeszło Boże Narodzenie 1916 roku, kiedy to nie mogło być chyba wokół mnie bardziej pusto. Rodzice nie zdołali przyjechać, ponieważ ojciec złapał zapalenie płuc. Moja przyjaciółka Berta nie miała dla mnie czasu, ponieważ Lewin dostał przepustkę na czas świąt. A cztery panie May nawet nie zamierzały pozwolić mi wziąć udziału w ich święcie. Wyraźne zaproszenie dostali tylko Romek z Helą! Ja mogłam ich co najwyżej odwiedzić do Strumian i stamtąd odebrać. Duma nigdy nie pozwoliłaby mi zapytać, czy i ja mogę zostać. Przecież rodzina Mayów na co dzień okazywała mi, jak niskie ma o mnie mniemanie. Tym mocniejsze było moje postanowienie, że nigdy sama

się nie poniżę.

Było tak, jakbym samotnie musiała wytrzymać napór wielkiej, wrogiej potęgi. Zdawało się, że cała cała rodzina Mayów, wraz z wszelkimi jej odnogami, zmówiła się przeciwko mnie. Czy nie szeptano między sobą, jak długo wytrzymam jeszcze w Poznaniu? Dla Heleny byłam wyłącznie kolejnym punktem na liście wydatków. Gdyby nie ja, mogłaby wynająć swoje mieszkanie przy Mühlenstraße komuś innemu.

Między świętami a Nowym Rokiem zostałam zaproszona do Berty. Ona jednak ni z gruszki, ni z pietruszki zarzuciła mi, że kiedy Lewin był na przepustce, robiłam do niego maślane oczy. Przy czym wobec jej męża nie miałam żadnych zamiarów. Lubiłam z nim rozmawiać, był wszak jednym z przyjaciół Kasimira. Dziś nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jak się wtedy sprawy przedstawiały: armia wdów i coraz mniej mężczyzn. Dookoła śmierć i żałoba. Kobiety były bliskie pomieszenia zmysłów. W każdym razie moja przyjaźń z Bertą raptownie się urwała, a ja nic nie mogłam na to poradzić.

Sama nie wiem, jak udało mi się wytrzymać kolejny rok w Poznaniu. Większość czasu spędzałam samotnie. Raz za razem rozważałam powrót do Berlina. Jednak nie chciałam i nie mogłam jeszcze odpuścić.

Boże Narodzenie 1917 roku przebiegało u Mayów jak zwykle. Przed południem cała rodzina udała się zwartą grupą na katolicką mszę. Rzecz jasna, beze mnie – byłam w końcu ewangeliczką. Potem zachowywali post aż do Wigilii, na którą po śmierci Kasimira przestano mnie zapraszać.

Ale ciągle jeszcze pragnęłam być jedną z nich. Dlatego też zdobyłam się na odwagę i choć nie miałam oficjalnego zaproszenia, wybrałam się na ich rodzinną uroczystość. Polski zwyczaj nakazuje, aby przy stole wigilijnym pozostawić jedno puste nakrycie. Na wypadek gdyby zjawił się ktoś obcy, kto jak Maria i Józef prosi się gościny. Tego wieczoru obcym miałam być ja. Kiedy zjawiłam się w Strumianach, objuczona licznymi upominkami dla całej rodziny, pozwolono mi skorzystać z dodatkowego nakrycia.

Nie odczuwało się, że trwa wojna. Jedzenie wyłożono na wypolerowanych na błysk srebrnych półmiskach. Jak co roku podano tłuste świąteczne karpie. Ludzie w Polsce wierzą, że łuski wigilijnego karpia przynoszą szczęście w nadchodzącym roku. Dlatego zawsze zachowuje się

kilka łusek i nosi je ze sobą w portmonetce.

Po kolacji śpiewano kolędy. Była jeszcze zabawa, która polega na tym, że każdy wyciąga słomkę z siana pod obrusem. Komu trafi się najdłuższa, ten ma rzekomo najdłużej żyć. Kiedy najdłuższe źdźbło przypadło w udziale mnie, nikt nie podzielał mojej radości.

Piękna Bunia przyjechała z mężem. Andrzej Rozmiarzek miał jedną nogę w gipsie, toteż zapytałam go uprzejmie, co się stało. Przez kilka sekund patrzył na mnie zbulwersowany. Rogowe okulary trzęsły mu się na nosie. Następnie kuśtykając o kulach, oddalił się. Zwróciłam się do Buni:

– Wolno chyba jeszcze zapytać...

Bunia syknęła na mnie:

– Gdybyś choć w połowie troszczyła się o Kazimierza, jak ja o Andrzeja, z pewnością by jeszcze żył.

– Ale ja... ja się mu sprzeciwiałam. Nie dał się powstrzymać. Kasimir chciał iść na front.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Mój brat był wychowywany na Polaka!

– Buniu, nie widzisz, że utrata Kasimira dręczy tak samo mnie, jak ciebie?

– A co ty wiesz o prawdziwej udźce? Zwiałaś do mamusi i tatusia! Ja mówię o bólu, który niemal rozdziera serce. Czy ty wiesz, jak to jest, kiedy musisz patrzeć, jak dwóch przyjaciół gruchocze nogę twojemu mężowi?

– Mieliście...

– Orzeczenie lekarskie, które zwalniało Andrzeja ze służby wojskowej w 1914 roku, uznano za nieważne. Musiał się stawić na komisji u niemieckiego lekarza wojskowego. Nie mieliśmy wyboru.

– I ja też miałam zmiażdżyć nogę Kasimirowi? Wtedy zostałby przy życiu, tak? Nigdy by na to nie przystał. I nigdy by mi tego nie wybaczył!

– Tak czy owak nigdy ci nie wybaczył – rzuciła Bunia.

– Skąd niby o tym wiesz?

– Pisał do mnie.

Bez dalszych wyjaśnień Bunia zostawiła mnie, jak stałam.

– Kłamiesz – powiedziałam nieśmiało.

Ale w rzeczywistości wcale nie byłam taka pewna.

Już nigdy później nie czułam się tak osamotniona, jak w latach 1916 i 1917 w Poznaniu. Dzieci i ja byliśmy tu bezpieczni i zawsze mieliśmy co do ust włożyć – kto mógł powiedzieć to o sobie w samym środku wojny? Tutaj ponadto była rodzina Mayów i liczni towarzysze zabaw Romka i Heli. Miałam ich wyrwać z otoczenia, w którym czuli się szczęśliwi, i przeflancować do Berlina, gdzie mogłam im zaoferować co najwyżej swój pokój przy rodzicach? Moje dzieci mówiły po niemiecku gorzej niż po polsku. Tu były szczęśliwsze.

Tylko ja sama gdzieś w głębi duszy powoli zaczęłam usychać.

W styczniu 1918 roku, po długich wewnętrznych zmaganiach, postanowiłam zwinąć swoje manatki i zacząć życie od nowa. Z dziećmi. Bez Mayów. Tym razem jednak nie chciałam się wymknąć cichaczem jak cztery lata wcześniej. Wybrałam się do Heleny, żeby oddać jej klucze do mieszkania i pożegnać się po ludzku. Pożegnanie miało trwać kilka minut. Dzieci zostały z woźnicą, czekając w dorożce na dalszą jazdę na dworzec. Helena nie była ani zaskoczona, ani zmartwiona moimi planami.

– Jest mi obojętne, dokąd się udasz – powiedziała prosto z mostu. – Kasimir cię wybrał, nie ja. Zapamiętaj sobie jedno: dzieci nie należą do ciebie. W ich żyłach płynie krew Mayów, ty je tylko donosiłaś. Zabierzesz je ze sobą, a ja wydziedziczę! Nie zapominaj, że mam łącznie jedenaścioro wnucząt. Już ja się postaram, żeby dorobek życia mojego męża nie trafił do kogoś, kto nie potrafi nawet mówić porządnie po polsku.

Byłam jednocześnie rozsierdzona i zrozpaczona. Ogarnęła mnie niemoc i desperacja. Co miały znaczyć słowa Heleny? Czy mówiła serio? Czy naprawdę chciała wydziedziczyć Romka i Helę, rujnując ich przyszłość? Byłam w stanie przeciwstawić Helenie tylko kilka nieporadnych słów.

– Ale... Hela i Romek mówią przecież po polsku, i to bez akcentu – wykrztusiłam wreszcie.

– Jeszcze! Ale jeśli ich ze sobą zabierzesz, zapomną języka. A poza tym – co ty możesz zaoferować dzieciom?

– Kocham je! Jest im u mnie dobrze.

Z całych sił starałam się powstrzymać łzy. Nie zamierzałam pozwolić jej na ten triumf.

– Miłość! – Helena pogardliwie wypluła to słowo. – To nie wystarczy w tych czasach. Może chcesz karmić dzieci brukwią?

Stałam naprzeciwko Heleny i nagle poczułam się znowu jak mała dziewczynka. Helena i Wanda zlały się w jedną postać. Byłam głupiotką i roztrzepaną, zapominałam o swoich obowiązkach. Ma absolutną słuszność. Przemknęło mi przez głowę, że miłość nie wystarcza. Nigdy nie wystarczała. Po prostu miłość? Któż jej potrzebuje? Ja też nie wystarczam, nigdy nie wystarczałam. Jestem niczym. Kasimir mnie już nie chciał, wszyscy chcą się mnie pozbyć. Jestem niepożądana. Mama też mnie nie chce, a już na pewno nie z dziećmi. Znienawidzi mnie, kiedy jej zwałę na głowę tyle roboty. Tyle brudów do prania. Hałas i jej migrena...

– Moi rodzice... – Odważyłam się nieśmiało wtrącić.

– Twoi rodzice! – Helena zrobiła pauzę i wbiła pełen wzdargy wzrok w ziemię. – Jestem pewna, że będą cię wspierać, ale wybiegnij myślą kilka lat naprzód. W jakim otoczeniu mają dorastać Romek i Hela? Tu, w Poznaniu, mają kuzynów i kuzynki, nazwisko May coś znaczy. Stosunki i układy to połowa życia. Jedno zaproszenie na odpowiedni bal może zadecydować o tym, jakie życie będzie wiodła Hela. W lecie twoje dzieci mieszkają w Strumianach, gdzie mogą codziennie trenować na własnym korcie. Zimą mogą korzystać z udogodnień mojego mieszkania w mieście. Dostają prywatne lekcje u radcy dworu Czernina razem z wnukami Radziwiłłów. Zważ, w jakich warunkach będą dorastać u ciebie...

– Chcę zacząć nowe życie. Poszukam sobie pracy!

– Pracy? – roześmiała się Helena. – To dobre dla dziewczuch z proletariatu! Czy to oznacza, że twojego ojca nie stać nawet na utrzymanie ciebie i dzieci?

– Stać go. Ale...

– Dochodzą słuchy, że Berlin ma poważne trudności z zaopatrzeniem. Nawet kartofle są towarem deficytowym, a ja mam ich pełną piwnicę.

Przyszedł mi na myśl ostatni list od mamy: „Co dzień całymi godzinami stoję w sklepie, nóg nie czując, żeby w końcu kupić nadgniłą brukiew”. Rozważałam, czy nie mogłabym posadzić kartofli w ogródku mamy, może na wiosnę. Pod żadnym pozorem nie chciałam zostać w Poznaniu. Tyle było pewne. Byłam tak bardzo samotna, czułam się tak niemile widziana. Chciałam uciec. Czy miałam jednak prawo zabierać ze sobą dzieci? Przywiązywać je do siebie z egoizmu, tylko dlatego że lubiłam, gdy były w pobliżu? Nie miałam zielonego pojęcia, co mnie czeka w Berlinie. Paraliżował mnie strach, że moje dzieci będą głodować.

Helena zobaczyła moją zafrasowaną twarz i nagle uderzyła w zaskakująco pojednawczy ton:

– Rozumiem, że chcesz wracać do ojczyzny. Prawdą jest też, że pozostając w Polsce, a będąc Niemką, utracisz prawo do renty. Dlatego pruscy urzędnicy już dawno dali stąd drapaką. Możesz jednak zostawić u mnie Romka i Helę. Będą się najadać do syta, a kiedy wojna wreszcie się skończy, zabierzesz ich do siebie.

Bez słowa opuściłam pokój. W środku czułam absolutną pustkę i chłód. Jak miałam postąpić? Dlaczego Kasimira nie było teraz przy mnie?

Zeszłam na dół do siedzących w dorożce dzieci, gorączkowo rozmyślając. Co było dla nich najlepsze? Moje serce krzyczało: zabierz je ze sobą! Wtedy przypomniałam sobie o głodzie panującym w Berlinie, o wychudzonych ludziach, o których donosiła prasa. I o groźbie Heleny, że wydziedziczy moje dzieci. Byłam w kropce. W głębi mojej duszy coś jęknęło. „Bądź rozsądna – powtarzałam sobie raz za razem. – Zabranie ich może oznaczać, że umrą”.

Kiedy dotarłam na dół, zapytałam drżącym głosem:

– Czy chcecie zostać na święta w Poznaniu, u babci Heleny? Przyjadę po was w nowym roku?

Dzieci przytaknęły. Z zimna poczerwieniały im już nosy. Perspektywa ognia w kominku i paru słodczy u babci nastroiła je radośnie.

Rozstanie z dziećmi było nie do zniesienia. Jeszcze raz spojrzałam na

nie. Sześciolatnia Hela ze złocistymi falami na głowie, wielką kokardą we włosach i zaróżowionymi policzkami. Jej małe rączki, którymi mocno tuliła do siebie lalkę. I pięcioletni Romek, który przyglądał mi się z powagą i badawczo. Mnie, swojej matce, stojącej na krawężniku i przestępującej niezdecydowanie z nogi na nogę. To było niegodne.

Rozum podpowiadał mi: „Musisz już iść. Tak będzie lepiej. Tutaj są bezpieczne”. Ale w gardle uwiązał mi szloch, który udawało mi się tłumić z największym trudem, w moim sercu zaś tkwił wbity nóż.

Zatrzymałam się, jakbym wrosła w ziemię.

Czy mój chłopiec poradzi sobie beze mnie? Nie mogłam nie pomyśleć o tym, jaki jest dzielny, jaki ryzykancki. Czy był jednak dość silny, by stawić opór Helenie? Czy karałaby go, gdyby się przed nią nie ugiął? Miała 62 lata, ale nie znała łagodności starszego wieku. Już jej córki i mój Kasimir cierpieli z jej powodu. Z powodu jej nieprzejednania, jej braku ciepła, jej katolicyzmu.

I myślałam dalej: czy będzie potrafiła ochronić Romka? Romka, który zawsze szukał ryzyka i z tego powodu doznał niezliczonych złamań kości, który mając cztery latka, wskoczył do Warty, choć nie umiał jeszcze pływać. Przypomniałam sobie, jak porzuciłam parasol i torebkę i całkowicie ubrana wskoczyłam za nim do wody, żeby wyciągnąć młócający rękoma tłumoczek. Warta wraz ze swymi rozmaitymi nurtami i wirami mogła go zabić. A cóż zrobił ten ryzykant, kiedy przemoczony do suchej nitki leżał w trawie, wypluwając zimną i mętną od wodorostów wodę z rzeki? Zaśmiał mi się prosto w nos, jak gdyby była to zabawna przygoda. W nocy jego małe gorączkujące ciało tuliło się do mnie, szukając schronienia. Podłużny szczupłutki i mokry od potu kształt leżał u mego boku i trzymał mnie za rękę.

Ten dzielny chłopiec, nienawidzący zwykłych spacerów, mimo wszystko towarzyszący mi tak często.

– Bo wtedy nie muszę być długo bez ciebie – powiedział mi pewnego razu. Uściskaliśmy się mocno: Hela, Romek i ja.

– Na razie – pożegnałam się z nimi po polsku.

Odwróciłam się na pięcie, wsiadłam do dorożki i pojechałam na dworzec.

W czasie całej podróży pociągiem nie mogłam przestać płakać. Na każdej stacji miałam nieprzepartą ochotę wysiąść i zawrócić. Przebiec drogę powrotną, brnąć w śniegu.

Ale jednak nie uczyniłam tego. Nie posłuchałam głosu serca. Nie wiedziałam, że pewnych spraw nie można nigdy nadrobić. Czułam się całkiem pusta i wyzuta z nadziei. Byłam niczym. Byłam niewidzialna.

Rozdział 6

Berlin miał mnie z powrotem. A oto byłam ja: 27letnia wdówka z głową nabitą marzeniami i pragnieniami. Nie wiedziałam, czy uda mi się zbudować od nowa życie bez własnych dzieci. Czułam się bez nich tak, jak gdyby amputowano mi kawałek ciała.

Okropnie brakowało mi Romka i Heli. Tęsknota sprawiała, że w moich myślach prawie nie było miejsca na nic innego. Co rano całowałam ich na oprawionym w srebrną ramkę zdjęciu, tym samym, które powstało z myślą o Kasimirze i na którym wszyscy troje wyglądaliśmy tak smutno.

W związku z tym rzuciłam się w wir walki o czyste przetrwanie, byle tylko nie myśleć o niczym więcej. Zimą 1918 roku sytuacja zaopatrzeniowa miasta była fatalna. Po prostu nie dało się kupić nic porządnego. O jedzeniu nawet nie wspomnę, ale brakowało też innych rzeczy, które uprzyjemniają życie – choćby płatków mydlanych czy rękawiczek. Nawet w domu towarowym „Wertheim” wystawy świeciły pustkami.

Do tęsknoty za dziećmi, która tak bardzo ciążyła mi na sercu, dołączyły się bóle brzucha. Pusty żołądek potrafi doskwierać do tego stopnia, że w pewnym momencie człowiek jest gotów jeść wszystko, nawet szczury, drewno czy trawę.

Dopiero później przeczytałam, jak wielu ludzi zmarło wówczas z głodu. Nie mówiło się o tym. Zresztą po co? Głód skutecznie opanował moje myśli, czy tego chciałam, czy nie. Niekiedy wybierałam się do centralnej kuchni przy Wörtherstraße, co oznaczało pokonanie na rowerze ośmiokilometrowej trasy i co najmniej godzinne stanie w ogonku tylko po to, by dostać mniej lub bardziej wodnistą zupę. W piekarniach płacono za chleb i bułki lichwiarskie ceny. A co dopiero na czarnym rynku. Lichutka renta wojenna

po zmarłym mężu, którą mi tymczasem przyznano, nie pozwalała związać końca z końcem. W tej sytuacji postanowiłam nieco dorobić.

W Reinickendorfie żyła starsza pani, niejaka Kätchen Paulus. Znali ją wszyscy. Za młodu była pilotką balonów, powietrzną akrobatką i lotniczką. Dokonując swoich wyczynów, nosiła męski strój marynarski, co w tamtym czasie spotykało się z ostrą krytyką. Kobieta ubrana w spodnie wywoływała zgorszenie. A przecież podwiana pędem powietrza spódnica, odsłaniająca przy okazji bieliznę, byłaby czymś o wiele bardziej skandalicznym! Po tym, jak mąż Kätchen Paulus rozbił się balonem i zginął, ona sama zaprzestała skoków spadochronowych. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie wpadła na kolejny świetny pomysł: mianowicie wynalazła składany spadochron! Kiedy w 1914 roku wybuchła wojna, podjęła decyzję o rozpoczęciu produkcji ekwipunku dla balonowych oddziałów zwiadowczych, i to *en gros*.

Ponieważ szycie było moją pasją, zgodziłam się do niej do pracy chałupniczej, by na koniec wytwarzać do stu spadochronów na tydzień. Nic a nic nie dbałam o to, jak bardzo mam pokłute palce, nareszcie mogłam robić coś sensownego i na dodatek zarobić parę marek. Za każdym razem, gdy odnosiłam gotowe spadochrony, cieszyłam się na krótkie pogaduszki z Kätchen. Na gzymsie jej kominka stały fotografie męża i syna, obie przepasane kirem. Opowiedziałam jej o sobie, Kasimirze i dzieciach. Dobrze pamiętam, że spojrzała na mnie z powagą i powiedziała:

– Na nic się nie zda rozpamiętywanie przeszłości. Życie trzeba brać takim, jakie jest.

Za pieniądze, które zarobiłam u Kätchen Paulus, kupiłam dwie kury i koguta andaluzyjskiego. W niedługim czasie zdołałam wyhodować całą kurzą kompanię. Skąd taka miastowa dziewczyna jak ja znała się na hodowli drobiu? No cóż, jeszcze będąc w Poznaniu, zwędziłam książki Kasimira. Niekiedy wpisywał do nich ołówkiem swoje uwagi, dlatego wzięłam je sobie na pamiątkę. Przez przypadek jedna z nich nosiła tytuł „Katechizm usprawnionej hodowli wiejskich kur”. Rodzina Mayów zawsze sama wszystko hodowała i uprawiała w Strumianach, a Kasimirowi najwyraźniej sprawiało to radość. Dzięki przydatnym radom zawartym w tejże książeczce po naszym ogrodzie człapały nadzwyczaj tłuste i szczęśliwe kury, które składały tyle jaj, że raz na jakiś czas mogliśmy zostawić im jedno do

wysiadywania. Byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy utrzymali całą sprawę w tajemnicy. Jednakże kury gdakały tak głośno, że już wkrótce o ich istnieniu wiedzieli wszyscy. Regularnie ktoś dzwonił do naszych drzwi, więc byliśmy zmuszeni oddawać coś niecoś sąsiadom, żeby nie zakablowali na nas do władz. Na noc zaś kury zamykaliśmy w piwnicy, żeby nikt ich nam nie drapnął. W tamtych czasach obowiązywała specyficzna moralność: nikt nie miał wyrzutów sumienia, jeśli świsnął coś, co było mu niezbędne do przeżycia. Na przykład nasz płot: w zimie co rusz nad ranem brakowało kilku sztchet. Ludzie potrzebowali drewna na opał, ponieważ marzli na kość. Tato musiał się nieźle nagimnastykować, aby czymś pozatykać powstałe wyrwy. Pamiętam, że raz przyczepił nawet tabliczkę z napisem: „Ten płot się nie pali, jest impregnowany dymem”. Pomijam już, że były to jakieś duby smalone, ale też na niewiele się to zdało. W pewnym momencie cały płot wyparował.

Z ostatniego roku wojny w pamięci pozostał mi głównie ogrom pracy w ogrodzie. Mama, Gertrude i ja uprawiałyśmy tylko warzywa jadalne: kartofle, pomidory, czerwoną i białą kapustę. Nadawał się każdy spłachetek ziemi. Do ogrodu szłam już o czwartej lub piątej rano, gdy było jeszcze ciemno, żeby pozbierać ślimaki, które oblażyły nasze warzywa. Każdego z osobna, bo nie mieliśmy pestycydów. Warzywa smażyliśmy na margarynie, która smakowała tak, jak musi smakować smar do osi wozów. Resztę dnia wypełniało gotowanie prania, robienie przetworów i pobieżne sprzątanie. Tak przetrwaliśmy trudny czas wojny.

Romkowi i Heli powodziło się w Poznaniu znacznie lepiej. Niańka u mojej teściowej informowała mnie o nich na bieżąco. W Strumianach dzieci miały nie tylko pod dostatkiem mięsa, chleba i masła, ale też – w nagrodę, gdy zrobiły coś szczególnie dobrze – dostawały czekoladę.

Długo wyczekiwany pokój nastąpił w listopadzie 1918 roku. Jakże zawiedziony był mój ojciec, kiedy Wilhelm II dał dyla do Holandii, zamiast złożyć w ofierze swoje życie w ostatecznej walce z wrogiem.

Miałam to wszystko w nosie. Znowu myślałam tylko o Heli i Romku. Powzięłam decyzję: „Nareszcie sprowadzę do siebie dzieci! Moje kochane szkraby!”. Chciałam je znów mieć przy sobie. Głaskać je po buziach. Przeżywać razem z nimi to, z czego się cieszyły i czym się smuciły. Chronić

je i rozpieszczać, przelać na nie całą moją miłość i czułość.

Miałam jednak dobre powody, by jeszcze trochę odczekać. Zawarty pokój nie był bowiem pokojem z prawdziwego zdarzenia, raczej swego rodzaju krachem. Raz za razem działo się coś, co wywracało nasze życie do góry nogami. Pewnego dnia rada robotnicza i żołnierska u Borsiga zagroziła bramę do fabryki, tak że tato nie mógł chodzić do pracy. Naturalnie bez pracy nie było pensji, a przecież byliśmy całkowicie zdani na jego dochody, ponieważ z upływem czasu musiałam zrezygnować z zatrudnienia u Kätchen Paulus. Najpierw skończył się jedwab na czasie, potem zapotrzebowanie na spadochrony. Ale to był jeszcze najmniejszy szkopał. Gorsze było to, że w tamtym czasie różne szajki robiły napady na domy jednorodzinne. Dlatego tato przyłączył się do samoobrony obywatelskiej i nocami pełnił na zmianę z innymi straż w sąsiedztwie.

W okresie Bożego Narodzenia 1918 roku na ulicach dochodziło do strzelanin. W mieście toczyła się lewicowa rewolucja. Co prawda, uważaliśmy, że nas ona nie dotyczy, jednak nie mieliśmy już odwagi wychodzić z domu. „Czy to się nigdy nie skończy? Kiedy wreszcie będzie spokój?“, zżymałam się.

Mniej więcej w tym samym czasie w Poznaniu wybuchło powstanie antyniemieckie. Polacy chcieli, aby ich kraj w końcu przestał należeć do Prus. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej przywódcy Ententy pewnie sądzili, że lepiej będzie pozostawić Niemcom tereny graniczne na Wschodzie, żeby bolszewizm nie rozlał się od razu na Zachód. Jednak w swoich rachubach nie uwzględnili Polaków, którzy mocno potrzęsali swoimi szablami, aż w styczniu 1920 roku przejęli władzę wojskową w Poznaniu. Cała ta sprawa była dla mnie w sumie nieistotna. Jednak nie w smak mi było to, że Polacy cenzurowali moją korespondencję z Romkiem i Helą. Długi list z okazji Bożego Narodzenia odesłali mi – to nie żarty – ponieważ napisałam dzieciom: „Obmierzły mi te wszystkie potyczki! Kogóż interesuje, co jest nakreślone na mapie? Każdy w głębi serca wie, do jakiego narodu należy. Nie sądzicie?”. Fragment ten zaczernili. Obok pieczętka cenzury wojskowej. Pozostała treść była moim zdaniem nieszkodliwa. Mimo to Polacy odbierali mój list jako zbyt niebezpieczny, żeby przekazać go dalej moim dzieciom.

Na początku 1919 roku Friedrich Ebert został prezydentem Rzeszy. Mój

ojciec skomentował to zwięźle: „To zwykły siodlarz. Ale może wraz z nim wróci trochę porządku”. I tak właśnie było: po raz pierwszy od tylu lat nastąpiła względna normalność.

Byłby to najodpowiedniejszy moment, żeby wreszcie sprowadzić dzieci i znowu tulić je do serca. Karta mogła się jeszcze odwrócić. Byłam jednak młoda i wierzyłam, że przede mną cała wieczność.

Poza tym nieoczekiwanie coś mi wypadło. Może zabrzmiało to odrobinę durnie, ale była wiosna – jeśli to cokolwiek tłumaczy! Świeciło słońce, krokusy wysuwały swoje główki z ziemi. Wydawało mi się, że czuję w powietrzu miłość. Co prawda, na ulicach wszędzie siedzieli żebrzący inwalidzi wojenni. Zazwyczaj nie mieli nogi albo ręki, czasem brakowało im nawet podbródka. Mężczyźni ci byli nie tylko wyniszczeni zewnątrz, ale też urażeni w swojej godności. Ich widok brutalnie sprowadzał człowieka na ziemię: młodzi ludzie o twarzach stuletnich starców.

Jednak ja, Margarete May, po prostu odwracałam wzrok. Nie chciałam, aby to, co straszne, mroczne i smutne, przeniknęło do mojego serca. Do tej pory skutecznie się uchylałam, nie dopuszczając do siebie ciemnych aspektów życia. Myślałam raczej, że byłoby miło znaleźć nową miłość. W uszach pobrzmiwało mi zdanie Kätchen Paulus: „Życie trzeba brać takim, jakie jest”.

Jeśli przełączymy oczy w tryb odbioru, zwykle nie trwa długo, zanim ujrzymy to, co chcemy zobaczyć. Żeby poznać odpowiedniego mężczyznę, nie musiałam nawet wychodzić z domu.

Pewnego dnia rozległ się dźwięk dzwonka. Akurat nie było nikogo oprócz mnie, więc sama otworzyłam drzwi. Przed nimi stał wysoki uśmiechnięty młody człowiek w szarym garniturze i wełnianym płaszczu. Ach, te niebieskie oczy! Co za *charme*! Co za maniery! W takiej sytuacji było mi właściwie ganc pomada, czego chciał. Był agentem handlowym, z gatunku tych, którzy są już na wymarciu. Obecnie nie opłaca się już zachwalać produktów, tułając się od drzwi do drzwi. Nie miało większego znaczenia, co dokładnie mówił – podobał mi się. Był rostry i szczupły, a na jego twarzy malował się jednocześnie wyraz zblazowania i rozbawienia.

Wyszczrzył się do mnie w uśmiechu. Ja nie pozostałam mu dłużna, a

potem zapytałam uprzejmie:

– Czym mogę panu służyć?

– Och, obawiam się, że w niczym – odrzekł. – Sprzedaję produkty do pielęgnacji urody. W pani przypadku są one zbędne, jak mniemam.

– Nigdy nie wiadomo – odparłam. – Niech no pan pokaże, co tam ma.

Poprosiłam go do środka, a on się przedstawił. Nazywał się Fritz Rusch. Rozłożył przede mną swoje pudełeczka. Było to mydło „Lilienmilch”, produkt firmy Steckenpferd przeznaczony dla wytwornej bladej cery. Śliczne paczuszki różnych rozmiarów. Ale cały ten asortyment był dla mnie sprawą poboczną. Odpowiadała mi wesołość młodzieńca i to, że – dla odmiany – niczego mu nie brakowało. Posiadał wszystkie członki, a nawet nie miał pokiereszowanej twarzy.

– Wie pani, w dzisiejszych czasach trzeba być obrotnym – wyjaśnił Fritz.
– Przed wojną snułem inne plany na życie. Ale teraz nie jest łatwo dostać przyzwoitą pracę.

Pokiwałam głową z pełnym zrozumieniem.

Następnie Fritz wyjął butelkę z zielonkawą zawartością.

– Poczęstuje się pani? Moi klienci po prostu za tym szaleją. Sprzedaję dziennie dziesięć butelek.

– Co to takiego?

– Napój na bazie ziół. Pokochałem go, będąc na francuskim froncie. Ja i moi kompani piliśmy to litrami. Nazywa się absynt i pomaga na wszystko: malarię, migdałki i migrenę. Nawet na niedobór mięty.

Facet miał poczucie humoru. Wyjęłam dwa kieliszki na likier.

– Do picia absyntu potrzebny jest cukier w kostkach. Dysponuje pani?

Dysponowałam. Fritz opowiedział mi szaloną historię o tym, jak walczył na froncie włoskim nad Soczą, jak tuż przed Paryżem został bohaterem i jak w końcu odznaczono go Krzyżem Żelaznym. Nie całkiem za nim nadażałam. Zielonkawy płyn działał. Ale wciąż kiwałam głową z zainteresowaniem, bo gość zyskiwał z każdym kolejnym kieliszkiem. Aby wysłać mu drobny sygnał,

że jestem otwarta, niby to przypadkiem przemyciłam informację o moim wdowieństwie.

Na koniec leżeliśmy w poprzek kanapy i całowaliśmy się. Dzięki Bogu Gertrude i mama wróciły do domu, w przeciwnym razie posunęłabym się chyba za daleko. Fritz pożegnał się z nami, trzema kobietami, całując każdą w rękę. I tyle go widziałyśmy.

Ale wrócił już w najbliższy weekend, przyprowadzając ze sobą pewną parkę: Gerde i Willego Schulzów. W ten sposób rozpoczął się dziki okres w moim życiu. We czwórkę sialiśmy niepokój w lokalach rozrywkowych przy Friedrichstraße. Gdy w sobotnie wieczory słyszałam za oknem klakson, wiedziałam, że przyjechał Fritz. Zawsze ubrany w elegancki smoking siedział w służbowym automobilu i czekał na mnie, trzymając w dłoni papierosa. Był nieodparcie nonszalancki, ot co. Owszem, czasami zadawałam sobie pytanie, dlaczego Fritz korzysta z auta także w weekend, kiedy niczego nie sprzedaje.

Naówczas szylałam jak opętana. Za każdym razem wychodziłam z domu w najnowszej, samodzielnie uszytej kreacji, a Fritz nieodmiennie wydawał z siebie przeciągłe *Oh là là!* albo gwizdał z aprobatą.

Fatałaszki, które zakładałam na siebie, były zrobione z aksamitu lub satyny, wykończone frędzlami, szklanymi paciorkami i piórkami. Taka luźna sukienka była gotowa w mig: dwa kawałki materiału tej samej wielkości, dwa cienkie ramiączka i już można było naszywać aplikacje. Nie trzeba było przecież ścibolić talii! Potem wystarczyło pociągnąć usta czerwoną szminką, wyłożyć sznur pereł na gors, i już było można pogrążyć się w szaleństwie życia nocnego.

Najczęściej szliśmy na tańce. Fritz popychał mnie przed sobą po parkiecie w rytm tanga, fokstrota, slowfoksa lub onestepa. Mieliśmy ulubione szlagiery, które zamawialiśmy u orkiestry rewiowej. W uszach wciąż mi jeszcze brzmią melodie tych piosenek, pamiętam nawet ich teksty:

Myślisz więc, myślisz więc, berlinianko miła,

Że nie kocham cię, boś dotąd ze mną nie tańczyła?

Nie złość się, wierna bądź, słodka Margarete!

Dobrze wiesz, że wielbię cię, jedyną kobietę.

Była to polka, która pod koniec nabierała coraz szybszego tempa. Człowieka oblewały siódme poty. Fritz był diabelnie dobrym tancerzem. Prowadził tak wspaniale, że w ogóle nie musiałam się zastanawiać, gdzie stawiać stopy. Po prostu je stawiałam. Taniec, śmiech, unoszenie się nad ziemią. Tak to wyglądało. W miarę szybko zorientowałam się, że Franz był nie tylko dobrym tancerzem, ale też równie dobrym kochankiem. Już kilka tygodni po naszym pierwszym spotkaniu zaprosił mnie do siebie. Po kilku kieliszkach absyntu ściągnął ze mnie sukienkę. Błyskawicznie pozbył się też swojego ubrania. Potem przyciągnął mnie do siebie. Dobrze wiedziałam, co nastąpi.

Schulzowie i my uwielbialiśmy kabaret „Größenwahn” (Megalomania), który miał swoją siedzibę na pierwszym piętrze pałacu kinowego „Union” przy Ku’dammie⁴. Wprost przepadałam też za Trude Hesterberg, założycielką kabaretu „Wilde Bühne” (Dzika Scena), śpiewającą między innymi takie wersy: „Ach, czegoż to ja nie nawyczyniałam z miłości! Nie jestem pobożną Heleną ani cnotliwą Susann...”.

Wraz z Schulzami stanowiliśmy czterolistną koniczynę. W głowie było nam tylko jedno: dobra zabawa! Przy Friedrichstraße pojawiło się wiele lokali z nagimi tancerkami. Fritz i Willi chcieli się tam kiedyś wybrać. Kiedy uznałam, że to nieprzyzwoite, Fritz się obruszył:

– Jak możesz być taką prowincjonalną gęsią, Grete?

Nie upłynęło wiele czasu, a już przyjąłam propozycję małżeństwa od Fritza. Ślub nie był widowiskowy. Na świadków wzięliśmy Schulzów. Nikogo innego nie zaprosiliśmy. Moją rodzinę pozostawiłam w mroku niewiedzy na temat tej „cichociemnej” akcji.

Już niebawem wprowadziłam się do Fritza, który jako sublokator zajmował umeblowany pokój przy Schloßstraße w dzielnicy Steglitz. Nie przeszkadzało mi, że mieszkamy w takiej ciasnocie. Prawie wszyscy musieli się borykać z tym samym problemem, bo w Berlinie dramatycznie brakowało mieszkań. Chciałam raz na zawsze zamknąć za sobą przeszłość. Wszelkie upokorzenia, żałoba i mrok – wszystko zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy byłam razem z Fritzem.

Pewnego razu napomknęłam, że już teraz Kocham nasze wspólne dzieci. Fritz mnie tylko wyśmiał:

– Grete, jakaś ty staroświecka! Jest już na to odpowiedni środek.

Byłam w szoku, kiedy bez cienia zażenowania Fritz wyjął swój „interes” i naciągnął na niego coś, co wyglądało jak skórka kielbasy. Moje pożądanie natychmiast się ulotniło, ale Fritz rozkręcił się już na dobre:

– Grete, nie wygłupiaj się! To naprawdę dobre kondomy: „Fromms – wulkanizowane!”.

Posiadł mnie z wielką namiętnością, a ja postanowiłam przywyknąć do kontaktu z tymi ciałami obcymi.

Potem dowiedziałam się, że Fritz również nie znosił kondomów. Używał ich tylko dlatego, że za żadne skarby nie chciał mieć dzieci.

– Na cholerę mi tacy mali utrapieńcy u nogi? – pytał.

– Ależ Fritz! To mali ludzie. Owoc miłości mężczyzny i kobiety. Wyobraź sobie, jakie to słodkie: malusi Fritz i malutka Grete. Dwie ludzkie istoty, które potrzebują naszej miłości.

– Co za cklawe brednie! – wybuchnął Fritz. – Pewnie się naczytałaś romansideł Jadwigi CourthsMahler!

Zapalił papierosa.

Z pewnością wybrałam nie najlepszy moment, ale musiałam mu to powiedzieć.

– Fritz, chcę sprowadzić z Poznania swoje dzieci. Nie trzeba im zbyt wiele miejsca... Mogą spać choćby na kanapie.

– Litości, Grete!

– Pokochasz je, Fritz.

– Skąd masz taką pewność? Nawet ich nie znam.

– Nie wyobrażaj sobie, że to jacyś, jak lubisz powtarzać, rozwrzeszczani utrapieńcy. Romek jest już małym dziewięcioletnim mężczyzną, a Hela ma o rok więcej. Są niezwykle dobrze ułożeni i schludni.

Fritz przyciągnął mnie do siebie i popatrzył na mnie szelmowsko.

– A co będzie z naszym fikumiku rankiem i wieczorem? Gdzie się podzieje cała zabawa? Z wolna robiłam się coraz bardziej zła.

– Ile ty masz lat, Fritz? Myślisz tylko o przyjemnościach. Ja potrzebuję prawdziwego dorosłego mężczyzny. I skoro jesteś dorosły, oczekuję, że będziesz się zachowywał, jak na twój wiek przystało. Nie da się przetańczyć całego życia.

– Grete, znasz mnie na wylot. Jestem człowiekiem, który ulega swoim skłonnościom. Kimś, kto co dzień wyskakuje z innym pomysłem. Co ja bym począł z bachorami?

– Coś ty taki nadęty? Nie żądam od ciebie zbyt wiele, chcę tylko, żeby dzieci mogły tu zamieszkać. Nie musisz ich kochać. Wystarczy, że je zaakceptujesz.

– O mój Boże, Grete. Bawimy się świetnie, ty i ja. Czemu nagle chcesz zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem? Tatusia. No więc... Dziękuję, postoję.

W tym momencie puściły mi nerwy. Wpadłam w szal.

– Co z ciebie za człowiek? Czy ty serca nie masz? Dzieci mnie potrzebują. Powiem ci coś, Fritz, skoro tego nie akceptujesz, poszukaj sobie innej.

Wyjęłam walizkę i wrzuciłam do środka neseserek, perfumy i negliz.

– Albo kochasz mnie razem z dziećmi, albo nie kochasz mnie wcale. Życie nie może być ciągłą jazdą na karuzeli.

Nawet jeszcze dziś widzę przed sobą Fritza, jak siedzi na kwiecistym szezlongu, szarpie się za włosy i milczy. Po chwili jednak odzyskał mowę. Spodziewałam się, że będzie żałował. Że powie mi, bym nie odchodziła, i że nie ma nic przeciwko dzieciom. Ale z jego ust wyskoczyły całkiem inne słowa.

– Grete... muszę ci coś wyznać. Wywalili mnie z pracy... Koniec z mydełkami.

– Rany boskie, dlaczego?

– Szef się dowiedział, że niektórym klientkom dogadzałem absyntem.

Jednej z nich to nie wyszło na dobre. Widać przesadziła ze spożyciem. Na następny dzień zadzwoniła do biura. No cóż, oficjalnie towar jest nielegalny, więc szef powiedział, że to by było na tyle, *adieu!*

Jak się później okazało, nie była to nawet półprawda. Fritz mydlił mi oczy, wtedy jednak święcie mu wierzyłam i nie dociekałam szczegółów tego, w jaki sposób dogadzał tym paniom. Tylko absyntem?

Usiadł na kanapie i płakał jak mały chłopiec.

– Na domiar złego chcesz mnie porzucić. Ja tego nie wytrzymam, Grete, rzucę się do Szprewy...

Jednak ja już siedziałam koło niego, tuliłam go i całowałam. „Jakoś sobie poradzimy”, pomyślałam. Chciałam wspierać Fritza, wytrwać z nim na dobre i na złe, obiecałam mu to. W końcu byłam jego żoną. „Ale nie wszystko naraz”, powiedziałam sobie w duchu. Najpierw należało postawić go na nogi i uregulować sprawy stałego dochodu. Sprowadzać moje dzieci do Berlina wcześniej byłoby czystym szaleństwem.

Fritz wciąż siedział na kanapie, miał zmierzwiłone włosy i poczerwieniałą twarz. Patrzył na mnie swoimi wodnistymi oczami.

– Skoro o tym mowa, muszę wyłożyć kawę na ławę. Narobiłem długów, które mnie gniożą. Dziesięć tysięcy marek.

Zdawało się, że temat jest dla niego skrajnie nieprzyjemny. A ja czułam się, jakbym dostała obuchem. Co jeszcze wyjdzie na jaw? Raptem przestałam go dotykać, odechciało mi się pocieszania. Ogarnęło mnie rozczarowanie i wezbrała we mnie wściekłość.

– Jak ci się to udało? – przycisnęłam go.

– To było wtedy, w Paryżu. Razem z Willim chcieliśmy otworzyć handel absyntem i kupiliśmy pięć tysięcy butelek. Skąd miałem wiedzieć, że wkrótce później towar będzie nielegalny, a ja wyjdę na tym jak Zabłocki na mydle?

– Przekłęte cholerstwo! – krzyknęłam.

Z miejsca chciałam wylać do zlewu zawartość wszystkich butelek, które jeszcze mieliśmy. Ale Fritz powstrzymał mnie:

– Poczekaj, może uda nam się to jeszcze upłynnić.

Chryste Panie, co za beznadzieja! Fritz miał mnie otaczać opieką i uszczęśliwiać, w zamian to ja musiałam po nim posprzątać.

Jednak nie od razu chciałam stanąć twarzą w twarz z tą porażką. Najpierw pogorszyłam całą sprawę. Po wyznaniu Fritza zgłosiłam się do taty. Wyjawiłam mu, że Fritz jest po Kasimirze miłością mojego życia (co było grubą przesadą), ale życie spletało mu brzydkiego figła (co brzmiało lepiej niż: „jest świszczypałą”) i potrzeba nam pieniędzy, by pójść na własny chleb. Także po to, żeby sprowadzić do nas dzieci (co było wprawdzie moim życzeniem, ale niestety nie Fritza).

– Margaretko, Margaretko – westchnął tato i spojrzał na mnie najsurowiej, jak potrafił. Usiadłam mu na kolanach i gładziłam jego podkręcony wilhelmiński wąs. Przytuliłam się do niego i płakałam.

Tato wyglądał wprawdzie na nieprzejednanego i jakoś tak wyniośle, ale miał miękkie serce. Opuściłam jego biuro u Borsiga z obietnicą, że udzieli nam wsparcia. Następnego dnia wystawił weksel na Fritza w wysokości 10 tysięcy marek. Mama pod żadnym pozorem nie miała się o tym dowiedzieć. Pieniądze były w istocie przeznaczone na wspólną podróż rodziców parowcem oceanicznym, o której Wanda od zawsze marzyła.

– Zwrócimy ci wszystko, co do grosza! Tatusiu, ja to wiem. Fritz jest cudownym człowiekiem! Ma wszelkie zalety przedsiębiorcy – chwaliłam go i naprawdę nie żartowałam.

Przekazałam Fritzowi weksel, licząc, że może teraz wszystko się ułożyć. Myślałam tak do czasu, aż pewnego ranka moja bańka mydlana pękła z hukiem. Fritz wyjechał na noc za interesem i więcej nie wrócił do domu.

Małżeństwo Schulzów również zniknęło. Udałam się do jedyne go miejsca, w którym mogłam uzyskać informacje na temat swojego małżonka: do firmy Steckenpferd przy Fasanenstraße. Nie byłam tam nigdy wcześniej.

Wparowałam do eleganckiego budynku, wjechałam windą na trzecie piętro, przemknęłam koło zbaraniałej recepcjonistki i dostałam się do szefa firmy. Żadna siła na niebie i na ziemi nie mogła mnie powstrzymać.

– Czy ma pan pojęcie, co pan wyrządził, zwalniając go? –

obsztorcowałam mężczyznę, który siedział rozwalony w skórzanym fotelu, tłuściocha o czerwonej twarzy ubranego w garnitur.

– Ejże, pani się trochę zagalopowała! Kim pani w ogóle jest?

– Żoną Fritza Ruscha, Margarete Rusch.

– Co takiego? – wykrztusił. – Ten facet ma żonę?

– Nigdy o mnie nie mówił? Jesteśmy już prawie cztery lata po ślubie.

– To jeszcze większy łotr, niż myślałam.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Cóż, uszczęśliwił tyle kobiet, że przestałem je liczyć.

Musiałam usiąść. Czerwonogęba góra mięsa gapiała się na mnie.

– Kilka kieliszeczków likieru – wyszczerzył się. – W końcu dama traci zahamowania do tego stopnia, że daje się zaciągnąć do łóżka. A potem następna. Kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem sobie: „A co mi tam, skoro ma to zwiększyć zbyt”. Ale pod koniec prawie nic nie sprzedawał, zajmował się tylko kopulowaniem z kobietami.

Na chwilę mnie zatkało.

– Z tego powodu pan go zwolnił?

– Jak to zwolnił? Facet jest mi winien kupę szmalu. Ulotnił się jak kamfora, zanim zdążyłem go wylać.

– Dlaczego jest winien pieniądze panu?

– Ano dlatego. Pani małżonek skłonił mnie do wejścia w interes. Kiedy już coś wymyśli, ma to ręce i nogi. „Mydło nie rokuje na przyszłość – powiedział. – Trzeba iść z duchem czasu. Teraz najlepiej schodzą kondomy i absynt. Trzeba je tylko umiejętnie sprzedać. Że tak powiem: podać na złotej tacy”. Pomysł polegał na tym, by oferować kondomy w toaletach lokali w dzielnicach uciech. Naturalnie w stylowej oprawie i dowcipnie. Bywalcy lokali mieli się naocznie przekonać, że kondomy to nie jakaś tam tandeta, tylko niejako środek medyczny – zarechotał – wysokiej jakości. Dlatego też kupiłem Willemu i pani mężowi po smokingu. Na dodatek automobil. Wszystko na kreskę. Kazali na siebie mówić Doktor Willi i Fritz Rusch.

Wszystko wskazywało na to, że interes się kręci. I co ja mam teraz zrobić? Jestem zrujnowany!

Chciało mi się wyć. Ukryłam twarz w dłoniach i zastanawiałam się, czy w tych rewelacjach tkwi ziarno prawdy. Zgadza się, kiedy wychodziliśmy wieczorami, Willi i Fritz ciągle rozmawiali z jakimiś ludźmi, których nie znałam. W międzyczasie co chwila gdzieś przepadali. Czy Fritz naprawdę „zaciągnął do łóżka” tyle kobiet? Jak mogłam być tak głupia i ślepa?

Sapiąc z wściekłości, opuściłam biuro firmy Steckenpferd i z wielkim hukiem zatrzęsłam za sobą drzwi.

Jeżeli Fritz faktycznie był przestępcą, to ja byłam głupią krową, na dodatek splukaną. A tatuś już nie ujrzy swoich pieniędzy. Tyle że my, Prusacy, nie jesteśmy w gorącej wodzie kąpani. Musiałam mieć jasność. Kolejne kroki skierowałam prosto do dyrekcji okręgowej policji w Reinickendorfie.

- Chcę złożyć doniesienie! – oświadczyłam, trzęsąc się jeszcze z gniewu.
- Na kogo i z jakiego powodu – funkcjonariusz wyglądał na znużonego.
- Na Friedricha Ruscha. To... oszust.
- Jak panią oszukał?
- Zwiął i zabrał mi dziesięć tysięcy marek.
- Zwinął je pani?
- Nie, sama mu dałam.
- Kiedy to się stało? To znaczy, może jeszcze wróci.
- Nie, nie wróci. Wykluczone. Coś mi tak mówi.
- Coś pani tak mówi? Mam to wpisać do protokołu? Tutaj chodzi o fakty.
- Dobrze. Jestem pewna, że już nie wróci, bo zabrał swoją szczoteczkę do zębów. Funkcjonariusz roześmiał się w głos.
- W porządku. Ale sama pani twierdzi, że dała mu pieniądze. Jakie łączą państwa relacje?
- Jesteśmy małżeństwem.

– W takim razie chodzi raczej o rodzinną scysję, tak?

– Jaką znowu scysję? Nie pokłóciliśmy się – łgałam.

– No to o co? Obawia się pani, że małżonek nie żyje? Chce pani zgłosić zaginięcie?

– Nie. A może jednak tak. Tyle że on nie chce, żeby go odnaleziono. Ja też go nie chcę odnaleźć. Byłoby najlepiej, gdybym go nigdy nie spotkała. Ale pieniądze...

– Jest pani mężatką i dała mężowi pieniądze. Pod względem prawnym nie mamy w ręku żadnych konkretów, łaskawa pani.

Na koniec spisał protokół na maszynie, uwzględniając moje skąpe dane, i powiedział:

– Mogę sprawdzić, czy mamy coś na pani męża. Jeśli tak, zgłoszę się. Skruszona opuściłam prezydium policji. Do diabła! Mogłam sobie odpuścić tę wizytę.

Jednak kilka dni później nieoczekiwanie wezwano mnie na komisariat. Tym razem funkcjonariusz nie sprawiał wrażenia znużonego.

– Łaskawa pani, znalazłem coś, co może panią zainteresować. Pani mąż ma już swoje za uszami.

– Co takiego przeszkrobał? – naprawdę byłam zaintrygowana.

– Nie był wcześniej karany. Ale jest zarejestrowany we Francji jako małżonek niejakiej Louise Millet. Ożenił się z nią w grudniu 1914 roku w Paryżu. Ta kobieta wciąż tam mieszka.

– Co za szuja! – wyrwało mi się.

– Wygląda na to, że pani małżeństwo nie jest prawomocne.

– Co to dla mnie oznacza?

– Przekazuję sprawę do Drugiego Sądu Rejonowego. Ponieważ małżeństwo z Louise Millet zostało zawarte jako pierwsze, swoje małżeństwo może pani uznać za niebyłe.

Tak też się stało. Przez cztery lata śniłam fałszywy sen. Miękki jak wata

sen o wolności, na który składała się skoczna muzyka, pełne lekkości tańce, rozwiąły seks i strumienie absyntu. Przebudzenie nie przychodziło mi z łatwością. Jeszcze przez długi czas żywiłam naiwną nadzieję, że Fritz pożałuje swego zachowania i kajając się, stanie przed moimi drzwiami. Fritz, ze swoimi gładkim obyciem i całowaniem rączek, Fritz w białych rękawiczkach na sali balowej.

Ale nic podobnego się nie wydarzyło. Drugi Sąd Rejonowy orzekł, że moje małżeństwo z Fritzem Ruschem było nieważne i od tej pory mam używać poprzedniego nazwiska: Margarete May.

Jakże chętnie przyjął na powrót nazwisko Kasimira. On nigdy mnie tak podle nie okłamał i niecznie nie wykorzystał. Mój kochany Kasimir.

Pieniądze taty oczywiście diabli wzięli. Nigdy się nie dowiedziałam, w jaki sposób powiedział mamie, że z podróży dookoła świata nic nie będzie. Zabrzmi to może niewiarygodnie, ale tata nie czynił mi wyrzutów. Być może dlatego, że tak czy owak nie miał ochoty wybrać się w rejs transatlantykiem. Ale wiedział też, że dostałam nauczkę. Nie potrzebowałam od niego dodatkowych kazań. Postanowiłam, że już nigdy więcej żaden podejrzany typek nie zawróci mi w głowie. I chciałam też wreszcie ściągnąć do siebie dzieci.

Rozdział 7

Tymczasem nastał rok 1923, a ja znowu mieszkałam w swoim pokoiku u rodziców. Dni mijały w pędzie, więc nie miałam zbyt dużo czasu na zastanawianie się. Przez galopującą inflację byłam strasznie zagoniona. W obiegu krążyło coraz więcej papierowych pieniędzy, które z godziny na godzinę traciły na wartości. Oznaczało to dla nas pobudkę o czwartej rano, aby w miarę możliwości być na rynku przed wszystkimi innymi. O piątej rano bochenek chleba kosztował około 250 marek. Spóźnialscy płacili już jakieś 350 marek albo więcej. Tego nigdy nie było wiadomo. W każdym razie w sierpniu 1923 roku za bochenek chleba trzeba było zapłacić już 260 miliardów marek, za pół kilo mięsa – trzy biliony dwieście milionów. Dobrze, że za wiele rzeczy mogliśmy płacić naszymi dobrymi kurzymi jajami. Na przykład bilet wstępu do kina miał równowartość dwóch jaj.

Winę za tę ekonomiczną mizериę ponosiła przegrana wojna. Ujmę to w skrócie tak: Niemcy musiały zwrócić zwycięzcom mnóstwo forsy za powstałe zniszczenia. Aby to płacenie szło łatwiej, w Niemczech drukowano obłądną ilość banknotów. Traktat wersalski był jedną wielką kupą dziadostwa. Inaczej nie umiem tego wyrazić.

Poza tym musiałam podjąć decyzję za moje dzieci, czy w dokumentach miały być Polakami, czy Niemcami. Kiedy pytałam swojego serca, wszystko zdawało się proste: byłam berlinianką, a więc Niemką. A Romek i Hela mieli być u mnie – w Berlinie. W związku z tym oni też byli Niemcami. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Zgodnie z artykułem 91. Traktatu wersalskiego Hela i Romek, którzy urodzili się w Poznaniu, utracili obywatelstwo Rzeszy z chwilą, gdy Poznań przyznano na powrót Polsce. W tamtych czasach nie istniało podwójne obywatelstwo. Dzieci uzyskiwały automatycznie takie, jakie wybrali dla nich rodzice. Gdybym się

zdecydowała na opcję Rzeszy Niemieckiej, Hela i Romek teoretycznie straciliby prawo do dziedziczenia nieruchomości dóbr w Polsce. Wybierając opcję polską, co Heli i Romkowi przyniosłoby pewne korzyści, sama musiałabym zostać Polką. W tym celu należało wystąpić z odpowiednim wnioskiem do państwa polskiego, zawierającym uzasadnienie, dlaczego powinnam zostać naturalizowana. Absurd do kwadratu!

W głowie huczało mi od tych paragrafów. Po pełnych udręki dniach roztrząsania wszelkich za i przeciw zdecydowałam się ostatecznie na opcję Rzeszy. W ten sposób Romek i Hela zostali Niemcami. Wszak nie zamknęłam im przez to możliwości, że pewnego pięknego dnia odziedziczą akcje polskich fabryk. Nieruchomości nie potrzebowali, skoro mieli mieszkać u mnie.

Rozłąka z moimi dziećmi trwała już sześć lat. Mój Boże, te lata minęły, jak z bicza strzelił! Wszystkie liściki, które przysyłał mi Romek, skrzętnie przechowywałam. Co oczywiste, jego niemiecki coraz bardziej się pogarszał, a to, co go zajmowało, niczym się nie różniło od zainteresowań chłopców w jego wieku. Ale i tak każdy jego list czytałam przynajmniej dziesięć razy. Przykładowo na wiosnę 1924 roku napisał:

Kochana Mamus!

Znowu złamałem sobie rękę. Wszedłem na drzewo czereśni i spadłem. Za karę musiałem klęczeć przed babcią i odmówić 12 zdrowasiek. Trzymam rękę na temblaku. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Twój Romek

PS Hela nie pisze, bo mówi, że jej niemiecki jest bardzo zły.

Czytając to, ryczałam jak bóbr. Najwyraźniej Hela nie mówiła już po niemiecku, a Romek musiał się korzyć przed Heleną. Niedługo moje dzieci będą dla mnie zupełnie obcy ludźmi.

W tej sytuacji zaskoczyła mnie moja mama. Z całym swoim zmysłem praktycznym i brakiem sentymentalizmu Wanda rzuciła od niechcienia:

– Ściągnij te berbecie do nas. Najwyższa pora. Jakoś uda nam się wykarmić sześć gąb. A jak nie – będziemy jeździć na wieś na handel wymienny.

I mrugnęła porozumiewawczo.

Podbudowana napisałam zdawkowy, lecz treściwy list do Heleny, wyjaśniając w nim, że Hela i Romek mają teraz obywatelstwo niemieckie i że dalsze zatrzymywanie przez nią dzieci jest bezprawne. Niechaj z łaski swojej wsadzi je do pociągu i wyprawi do Berlina. Są dostatecznie duże, by samodzielnie podróżować. To już nie była prośba, to był rozkaz!

Niedługo później trzymałam w ręku depeszę z odpowiedzią:

Kochana Mamuś! Przyjazd w piątek, Dworzec Śląski, godz. 16.15.

R. i H.

Wszystko wskazywało na to, że Helena poddała się mojej woli.

Przez cały dzień biegałam po mieście, by kupić prezenty dla swoich dzieci. W domu handlowym „Tietz” przy Alexanderplatz dopiero co uroczyście oddano do użytku pierwsze ruchome schody. Dział z zabawkami był największy i najpiękniejszy w całym Berlinie. Tam znalazłam to, czego szukałam. Heli kupiłam naturalnej wielkości lalkę od Käthe Kruse, a Romkowi takiegoż porcelanowego pierrota.

A potem stałam pełna radosnego oczekiwania na peronie Dworca Śląskiego. Nareszcie! Z pociągu wysiadły moje dzieci. Hela miała na sobie marynarską sukienkę, a Romek wełniany garnitur i pumpy. Wręczyłam im podarunki i ze łzami w oczach przytuliłam ich do siebie. Spiczasty nos pierrota kłuł mnie w brzuch. Romek uśmiechnął się szeroko:

– Te lalki są dla nas?

– Ale ze mnie głuptas – roześmiałam się, patrząc na wyrosnięte postaci. – Przecież nie jesteście już dziećmi. Hela patrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Najważniejsze, że znów jesteśmy razem – dodawałam im otuchy.

Pojechaliśmy taksówką na Wittestraße, gdzie mama z tatą czekali na nas z podwieczorkiem.

– Kiedy dojedzie reszta bagażu? – zainteresowała się Wanda.

Faktycznie, Romek i Hela mieli ze sobą tylko dwie walizeczki.

Popatrzyłam pytająco na Helę, która siedziała naburmuszona z

założonymi rękami.

– Hela nie chciała przyjeżdżać. Ja ją przekonałem – wyjaśnił Romek.

– Helu, spodoba ci się tutaj – perswadowałam jej łagodnie.

Głaskałam jej precudne faliste blond włosy. Wciąż jeszcze widziałam w jej twarzy rysy Kasimira.

– Jadę z powrotem – powiedziała krnąbrnie Hela.

Z tym się nie liczyłam.

– Helu, spodoba ci się tutaj. Berlin to wielkie miasto. A pamiętasz ten piękny ogród z huśtawką?

Hela wstała, wyrzała do ogródka moich rodziców i powiedziała:

– To ma być ogród? Wygląda jak pole.

W rzeczy samej nie był to klasyczny ogród. Wszystko, co było w nim kiedyś piękne, w czasie wojny stopniowo poświęciliśmy pod uprawę czegoś do jedzenia. Mała działka wyglądała raczej na poligon pełen marchwi, kapusty, jarmużu i kartofli, którego środkiem biegła wydeptana ścieżka pokryta szutrem. Niebagatelna część „ogrodu” przypadała na kurnik z odgrodzonym siatką wybiegiem. Huśtawkę zdjęliśmy jakiś czas temu. Miałam pełną świadomość, że Hela, która dotychczas spędzała lato w Strumianach, przywykła do czegoś innego. Pomimo to złościłam się na nią. W jej słowach słyszałam tę samą pychę, co u teściowej. Zawsze mnie ona detonowała. Co się podziało z tą słodką blondyneczką, którą przed sześcioma laty zostawiłam w Poznaniu. Czy Hela była rozwydrzonym dziewczuszykiem? Czy Helena stworzyła Helę na swój obraz i podobieństwo?

Nic to. Jakoś zgryzę ten orzech.

Kiedy nazajutrz rano siedzieliśmy przy wspólnym śniadaniu, zaproponowałam:

– Jedźmy razem nad jezioro Tegel.

– Hurra! Ja też mam w domu kajak – wykrzyknął zachwycony Romek. Mama wykręciła się:

– Dziś nie mogę się ruszyć z domu, bo przegapię audycję w radiu. I to

teraz, kiedy nareszcie nie ma problemów z odbiorem.

– Tak, Wando, masz rację. Skoro wykosztowaliśmy się na to drogie monstrum, niech się to jakoś zwróci. Tata miał na myśli zwalistą komodę z wbudowanym radiem.

– Babciu i dziadku, wy macie detektor? – rozpromienił się Romek. – W Poznaniu sam taki zrobiłem. Ze słuchawkami. Mogę zobaczyć wasz?

Mama pokazała mu „monstrum”. Z wyglądu przypominało wielką drewnianą skrzynię, do której ktoś przyśrubował ogromną tubę.

– Prawdziwy mahoń – chełpiła się.

– Prawdziwa lipa – zakpił tato.

– Włącz – domagał się Romek.

– Ale zacznie się dopiero za dziesięć minut – powiedziała mama.

Czekaliśmy. Kiedy program wreszcie się zaczął, mama była wniebowzięta. „Skąd masz te piękne błękitne oczy?”, dobiegł śpiew ze skrzyni.

– To Walter Herrling! Najprawdziwszy *shimmy* – zawołała zachwycona mama i wykonała odpowiednie taneczne ruchy na swoich nie tak już szczupłych nogach.

Potem puścili „Miłość rośnie w USA, tak, dziecińo, tam dolarów pada grad...”. Mama Wanda śpiewała na całe gardło razem z wykonawcą: „Wybierz się w małą podróż za wielką wodę” i patrzyła na tatę wyzywająco.

Tato skrzywił twarz. To był czuły punkt w ich relacjach: ona marzyła o podróżach za wielką wodę. Jemu wystarczyło pojechać raz na rok do wód, na przykład do Warmensteinach lub Bad Wildbad. Nie poruszano już tematu zniknięcia dziesięciu tysięcy marek, zresztą z uwagi na inflację i tak nie miałyby żadnej wartości.

– W takim razie lepiej już sobie pójdziemy – stwierdził tato. – To znaczy: pójdziemy sobie popływać łódką na jeziorze.

Tata, Romek i ja się zebraliśmy. Hela nie chciała z nami iść. Nadal siedziała w kącie ze skrzyżowanymi rękami i ponurym spojrzeniem, podczas

kiedy mama ze śpiewem na ustach i miotełką do kurzu w ręce tańczyła po mieszkaniu. Myślę, że Hela mimo wszystko znalazła trochę przyjemności w słuchaniu tej muzyki. Ale mamie Wandzie powiedziała tylko, że babcia Helena nie kupiła radia, ponieważ ma gramofon i kolekcję ponad 200 szelakowych płyt, i że gramofon jest o wiele fajniejszy.

Tymczasem tato, Romek i ja mieliśmy nie lada frajdę.

– Zakład, że opłynę jezioro w mniej niż 15 minut? – rzucił nam wyzwanie Romek.

– Stoi – rzekł tata.

No i Romek powiosłował razem z nami dookoła jeziora, zawzięcie i szybko – zmieścił się w 14 minutach. Byłam pod wrażeniem.

W następnych tygodniach robiłam wszystko, żeby dzieciom podobało się u mnie. Kupowałam im cukrowe laski, pokazywałam najpiękniejsze zakątki Berlina i wyczytywałam z oczu najskrytsze życzenia. Ale cokolwiek bym zrobiła, Hela pozostawała dla mnie nieprzystępna. Miała jedno jedyne życzenie: wrócić z powrotem „do domu”.

Pewnego dnia zagadnęłam ją:

– Helu, nie chcę cię zmuszać, żebyś została ze mną. Chętnie bym się jednak dowiedziała, co ci tutaj nie odpowiada.

– To proste jak drut – odpysknęła, obdarzając mnie spojrzeniem pełnym wściekłości. – Jestem Polką! Moi przyjaciele, moi kuzyni i moje kuzynki, moi bohaterowie – wszyscy są w Poznaniu.

– Jacy znowu bohaterowie?

– Szkoda słów. I tak nic nie rozumiesz. – Nagle po policzkach popłynęły jej łzy.

– Skarbie, tutaj też znajdziesz przyjaciół, jak tylko zaczniesz chodzić do szkoły. Zgłoszę was już jutro.

Jeszcze w kwietniu 1924 roku zapisałam Romka do szkoły realnej im. Humboldta w dzielnicy Tegel. Chciałam, żeby Hela uczęszczała do średniej szkoły dla dziewcząt w Steglitz. Jednak po pierwszym dniu łkała tak

żałośnie, że od razu ją stamtąd zabrałam. Stwierdziłam, że niewiele straci. Kobiety decydujących rzeczy uczą się nie w szkole, lecz w życiu. Byłam pewna, że za parę lat i tak wyjdzie za mąż za jakiegoś dobrze sytuowanego mężczyznę.

Romek chodził do szkoły w Tegel, nie skarżąc się na nic. Nietrudno było jednak zgadnąć, że nie był tam szczęśliwy. Nie starał się nawet ze swojego ulubionego przedmiotu – kultury fizycznej. Długo zwlekałam z zapytaniem go, czym się tak turbuje. W końcu za rogiem czekały już wakacje. Kiedy jednak spostrzegłam, że snuje się coraz bardziej przygarbiony i markotny, wzięłam go na spytaki:

– Ach, mamuś – westchnął. – W szkole jest głupio. Przedtem miałem dwóch kolegów, Jurka i Zdzisława, i zawsze była z nimi przednia zabawa, z moimi kuzynami też.

– Nie cieszy cię nawet twój ukochany przedmiot? Jesteś taki szybki i zwinny. Romek potrząsnął głową.

– Śmieją się ze mnie, bo kaleczę niemiecki. Przezywają mnie „Polaczek”. A kiedy się z nimi biję, nauczyciel tłucze mnie linijką po rękach.

Romek pokazał mi spuchnięte dłonie.

– Co takiego?

Byłam tak rozgniewana, że już nazajutrz wypisałam Romka ze szkoły. Rok szkolny nie dobiegł jeszcze końca, ale nic sobie z tego nie robiłam. Nie próbowałam też pomówić o problemie z dyrektorem szkoły. Wiedziałam, że nic nie wskóram.

Tak dłużej być nie mogło. Czy naprawdę mogłam chcieć, żeby moje dzieci były w Berlinie nieszczęśliwe? Długo się biłam z myślami. Następnie przedstawiłam dzieciom nową decyzję:

– Myślę, że tak nie damy rady. Wobec tego muszę się przenieść razem z wami z powrotem do Polski.

Pomysł był oczywiście wariacki, jednak w tamtym momencie byłam zdeterminowana, żeby ich nie stracić ponownie. Przeprowadzka wydawała mi się jedyną możliwością.

Był upalny dzień w sierpniu 1924 roku, a ja po raz kolejny siedziałam w pociągu do Poznania. Mierzyłam wzrokiem oboje moich ślicznych dzieci w ubrankach marynarskich. Sprawiały wrażenie całkiem rozluźnionych i szczęśliwych. Tylko co miało stać się ze mną w tym przeklętym Poznaniu?

Przez cały sierpień gościłam u swojej szwagierki Stefki w Runowie, 19 kilometrów od miasta. Hela i Romek spędzali dni u krewnych, gdzie czuli się jak ryby w wodzie. Tylko z rzadka ich widywałam. Za to pogłębiła się przyjaźń moja i Stefki, która tymczasem także owdowiała i rozumiała mnie lepiej niż kiedykolwiek. Jej mąż Stanisław zginął w tragicznym wypadku przy pracy. Zamierzał właśnie naprawić maszynę do zbioru plonów, kiedy ta ruszyła i go przygniotła. Był tak zmasakrowany, że Stefka przeżyła załamanie nerwowe. Wszystko działo się całkiem niedawno, ale była dzielną kobietą, a czworo jej niemal dorosłych dzieci skutecznie powstrzymywało ją przed popadnięciem w melancholię lub wyrządzeniem sobie krzywdy.

Podczas kiedy leżałyśmy na plaży nad Wartą, a nasze dzieci rozrabiały w wodzie, Stefka opowiedziała mi wszystko, co się wydarzyło w Poznaniu podczas mojej nieobecności. Przekazywane przez nią wieści były dla mnie bardzo ciekawe, ponieważ w rozmowach z Heleną ograniczałam się do spraw najbardziej niezbędnych, a i moje relacje z resztą rodziny nadal nie były zbyt serdeczne.

– Na pewno dotarło do ciebie, że Poznań należy z powrotem do Polski – stwierdziła Stefka, która wiedziała, że rzadko czytuję gazety.

– Oczywiście. Przecież nie spadłam z księżycy. Poza tym dziesiątki tysięcy Niemców przeszły przez granicę po waszym powstaniu w 1921. Dosłownie ich wyrzuciliście. Nie musiałam nawet zaglądać do gazety, żeby to do mnie dotarło. Widziałam dworce pełne uciekinierów. Poza tym rozniosły się pogłoski o tym, jak potraktowaliście Niemców.

– Nie mów w liczbie mnogiej, Gosiu! Ja to nie wszyscy. Twoja narodowość nic mnie nie obchodzi, wiesz przecież. W tym kraju jest jednak sporo ludzi, którzy pałają nienawiścią. Nie dostrzegają pojedynczego człowieka. Ja taka nie jestem.

– Tak, wiem – powiedziałam zrezygnowana.

– Nie zgadzałam się z tym ostrym tonem, w który uderzył rząd. Wszędzie rozwieszano plakaty i rozdawano ulotki, na których można było przeczytać: „Cały ten niemiecki motłoch, który w lipcu 1921 wciąż tutaj będzie, trzeba wykończyć bez wyjątku! Teraz kolej na was wszystkich: lekarzy, pastorów, adwokatów, dzierżawców, osadników, wszelkiej maści posiadaczy, nieważne czy Niemców, czy Żydów”. To było przerażające.

– Nic nowego. Wcześniej nie mówiono o tym tak otwarcie – odparłam z udawaną swobodą.

Nie chciałam, aby na domiar wszystkiego polityka zniszczyła moją przyjaźń ze Stefką. Naprawdę starałam się zachować sprawiedliwość, więc dodałam:

– Prusacy często traktowali Polaków źle, a teraz wystawiono im rachunek. Po chwili postawiłam jednak prowokacyjne pytanie:

– Wiesz, co naprawdę by mnie ciekawiło? Czy wam, Polakom, rzeczywiście powodzi się teraz lepiej, odkąd nie ma Niemców?

Stefka zastanawiała się na głos:

– Cóż rzec, nareszcie powstał w Poznaniu uniwersytet otwarty dla wszystkich. Już samo to jest wspaniałe. Poza tym znowu można mówić po polsku, kiedy i gdzie się tylko zechce. A pod względem gospodarczym, jeśli te sprawy masz na myśli, Poznań radzi sobie naprawdę dobrze.

– Za rządów pruskich też sobie nieźle radził, prawda?

– Hm, sama nie wiem. Zakłady Mayów nigdy tak dobrze nie prosperowały.

Od Stefki dowiedziałam się, że Helena wraz ze swoim zięciem Cyrylem Ratajskim wykonali sprytnie posunięcie szachowe, a mianowicie przekształcili zakłady produkcji nawozów sztucznych w Towarzystwo Akcyjne „Dr Roman May, Chemiczna Fabryka”. Dyrektorem spółki został Cyryl Ratajski, mój szwagier. W każdym razie pełnił tę funkcję do 1922 roku, kiedy został wybrany na urząd prezydenta miasta. Stanowisko po nim objął drugi zięć Heleny, Andrzej Rozmiarek. Początkowo Helena kręciła nosem na „chłopskiego syna”, ale z biegiem czasu go zaakceptowała. Prawdopodobnie dlatego, że przynajmniej pod względem politycznym nadawali na tych

samych falach. W poznańskim Urzędzie Osiedleńczym Rozmiarek kierował administracją i nowym zasiedlaniem dóbr i majątków, które przymusowo opuścili Niemcy.

Abstrahując od bankierów i wielkich posiadaczy ziemskich, którzy wnieśli swój kapitał, spółka była przedsiębiorstwem rodzinnym. Kierownicze stanowiska pozostały w rodzinie. Każdy jej członek, czy to bliższy, czy dalszy, posiadał akcje, także Romek i Hela. Mnie oczywiście nie uwzględniono. Czy należały mi się udziały? Nie wiedziałam. Ale duma nie pozwalała mi o to zapytać. Podobnie jak w przypadku podziału spadku po Kasimirze pominięto mnie przy wejściu na giełdę zakładów Mayów. Helena zawsze miała mnie za hetkępętelkę. Nigdy nie wpadłam na pomysł zaangażowania prawnika. Podejrzywałam, że taki krok pociągnąłby za sobą kolejne poniżenia.

Słuchając wyjaśnień Stefki na temat zakładów Mayów, zauważyłam, jak bardzo jest z tego wszystkiego dumna, chociaż bezpośrednio nie miała nic wspólnego z firmą.

– Wyobraź sobie, że wchłonęliśmy Browar Huggerów, no wiesz, ten, który należał kiedyś do tych niemieckich braci – cieszyła się.

Udała, że trzyma w ręku butelkę piwa, i wzniosła toast.

– Poznań pije piwo Huggerów. No tak, i zakłady produkcji superfosfatu Moritza Milcha także do nas należą.

– Jak to? – szczerze się zdziwiłam.

Wiedziałam od Kasimira, że Moritz Milch był najsilniejszym konkurentem Fabryk Chemicznych doktora Romana Maya. Kasimir uparcie twierdził, że Milch wyzyskiwał swoich robotników. Nie udzielał im urlopu przez 5 lat z rzędu i zmuszał do harówki nawet po 15 godzin na dzień. Za to, w przeciwieństwie do rodziny Mayów, już w 1906 roku awansował do klubu milionerów.

– Kiedyś byłoby rzeczą nie do pomyślenia, że sprzeda nam swoją fabrykę – oświadczyła Stefka. – Przecież zaledwie w 1913 ukończył budowę supernowoczesnego zakładu pod Poznaniem, który zaprojektował znamienity architekt o nazwisku Poelzig. Kiedy jednak Poznań przeszedł na

powrót w ręce polskie, Milch chciał się pozbyć tej wystawnej budowli, wraz z dostępem do Warty. Z chwilą sfinalizowania sprzedaży zwierzył się swojemu bankierowi, Żydowi, skąd ta zmiana zdania. Rzekomo drażnił go antysemityzm, którego w wydaniu polskim nie mógł znieść. Dlatego wołał powrócić do swej niemieckiej ojczyzny.

– Woli, żeby to Niemcy źle go traktowali – wyzłośliwiałam się.

To ocierało się o absurd. Nigdy się nie dowiedziałam, co się stało z panem Milchem w czasach Trzeciej Rzeszy. Z pewnością jednak spotkał go marny los.

Stefka i ja urządziłyśmy z dziećmi wycieczki do lasu lub miejskiego parku. Dużo ze sobą rozmawiałyśmy i wygłupiałyśmy się jak dwie uczennice. Stefka była ode mnie starsza o 15 lat, ale tę różnicę wieku można był poznać tylko po tym, że jej dzieci były znacznie starsze od moich. Z tego też względu Romek i Hela bywali u swojej cioci Stefki tylko sporadycznie. Ciągnęło ich do tych kuzynów, kuzynek i przyjaciół, którzy nie mieszkali w Runowie.

Lato 1924 roku było, ogólnie rzecz biorąc, szczęśliwym okresem. Jednak każde lato ma kiedyś swój kres i wyraźniej niż kiedykolwiek uświadamiałam sobie, że w Poznaniu nie mam podstaw bytu. Co miałam zrobić? Nie znajdowałam w sobie siły, by zacząć tu nowe życie. Dręczyło mnie zbyt wiele wspomnień, na to nakładało się protekcyjne zachowanie Heleny. Nie mogłam też w nieskończoność być kulą u nogi Stefki, moja wdowia renta zaś nie pozwalała mi utrzymać się na powierzchni. Zrezygnowana musiałam stwierdzić, że nie mogę dłużej walczyć. Byłam zbyt zmęczona.

W środku września nastąpiło skąpane we łzach pożegnanie ze Stefką i moimi dziećmi. Tyle że łzy popłynęły tylko mnie. Hela bacznie się przyglądała, jak cierpię. Nie mogłam jednak stwierdzić, co przeżywa. Czy poczuła ulgę, że odchodzę? Czy było jej wszystko jedno? A może nie rozumiała, że ta rozłąka potrwa dłużej? Romek zagryzł wargi.

– Na razie!

Bis bald! – powiedział ochryple.

W kolejnych latach życie moje i moich dzieci płynęło nieśpiesznie. Nie była to sytuacja idealna, ale odbierałam ją jako znośny kompromis. Moim

miejszem zamieszkania był i miał pozostać Berlin. Tu żyli moi rodzice i przyjaciele, tu było moje miejsce. Moje dzieci natomiast zapuściły korzenie w Poznaniu i najwyraźniej tylko tam mogły być szczęśliwe. Regularnie słałam Heli i Romkowi listy i paczki. Byli dla mnie wszystkim i śledziłam każdy etap ich rozwoju z oddali na tyle, na ile mogłam.

U każdego z moich dzieci istniał pewien obszar, który przysparzał mi zmartwień. W przypadku Romka chodziło – że tak powiem – o teorię. W sprawach praktycznych radził sobie świetnie i potrafił naprawić wszystko: każdy samochód, każdy toster, każdy aparat fotograficzny. Również jego poglądy polityczne były całkiem składne. Jednak nauka w poznańskim gimnazjum Bergera śmiertelnie go nudziła i nie miał za grosz ambicji, by zdobywać jakiegokolwiek laury. Dobre oceny dostawał tylko z higieny i ćwiczeń cielesnych. Poza tym nabierała mu się głównie masa nieobecności, ponieważ brał udział w rozlicznych zawodach. Jego cenzurki wypadały, łagodnie rzecz ujmując, kiepsko. Kilka razy rada pedagogiczna musiała głosować, aby w ogóle dostał promocję. Na rok przed maturą powtarzał klasę. Jakimś cudem „zdołał” zaliczyć trzy oceny niedostateczne naraz: z historii, geografii i matematyki. Został na drugi rok, ale znowu narobił tyle nieobecności, że w 1932 dobrowolnie opuścił szkołę, nie uzyskując dyplomu. Cała rodzina Mayów zaciekle dyskutowała o tym, jak chłopiec mógł być tak „niewydarzony”. Bo niewielu było w niej mężczyzn, którzy nie dorobili się tytułów i majątku. Babcia Helena, a to ona głównie wychowywała Romka, ustawicznie podkreślała, że to nie jej wina, w końcu jej syn Kazimierz studiował.

W przypadku Heli źródłem moich trosk były – że tak powiem – sprawy miłosne. Od czasu drobnego nieszczęścia wmówiła sobie, że tak naprawdę mężczyźni jej nie interesują. Chodziła na bale, spotykała się z przyjaciółmi, ale nikogo nie dopuszczała do siebie bliżej. Pamiętam, że kiedyś powiedziałam jej:

– Helu, lepiej jest kochać i stracić ukochaną osobę, niż uciekać przed miłością. Ona jednak odbiła piłeczkę:

– A co ty wiesz o miłości?

Nieraz podejrzewałam, że zatajała przede mną wszystko, co wiązało się z

mężczyznami. Ale Romek zapewniał mnie, że w jej życiu nie ma nikogo oprócz przyjaciółek i rodziny.

W 1930 roku zakochała się na zabój w baronie Emile'u Haeblerze, snobistycznym przemysłowcu z Belgii, który po zakończeniu pierwszej wojny światowej założył niemieckopolską spółkę akcyjną. Zbił majątek na handlu szkłem w stylu *art déco*. Hela i Emile poznali się na korcie. Podobnie jak wszyscy Mayowie Hela brała lekcje gry w tenisa w poznańskim klubie tenisowym. Zawdzięczać należy to mojej teściowej. Uważała ona, że z „białym sportem” jest rodzinie Mayów bardzo do twarzy. Była w Poznaniu pierwszą osobą, która kazała wybudować sobie prywatny kort.

Pewnego razu baron pojawił się w Strumianach. Już z daleka Hela poznała, kto mknął w maybachu długą drogą dojazdową. Serce zaczęło jej się tłuc w piersi. Nie było wiadomo, czego Emile chciał w Strumianach. Może szukał odrobiny urozmaicenia. W każdym razie przez wiele tygodni bywał tam niemal co dzień, grał w tenisa z Helą i jej kuzynkami, popijał z nimi herbatkę i tokował o swoich hutach szkła. Rano Hela spędzała całe godziny na ondulowaniu włosów i zakupiła z dziesięć nowych sukienek. Jednak ku jej ogromnemu rozczarowaniu Haebler obdarzał komplementami wszystkie panie po równo i zachowywał dystans. Więcej niż: „*Mademoiselle* wygląda dziś po prostu czarująco” nie można było odeń usłyszeć. Kończyło się na niezobowiązującej paplaninie. Hela przesłała mi jego fotografię: blond przystojniak, który nie był całkiem niepodobny do jej ojca w młodości. Sprawiał też wrażenie eleganckiego światowca. Sęk w tym, że Hela nie wywierała na nim głębszego wrażenia. Kilka razy pomylił nawet jej imię.

Pewnego dnia jego wizyty się skończyły, jak nożem uciął. Hela popytała tu i ówdzie i wywiedziała się, że Haebler zaręczył się z pewną polską hrabiną. Z rozpaczy niemal wyskoczyła przez okno. „Czy ja jestem poniżej jego godności? Czy ja jestem taka brzydka?”, napisała mi w którymś z listów. Od Romka dowiedziałam się, że z Helą było bardzo źle. Przez całe tygodnie nie chciała się podnieść z łóżka. „Dlaczego nikt mnie nie kocha?”, zawodziła. Kiedy podczas wizyty w Poznaniu próbowałam ją pocieszyć, naskoczyła na mnie:

– Ty się lepiej nie odzywaj! Ty też mnie porzuciłaś!

W oczach Heleny było wstydem, że jej wnuczka do tego stopnia straciła kontenans. „Z powodu byle czego”, jak jej wytykała. „Zachowujesz się jak dziecko. Czas już, żebyś wydorosła”. Postanowiła, że Hela winna nabrać nieco ogłady w pensjonacie dla dziewcząt „Les Roseaux” pod Lozanną. „Będziesz nowym człowiekiem”, obiecywała. Hela jej uległa.

W planie zajęć „Les Roseaux” były: francuskie konwersacje (tak, by nie zdradzać szczegółów intymnych), jazda na nartach i taniec towarzyski. Helena uznała, że jej wnuczka może zaniedbać tylko przedmiot robótki ręczne i gotowanie. Miała alergię na wszelkie formy prac domowych.

Och, mojej małej Heli nie było łatwo w Lozannie. Pozostałe dziewczęta nie znały litości dla chorej z miłości ponuraczki. Z powodu okrągłej buzi przezywano ją *La Lune*, czyli Księżycowa Panna. W pierwszym liście donosiła oburzona, jak podle dziewczęta zachowują się wobec niej i natychmiast chciała wracać do domu. Potem jednak poznała je bliżej i odkryła, że jej los nie należał do najgorszych. Zaprzyjaźniła się ze swoją współlokatorką z pokoju i odzyskała dobry humor. Po kilku tygodniach napisała z Lozanny: „La Lune brzmi wcale poetycko, nie sądzisz? Oh, la lune!”.

Po dwóch latach pobytu w pensjonacie Hela wróciła do Poznania i naprawdę muszę przyznać, że zmieniła się bardzo na korzyść. Stała się mniej skomplikowana, z większą otwartością wchodziła w kontakt z obcymi i zdawało się, że przywiozła ze sobą ze Szwajcarii dwie pasje: taniec towarzyski i wędrówki górskie.

Pewnego razu Romek przysłał mi kilka zdjęć pokazujących go na dachach Poznania. Miał wtedy 15 lat. Zawsze odczuwał pokusę wspinania się na najwyższe drzewa. Teraz nęciły go dachy domów. Miałam duszę na ramieniu, widząc go balansującego na krawędzi dachu, kiedy poniżej ziała przepaść. Wysłałam mu list pełen przestroóg. Odpisał, że wspinał się na dachy, żeby wypróbować własnoręcznie skonstruowany odbiornik radiowy i przechwytywać sygnały nadajników z całego miasta. Czy ktoś mógł go odwieść od tej misji? Nie!

Pomiędzy 1924 a 1934 rokiem podróżowałam do Poznania tak często, jak pozwalały na to moje skromne środki. Zatrzymywałam się u Stefki, która tymczasem zamieszkała w Strumianach. Miesiące letnie i Boże Narodzenie

spędzałam razem z nią, z błogością obserwując swoje dzieci, które grały z kuzynostwem w tenisa, jeździły konno lub bawiły się w szarady. Przez 10 lat ten projekt życiowy jako tako funkcjonował.

Rozdział 8

Jakież było moje zdumienie, kiedy w listopadzie 1934 roku przed moimi drzwiami stanął Romek wraz z całym swoim dobytkiem, i to w dniu 21. urodzin! Mocno go do siebie przytuliłam, a potem powiedziałam:

– Wchodź do środka. Rozgość się i opowiadaj, co zamierzasz począć ze swoim życiem, teraz, kiedy jesteś już pełnoletni...

Po tym, jak orzeźwił się dwiema szklankami napoju słodowego, a ja wręczyłam mu urodzinowy prezent w postaci najnowszych numerów pism motoryzacyjnych, ku mojemu ogromnemu zachwytowi Romek oznajmił, że zamierza ze mną zamieszkać.

– Ale nie bój się, mamuś, nie będę na twoim garnuszku, poszukam sobie pracy.

– A co z maturą?

Romek energicznie pokręcił głową. Nie spodziewałam się niczego innego. Nie znosił suchej teorii.

– A co porabia Hela?

– ... Wciąż prowadzi buchalterię w spółce Mayów.

– Jest ktoś w jej życiu?

– Wydaje się, że przeboleła już barona Haeblera. Ale kogoś innego chyba nie ma.

– Żadnego adoratora? – naciskałam. – Przecież lubi chodzić na bale. Muszą być tam jacyś...

– Mamuś, nie ma nikogo takiego!

Romka irytował ten temat. Ale co miałam zrobić? Zajmowało mnie to, czy Hela znajdzie sobie kogoś, i już. W wieku 22 lat powoli wypadała z obiegu. Kobieta musi zwabić odpowiedniego mężczyznę, kiedy sama jest jeszcze w kwiecie wieku. Później, gdy mija powab młodości, a zmarszczki i siwe włosy odbywają swój triumfalny marsz, raczej jej się to nie uda. Czy całe życie kobiety nie było ukierunkowane na to, by była ona dla mężczyzny kochającą partnerką, urodziła mu dzieci, a następnie troszczyła się o nie? Naturalnie Romek nie znał się na tych sprawach. W głowie miał tylko swój sport. A Hela od jakiegoś czasu nie odpisywała na moje listy.

– Chodź, zrobię ci parę zdjęć – zaproponował Romek.

Ze skórzanego pokrowca wydobyl aparat fotograficzny i pstryknął kilka razy.

– Potem sam je wywołam! – powiedział z dumą. – Zdziwisz się, co potrafię wyczarować z tego pudełka.

– Hm, a nie masz aktualnego zdjęcia Heli?

– Nie, przykro mi. Ona zachowuje dla siebie wszystkie zdjęcia, które wywołam i na których jest.

Zrazu byłam usatysfakcjonowana. Znów miałam u boku swojego chłopca. Co się podziało z Helą i dlaczego nie odpowiadała na moje listy, tego miałam się jeszcze dowiedzieć.

Rok 1934 był rokiem zmian – nie tylko w moim życiu, ale też w życiu wszystkich Niemców i Polaków. Wydarzenia potoczyły się szybko: umarł Hindenburg i pewien krzykacz z Austrii, który był już kanclerzem, został na dobitkę prezydentem Rzeszy. Popołniona przez niego książka wkrótce trafiła pod strzechy. Nikt chyba nie przeczytał tego gniota od deski do deski, w przeciwnym razie sprawy może przybrałyby zupełnie inny obrót. Już wtedy bowiem Hitler pastwił się nad Polakami. „Żywiol polski” jest tak mało wartościowy, że „czysto językowa germanizacja” to o wiele za mało, pisał [2]. Nie wróżyło to dobrze, chociaż Piłsudski i Hitler zawarli pakt o nieagresji. Nieufność i nerwowość zataczały coraz szersze kręgi. Tylko niewielu Polaków umiało odróżnić prawdziwą „brunatną koszulę” od człowieka, który przypadkowo jest Niemcem. Mój Romek był między

młotem a kowadłem. Polskie władze nie wydały mu paszportu, ponieważ swego czasu wybrałam dla niego opcję Rzeszy. W Polsce Romek nie miał szans na znalezienie zatrudnienia.

Ale też w Berlinie nie było wtedy kolorowo. Bardzo nam uprzykrzał życie dozorca. Przez cały dzień wyglądał przez okno i kontrolował wchodzących i wychodzących z budynku przy GeneralBarbyStraße 19, a zwłaszcza sprawdzał, czy wszyscy należycie wykonywali pozdrowienie niemieckie. Co dzień mechanicznie rzucałam mu *Heil Hitler*, żeby uniknąć nieprzyjemności. Nie mogłam jednak każdego dnia wyrzucać ręki w górę, ponieważ zwykle dźwigałam ciężkie torby z zakupami. Tym, co kazało nam się zwijać jak w ukropie, były dokumenty. Nagle każdy musiał udowodnić, że jest Aryjczykiem. Jeśli któryś z przodków trzy pokolenia wstecz zakochał się w orientalnej tancerce brzucha albo w Żydówce, to taka niefrasobliwość mogła napytać człowiekowi biedy. Przy czym chyba nikt nic nie poradzi na upodobania swoich pradziadów. Nawet dziecko by to pojęło. Zresztą i tak nie rozumiałam całej tej hysterii wokół Żydów. W Berlinie mieszkała ich garstka i zanim Hitler przejął władzę, byli oni praktycznie nie do odróżnienia od nieżydowskich Niemców [3]. Mnie osobiście żaden z nich nie zrobił nic złego, w związku z tym uważałam za krzyżującą niesprawiedliwość, że dzieje się im krzywda.

Wrogość wobec wszystkiego, co nieniemieckie, przybierała dziwaczne formy. Na przykład: chciałam sobie kupić u Wertheima przy Leipziger Platz nową sukienkę, którą ujrzałam w witrynie. „Wertheim” był w tamtym czasie największym i najpiękniejszym domem towarowym w całej Europie. Zawsze od razu poprawiał mi się nastrój, kiedy tylko się w nim znalazłam. Jednak pewnego razu, kiedy chciałam wejść do środka, zauważyłam, że coś było nie tak. Przed sklepem zgromadził się już tłum ludzi. Bojówkarze z SA ustawili się z jakimiś durnowatymi tarczami i tarasowali przejście. Skoro jednak już się tutaj pofatygowałam, nie miałam zamiaru odejść z kwitkiem, no chyba że za tę śliczną sukienkę. „Jutro może już jej nie być”, powiedziałam sobie w duchu, wobec czego zaczęłam się przeciskać obok umundurowanych osiłków. Ci jednak chamsko mnie poszturchiwali, a jeden plunął mi w twarz, na której wylądował obleśny farfocel flegmy. „Hańba! Prawdziwa Niemka nie kupuje u Żyda”. To i podobne hasła klepali z lubością. No więc z tym większą determinacją kupiłam sukienkę, ale za każdym razem, kiedy ją

zakładałam, przypominałam sobie to przykre zajście. Z tym całym SA nie można było praktycznie nic zrobić, wolno im było wszystko. Robili zresztą jeszcze gorsze rzeczy. Dzięki Bogu latem 1934 roku szef tej bandy został zastrzelony. Tak czy siak nikt go nie mógł zdzierżyć, nawet Hitler. Potem zapanował spokój i wszyscy gorączkowo oczekiwali na olimpiadę w 1936. Przez długi czas w Berlinie było przepięknie.

Najchętniej chciałabym nic nie wiedzieć o tym całym cyrku związanym z tak zwanym ruchem. Byłam po prostu szczęśliwa, że Romek i ja znowu się zjednoczyliśmy. Zdecydował, że chce mieszkać ze mną, czyli jako matka nie zrobiłam wszystkiego na opak.

O swojej córce dowiedziałam się tyle, że była wściekła na brata. Zarzucała mu, że opuścił Poznań w chwili, gdy zakłady Mayów cienko przędły. Hela nigdy nie rozważała pracy w jakimkolwiek innym miejscu, fabryka w Luboniu była centrum jej życia. Mieszkała w jednym z zakładowych domów i od wielu już lat zajmowała się buchalterią. Naturalnie Romek nie pozwalał sobie, aby siostra mu cokolwiek dyktowała. Również moja kochana teściowa Helena, która trzymała mocno w garści tak swój dobytek, jak i jedenaścioro wnucząt, nie zdołała powstrzymać Romka przed przeprowadzką do Berlina. Siedemdziesiąt osiem lat nie jest właściwie wiekiem do umierania, ale skandal, o którym niedługo napiszę, z pewnością skrócił życie Heleny o dobrych parę latek.

Sposób, w jaki upadła dumna spółka Mayów, wstrząsnął nawet mną. Fabryki Chemiczne stanowiły jeden z powodów, dla których w 1918 roku zostawiłam swoje dzieci u Heleny. Złożyłam w ten sposób ofiarę, która miała im zapewnić dobrobyt i wysoką pozycję. Już za sprawą samego nazwiska moje dzieci można było uznać za prawowitych spadkobierców zakładów, w szczególności Romka, którego Helena z namaszczeniem nazywała Romanem Mayem II.

Nikt nie był przygotowany na wydarzenia, o których Romek sukcesywnie donosił mi jeszcze z Poznania w listach i rozmowach przez telefon. W ciągu kilku lat po pierwszej wojnie światowej zakłady Mayów rozrosły się do rozmiarów gigantycznej ośmiornicy o zbyt wielu ramionach. Żeby mieć oko na to, co dokładnie porabiają poszczególne macki, Helena była zbyt leciwa, a Ratajski zbyt zaabsorbowany. Nikt nie da rady pełnić funkcji prezydenta

rozrośniętego miasta, jakim był Poznań – w międzyczasie powołując do życia międzynarodowe targi – oraz oddanego całym sercem dyrektora rady nadzorczej koncernu. Oprócz sztucznych nawozów superfosfatowych towarzystwo akcyjne sprzedawało również klej z mączki kostnej oraz piwa Huggerów. W radzie nadzorczej zasiadali teraz politycy i bankierzy, stale zaprzętnięci myślą o tym, jak powiększyć dywidendy spółki. Postanowiono udzielać kredytów współpracownikom i klientom oraz oddawać w dzierżawę grunty.

Gigantycznej ośmiornicy o nazwie May po raz pierwszy powinny się macki za sprawą światowego kryzysu gospodarczego. Następnie ludzka chciwość zgotowała jej niemal zupełną klęskę. Upadek zaczął się od całkowicie zaskakującego aresztowania ośmiu członków kierownictwa firmy. Jednym z nich był mąż pięknej Buni. Pewien dziennikarz ustalił kilka pikantnych szczegółów na jego temat, a próba podjęta przez Rozmiarę skłonienia go przekupstwem do milczenia spełzła na niczym. Cała historia ujrzała światło dzienne. Po zapłaceniu wysokiej kaucji, na którą zrzuciło się ponad 30 członków rodziny, on i siedmiu pozostałych oskarżonych wyszło na wolność. Do samego końca Rozmiarę zarzekał się, że jest niewinny. Było jednak rodzinną tajemnicą poliszynela, że przez wiele lat wyprowadził z firmy tysiące złotych, aby móc sfinansować budowę zaprojektowanej przez znanego architekta imponującej willi w samym centrum Poznania. Pewnego razu Rozmiarę zapytał mojego Romka w trakcie kolacji:

– Kiedy ty wreszcie zdasz maturę?

Romek cisnął mu w twarz pogardą:

– A po co? Żebym mógł podbierać pieniądze z firmy?

Doszło do długiego i skomplikowanego procesu sądowego. Koniec końców Rozmiarę musiał dać pod zastaw swój niewielki majątek w Niwce wraz z cenną kolekcją malarstwa olejnego. Ponoć właśnie w zaciszu tej posiadłości doznał zawału serca w 1934 roku. Krąży pogłoska, że sam odebrał sobie życie i że kiedy Helena go tam znalazła, to właśnie jej stanęło serce. Musiał to być moment, w którym moja teściowa uzmysłowiła sobie, że dzieło życia jej męża, które tak długo i z takim poświęceniem hołubiła, poszło w niwecz.

Pomimo wszystko nie skłamię, kiedy powiem, że nie odczuwam satysfakcji. Jest rzeczą zwyczajnie gorzką, że przy wyborze kierownictwa Helena postawiła na złego konia, co w ostateczności doprowadziło do jej psychicznego załamania. Mojemu Kasimirowi Helena nigdy nie dowierzała w dostatecznym stopniu. Ożenek ze mą był w jej oczach aktem takiej nielojalności, że obłożyła mego męża najwyższym wymiarem kary – traktowała go bez mała jak powietrze. Gdyby tylko zostawiła w fabryce wolne stanowisko dla jedyne go syna i dała mu czas na rozwój, z pewnością nie usiłowałby zostać bohaterem wojennym i nadal by żył. Być może zakłady Mayów nie przekształciłyby się w towarzystwo akcyjne o międzynarodowym znaczeniu, ale opierałyby się na zdrowych fundamentach. Państwo rolnicze, jakim jest Polska, zawsze będzie potrzebowało nawozów. I dałabym sobie rękę uciąć, że mój Kaziu nigdy by sobie nie przywłaszczył pieniędzy z firmowej kasy.

Nie mogę nienawidzić Heleny za to, że zawsze źle oceniała otaczających ją ludzi. Ciężko jest widzieć w dzieciach i wnukach to, kim naprawdę są. Helena liczyła, że Romek obejmie kiedyś kierownictwo w zakładach Mayów, a Hela poślubi majątnego mężczyznę, który zainwestuje pieniądze w fabryki. Jednakże Hela stroniła od mężczyzn, a Romek marzył o czymś zgoła innym.

Dopiero teraz, z dużego dystansu, rozpoznaję prawdziwe oblicze moich dzieci. Dajmy na to – Romek sprawiał wrażenie odpornego na ciosy, silnego. Miał ciało wojownika, ale w głębi duszy pozostał małym chłopcem, który zadawał sobie pytanie, gdzie jest jego miejsce, i rozpaczliwie chciał być kochany. Pragnął przeżywać przygody i projektować wielkie wynalazki. To, że był przedsiębiorczy, roztropny i oszczędny, w mniejszym stopniu wynikało z jego natury, w większym zaś ze skąpstwa Heleny. Jeśli nie chciał zebrać u babci, by móc spełnić swoje nawet pomniejsze życzenie, zmuszony był dorabiać po parę złotych już jako uczeń. Pielęgnował samochody krewnych, mył je, tankował do pełna, sprawdzał stan oleju i ciśnienie w oponach. W swoim pokoju urządził też laboratorium fotograficzne, w którym wywoływał zdjęcia dla przyjaciół i znajomych. Ponieważ za swoje usługi żądał mniej pieniędzy niż poznańscy fotografowie, dostawał bardzo dużo zleceń.

Tragedia osiągnęła punkt kulminacyjny w 1934 roku, kiedy to musiano zamknąć trzy zakłady należące do towarzystwa akcyjnego oraz właśnie odremontowany wielkim nakładem kosztów Browar Huggerów. Kilka tysięcy robotników straciło pracę, kilku akcjonariuszy – cały majątek.

Nawet ulubiony zięć Heleny, Cyryl Ratajski, został wciągnięty w wir wydarzeń. A przecież był to człowiek na wskroś uczciwy. Po plajcie skłonił Bank Polski do wzięcia w dzierżawę spółki Mayów. W ramach gwarancji Ratajski zastawił wszystkie swoje posiadłości ziemskie, także dom i część pensji. W ten sposób zdołano wypłacić zaległe zarobki, poza tym wznowiono produkcję kleju z mączki kostnej. W 1934 roku poznaniacy ponownie wybrali Ratajskiego na urząd prezydenta miasta, tyle że w związku z toczącym się przeciwko niemu i innym członkom zarządu postępowaniem karnym wybory unieważniono. Dopiero w 1938, po czterech latach przesłuchań, postępowanie zostało umorzone. Nigdy nie udowodniono Ratajskiemu działania niezgodnego z prawem. Co najwyżej to, że w czasie kryzysu światowego brał nieodpowiedzialnie wysokie pożyczki, żeby nie musieć wyrzucać swoich robotników na bruk. Żał mi było jedynie bankiera, który udzielił firmie milionowych kredytów. Teraz nikt nie mógł ich spłacić, więc bankier został karnie zesłany do Wilna, gdzie w kompletnej rozpacz w związku z utratą honoru zabił się strzałem w głowę.

Rozdział 9

Po raz kolejny myślałam: teraz zacznie się prawdziwe życie. Nie posiadałam się z radości, że nareszcie mam syna u swego boku. W tamtym czasie żyłam wyłącznie dla niego. W pierwszej kolejności Romek zgłosił się do Berlińskiego Klubu Łyżwiarskiego [4]. Moja teściowa być może nie celowała w roztaczaniu wokół siebie miłości i życzliwości, ale wszystkim swoim dzieciom i wnuczętom dała na dalszą drogę jedno, a było tym zdyscyplinowanie. Nikt z jej otoczenia nie mógł się wywinąć od regularnego rozwijania tężyzny fizycznej. W przypadku Heli i Romka, którzy z natury byli wysportowani, dryl Heleny padł na podatny grunt. Hela uwielbiała wykonywać przerzuty w tył i w przód oraz gwiazdy, całkiem znośnie grała też w tenisa. Nienawidziła jednak rywalizacji i nigdy nie wystawiała na pokaz swoich umiejętności. Z kolei Romek był wręcz opętany myślą o sportowych zwycięstwach, chociaż twierdził coś wprost przeciwnego. „Liczy się tylko wzięcie udziału”, przytaczał od czasu do czasu słowa barona Coubertina, twórcy nowożytnych igrzysk olimpijskich. Ale Romek miał ambicję i chciał być coraz lepszy i coraz szybszy. W zimie jeździł wyłącznie na łyżwach. Wraz z nastaniem lata przesiadał się na kolarzówkę albo zakładał wrotki, żeby utrzymać dobrą kondycję. Umawiając się z kolegami na mieście, składał zamówienie: „Siedem szklaneczek wina i szklanek mleka”. Kiedy ktoś się wtedy z niego naśmiewał, mówił: „A na co mi alkohol? Mnie odurza prędkość”. I faktycznie, uprawiał łyżwiarstwo szybko, wygrywając jedne zawody za drugimi. Po przeprowadzce Romka do Berlina często przyglądałam mu się, jak mija mnie w pędzie na lodowisku. Przypominał wtedy czarną błyskawicę. Czarną, bo taki właśnie kolor wymyślono dla strojów zawodników, aby było lepiej widać emblematy danej drużyny. Romek nie miał ani trenera, ani menadżera. Ścigał się ze swoimi kolegami z klubu – to go napędzało.

Najpóźniej na początku 1934 roku, kiedy zdobył mistrzostwo Poznania w łyżwiarstwie szybkim, postawił sobie jasny cel: chciał wystartować na Igrzyskach Zimowych w lutym 1936 roku w GarmischPartenkirchen. Od tej chwili całe swoje życie podporządkował sportowi. Wprawdzie Romek często przyprawdzał do domu kolegów z klubu i wówczas siedzieliśmy razem, śmialiśmy się i graliśmy w karty. Ale nieważne, kto był z wizytą i jak wesołe było spotkanie, najpóźniej o godzinie 22 mój syn mówił twardo:

– Dobranoc. Miło było, ale czas już na was. Muszę się wyspać na jutro. Dobranoc, mamuś!

Zdarzało się, że ktoś mu mówił, iż psuje zabawę, ale to po nim sływało jak po kacze. Zawsze szykowały się jakieś zawody: wyścig kolarski, biegi na wrotkach czy jazda szybka na łyżwach. Kiedy akurat nie odbywał się żaden wyścig, Romek chciał być wyspany na trening. Zero alkoholu, zero papierosów, dużo sportu, dużo snu. W rezultacie miał szczupłe i żyłaste ciało atlety, które przyciągało spojrzenia dziewcząt w kąpielisku nad jeziorem Wannsee.

Ledwie się do mnie wprowadził, już miał na oku pewną posadę, która – wydawałoby się – była dla niego wręcz stworzona. Złożył podanie o pracę w AEGTelefunken w Zehlendorfie, firmie znanej w tamtych czasach głównie z produkcji odbiorników radiowych. Dzięki Bogu nie zabrał na rozmowę wstępną żadnego ze swoich marnych świadectw, wziął za to radio, które sam zbudował 10 lat wcześniej. Kiedy swojemu nowemu szefowi w dziale rozwoju opowiedział, że w Poznaniu regularnie wspinał się na dachy, żeby złapać lepszy odbiór, ten był w siódmym niebie. Od tej pory Romek pracował jako konstruktor w Telefunken.

Mój syn miał tam jak u Pana Boga za piecem. Koncern stać było na utrzymywanie własnej ekipy łyżwiarzy szybkich. Sportowa Drużyna Zakładowa (BSG Telefunken) systematycznie organizowała wyścigi w berlińskim Pałacu Sportu, miała nawet własny tor łyżwiarski. Z punktu widzenia firmy była to świetna reklama, dziś powiedzielibyśmy pewnie: dbałość o wizerunek. W ten sposób Telefunken demonstrowała swoją wydajność. Za Trzeciej Rzeszy nie było rzeczy bardziej potępionej niż niewytrenowane, słabowite ciało. Godziny treningu rozliczano Romkowi w ramach czasu pracy. W ten sposób mógł konstruować radia, a oprócz tego

bez zbędnego zachodu trenować, żeby spełnić swe ogromne marzenie: zdobyć złoty medal na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Garmisch. Z całych sił wspierałam go w tych zamierzeniach, byłam na każdych zawodach i gotowałam mu duże ilości mięsa.

Zanim jednak gorączka olimpijska ogarnęła nas na dobre, przygniotła nas zła wiadomość. Siedziałam u mamy i taty w ich domku w kolorze skorupki jajka, grając w kanastę, gdy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Ktoś ze szpitala w Reinickendorfie wręczył nam karteluszek, na którym widniała informacja: „Powiadomić Wandę i Karla Leitloffa. Gertrude Seybold z zatruciem na oddziale 3B”.

Było jasne jak słońce, że to zatrucie nie było wypadkiem. Jedyne mężczyzna, który kiedykolwiek zainteresował się Gertrudą, niedawno dał nogę z młodszą. Ale czego oczekiwać od człowieka, którego kobieta musi prosić o rękę? Ten nijaki inżynierzyna przez 14 lat dzielił z Gertrude miejsce przy stole i w łóżku. Robił się coraz cichszy i coraz grubszy, a na koniec z dnia na dzień opuścił ją w towarzystwie własnej sekretarki. Bez wyjaśnienia, bez przeprosin, bez niczego! Nie mieli dzieci ani nic innego, czego moja siostra mogłaby się uczepić.

We troje pospieszyliśmy do szpitala, ale było już za późno. Ramiona mojej siostry bujały się z boku łóżka, jak gdyby były wykonane z gumy. Mama głaskała ją po policzku i co rusz wybuchała szlochem: „Moje dziecko! Moje dziecko!”. Ordynator oddziału nie mógł nam spojrzeć w oczy.

– Depresja oddechowa wywołana przedawkowaniem luminalu – wyjaśnił, a kiedy żadne z nas się nie odezwało, dodał przepaszająco: – Musieliśmy jej zrobić płukanie żołądka.

Tata stał jak skamieniały. Czułam się winna, bo widziałam sygnały ostrzegawcze, ale nie zareagowałam. Parę dni wcześniej spotkałam Gertrude u mamy, miała zaczerwienione od płaczu oczy. Przybita, wzgardzona kobieta, która siedziała na podłodze koło kanapy i nawet nie wycierała nosa.

– Idź do lekarza, niechże ci przepisze coś na nerwy – poradziła jej mama.

Lekarz zdiagnozował „stany niepokoju nerwowego” i wystawił receptę na duże opakowanie luminalu. Gertrude połknęła wszystko za jednym

razem. Po prostu straciła ducha, a wraz z nim to, co najważniejsze.

Hart ducha jest jak kręgosłup człowieka. Bez niego nie sposób zmierzyć się z życiem. Dopóki wszystko idzie dobrze i przebiega zgodnie z planem, nie potrzebujemy go. Jednak w chwilach, kiedy jesteśmy na samym dnie i myślimy, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nam, trzeba go z siebie wykrzesać. Także nadzieję, że z tego dołka, jak ze wszystkich innych dołków przed nim, również się wykaraskamy. I ufność, że na końcu długiego tunelu pojawi się wreszcie światło. Kiedy nami pomiatają, kiedy chorujemy i tracimy bliskich, wówczas musimy cisnąć życiu prosto w twarz przekorne „No to co!”.

To, że Gertrude upadła na duchu, nie powinno było się zdarzyć. Być może potrzebowała tylko odrobiny pociechy i kogoś, kto ją weźmie w ramiona. Wtedy z pewnością znalazłaby gdzieś w głębi duszy siłę, by się podźwignąć. Dlaczego nawet nie podjęłam próby postawienia jej na nogi? Zdumiewające, ale nasze relacje nigdy nie były zbyt zażyłe. A kiedy w 1920 roku Gertrude przeniosła się ze swoim Hermanem do Poczdamu, przestała istnieć w moich myślach, co muszę przyznać z wielkim wstydem.

My, kobiety z rodziny Leitloffów, nigdy nie umiałyśmy dawać sobie nawzajem oparcia i poczucia bezpieczeństwa. Wanda szybko nas odzwyczała od mówienia o swoich troskach i doznanych krzywdach. „Biadolenie jest do luftu. I nic nie daje”, uważała. Skoro i tak nie mogłam liczyć na czyjąkolwiek pociechę, znałam tylko jedno lekarstwo na przeciwności losu: ignorowanie. Byłam mistrzynią w ignorowaniu tego, co w życiu złe, mroczne i niepomysłne, w pokrywaniu śmiechem i wzruszeniem ramion tego, czego nie da się zmienić, w otrząsaniu się i dalszym pchaniu swojego wózka. Gertrude nigdy się to nie udawało tak dobrze jak mnie. Kiedy spotykało ją coś złego, nie potrafiła się pozbierać i pójść dalej z głową do góry jak ja. Zawsze rozpaczliwie próbowała zaspokoić oczekiwania wszystkich. A ponieważ mimo jej starań nigdy nie darzono jej miłością i uznaniem, jakiego sobie życzyła, dotkliwie ją to bolało.

Po pogrzebie Gertrude mama, tata i ja robiliśmy się coraz bardziej milczący. Każde z nas obchodziło żałobę po niej na swój sposób, ale brakowało nam odpowiednich słów, żeby o tym rozmawiać. Śmierć jest tak nieubłagana jak betonowy mur. Nikt nikomu nie wyjaśni, dlaczego mur ten

stoi i co się za nim kryje. Kiedy chcemy go sforsować, nabijamy sobie tylko guzy. Tato przestał czesać swojego wąsa. Niekiedy szedł przed kolacją na samotny spacer, przy czym wysoko stawiał kołnierz płaszcza, być może po to, by ukryć tę czy ową łzę. Mama straciła zaróżowione policzki i apetyt, aż wreszcie całkiem zamilkła i przestała przyjmować jakikolwiek pokarm. Poranne wstawanie wydawało jej się tak pozbawione sensu, że już niebawem zaniechała i tego. Patrzyłam na nią – leżącą w łóżku i coraz bardziej chudną. W lutym 1935 roku osiągnęła swój cel. Udała się w ślady córki, dokądkolwiek miały one ją zaprowadzić.

Potem przez wiele nocy w ogóle nie mogłam spać. Jakim miejscem jest ten świat, że wszyscy chcieli go opuścić? Wanda nie była dla mnie ani powiernicą, ani wzorem, w takim samym stopniu jak nie była nimi Gertrude. Głębokim smutkiem napawało mnie, że raz na zawsze straciłam szansę na poprawę naszych stosunków. Wanda i Gertrude miały zmarnowane życie. Życie, które z jakiegoś tam powodu nigdy naprawdę ich nie cieszyło. Gertrude była zazwyczaj poważna i załęczniona, a Wanda besztala nawet tatę, chociaż trafił jej się jak ślepej kurze ziarno. Dobrze, że jej gadanina w ogóle go nie wzruszała. Miałam wrażenie, że Wanda dostrzegała wyłącznie ciemne strony życia. Było to podejście z gruntu niesłuszne. Trzeba trzymać się tego, co piękne, a nie tego, co brzydkie. Nocą, kiedy nie mogłam zasnąć, nalewałam sobie kieliszek czerwonego wina i zwracałam się na głos do Boga albo istoty, która być może istniała gdzieś tam. „O co chodzi z tym życiem?“, przemawiałam w ciszy. Albo: „Dlaczego ciągle jeszcze tutaj jestem?“. Naturalnie nie uzyskałam żadnej odpowiedzi.

Będąc młodą dziewczyną, triumfowałam nad siostrą, ponieważ do mnie garnęły się ludzkie serca. Nawet tato wydawał się kochać bardziej mnie niż Gertrude. Wynikało to stąd, że Gertruda była po prostu pozbawiona wdzięku. Miała niezborne ruchy i cały czas mówiła nie to, co trzeba. Przyglądałam się z boku jej niepowodzeniom. Tak naprawdę ubolewałam nad tym, że nigdy nie byliśmy sobie bliskie. Zawsze zabiegałyśmy o miłość taty. Trzy kobiety, z których każda chciała być jak najbardziej urocza, powabna i zabawna.

Co w ogóle wiedziałam o swojej matce? Z albumu rodzinnego dowiedziałam się, że kiedyś był jakiś rozwód. Zanim poznała tatę. Człowieka

o wielkim sercu. Człowieka wybaczącego wszystko. Kiedyś zapytałam ją o to, a ona poczerwieniała jak indyczka i nawrzeszczała na mnie:

– Nie twój zakichany interes, smarkulo!

I zamachnęła się na mnie miotelką do kurzu. Uciekłam i schowałam się pod schodami. Po moich pucułowatych policzkach dziecka spływały łzy. Musiałam coś przeskrobać. Byłam niedyskretna. Odczuwałam głęboki wstyd i przysięgłam sobie, że już nigdy nie wypowiem słowa „rozwód”. Słowa pobrzmiwającego utratą czci, moralnym upadkiem i ludzkim gadaniem.

My, dziewczynki, zawsze byłyśmy dla Wandy poniekąd zawadą, ciężarem. Nie umiałam przypomnieć sobie chwil, kiedy okazywała nam czułość. Ciągle tylko te plamy na bieliźnie, ciągle tylko ten głupkowaty chichot. A na dokładkę coś, czego Wanda nigdy nie mogła mi wybaczyć: ja i tata śmialiśmy się i świetnie bawiliśmy. Byliśmy ulepieni z jednej gliny. Jaki mieliśmy ubaw, kiedy pani Schulze, nasza sąsiadka, pytała o swoją kicię, a tato i ja z miną niewiniątek mówiliśmy: „Nie widzieliśmy jej, pani Schulze”. Przy czym kicia siedziała na naszym piecu kaflowym i mruczała, gdy karmiliśmy ją resztkami z niedzielnej pieczeni. Wanda uważała nasze zachowanie za niedopuszczalne. Według niej kłamstwo zawsze było niesłuszne, puenta żartu była jej obojętna. W takich chwilach ona i Gertrude zgadzały się ze sobą, tato i ja również. Gertrude i Wanda nie miały w sobie lekkości, my – owszem.

Po śmierci żony tato nosił wyłącznie czarny garnitur na przemian z szarym. Tak wypadło. Pytałam go, jakie było jego życie z Wandą. Jaka była jako młoda dziewczyna.

– Coś ci powiem – snuł rozważania. – Jak człowiek jest młody, zapala się na widok tyłka albo mrugających zalotnie oczu i myśli sobie, że to miłość. Potem jednak przychodzą dni, kiedy cały czar mija, jak ręką odjął. A my zostajemy, czekamy, że czar ten powróci. Tyle że on nigdy nie wraca. A jednak... Dobra była z niej żona. Od samego początku czułem, że muszę się nią opiekować. Nie mogła mnie zwieść swym szorstkim sposobem bycia.

Kilka tygodni po śmierci mamy z tatą stało się coś osobliwego: rozkwitł. Najwyraźniej nie zamierzał pójść za swoją żonę do grobu. Wręcz przeciwnie: stroił się, wybierał na długie przechadzki i nigdy więcej nie

wspominał o Wandzie. Jak gdyby uwolnił się od niej i zdecydował znowu być w pełni sobą.

Sama wstydziłam się, że czułam trochę podobnie jak on. Nie brakowało mi Wandy i Gertrude. Tata, Romek i ja tworzyliśmy cudownie uformowaną koniczynę, tym razem była to koniczyna trójlistna. Wieczorami często przesiadywaliśmy razem i graliśmy w kanastę. Czasem tata sypał mądrościami typu: „Damy należy kłaść na bok, bo dużo kosztują”. Nie cierpiałam tego powiedzonka, ale czasem łapałam się na tym, że sama go używałam. Mówiłam: „Odkładam damę, bo damy i konie dużo kosztują. Nie trzeba trzymać ich zbyt wiele”. Tatę to widocznie bawiło. Śmiał się tak, że aż mu się trzęsła siwa broda, a oczy błyszczały. Czyżby miał kiedyś jakąś miłośćkę? Nie umiałam sobie tego wyobrazić. Niekiedy tato rozwiązywał łamigłówki, w czasie gdy ja robiłam na drutach. Stan czystej harmonii. Kiedy Romek wracał do domu, jedliśmy we troje i słuchaliśmy muzyki z radia, popularnego w tamtych czasach odbiornika ludowego⁵.

W całej Rzeszy Niemieckiej szalała gorączka olimpijska, która zaczęła się w 1935 roku. Nawet na znaczkach pocztowych widnieli już tylko sportowcy. Wyczynowcy świetnie się wpisywali w ideologię narodowego socjalizmu i dostawali też odpowiednio silne wsparcie od państwa. Z uwagi na niezłe wyniki Związek Rzeszy ds. Kultury Fizycznej wysłał Romka na treningi do Davos i Garmisch. Był to dla niego wielki zaszczyt. Decyzja ta oznaczała, że faktycznie pokładano w nim nadzieje na medal olimpijski.

Jednak wówczas przydarzyło mu się nieszczęście. Na treningu w Garmisch Romek upadł na kolano tak pechowo, że obecny na miejscu lekarz ekipy stwierdził:

– Zwykle powiedziałbym: zacisnąć zęby i ćwiczyć dalej! Tym razem jednak mówię: założyć gips i czekać.

Jeden upadek wystarczył, aby olimpijskie marzenie Romka rozwiało się jak dym. Ta kontuzja, dosłownie i w przenośni, bardzo go zabolęła. W naszym mieszkaniu zawisła ciężka jak ołów cisza. Romek nie przyjmował już odwiedzin kolegów z klubu i wzbraniał się przed odbieraniem telefonu. Jego zmartwienie udzieliło się mnie. Cokolwiek ugotowałam, Romek tylko grzebał apatycznie widelcem w talerzu. Cokolwiek powiedziałam, nic nie

mogło go rozweselić. Aż do listopada 1935 roku dokuczały mu bóle, nawet po zdjęciu gipsu. To go dobijało. Dopiero w grudniu tego roku mógł od nowa trenować jak opętaniec w Pałacu Sportu w Berlinie. Już wkrótce czuł, że osiągnął dawną formę, tak że buńczucznie stwierdził:

– Ten tor wydaje mi się o wiele za mały. Ale może ja jestem po prostu za szybki.

W styczniu następnego roku Romek wziął udział w mistrzostwach Niemiec, które odbywały się w Füssen parę tygodni przed zimową olimpiadą. Siedziałam na widowni i uznałam, że jedzie szybciej i w lepszym stylu technicznym niż kiedykolwiek. Wystartował w wielkim czwórboju i zajął dwa razy drugie i dwa razy czwarte miejsce. Oznaczało to jednak, że mój syn nie zakwalifikował się do udziału w olimpiadzie! Tylko dwaj reprezentanci Rzeszy Niemieckiej mogli stanąć do rywalizacji w Garmisch. Byli to Heinz Sames i Willy Sandner.

Romek tak dzielnie walczył, a mimo wszystko nie osiągnął swego celu. Nigdy wcześniej nie widziałam go w stanie kompletnego rozbicia.

– Wszystko na nic – wzdychał.

Usiłowałam go pocieszyć:

– Trzeba pozostać realistą. Biorąc pod uwagę, jak długą przerwę miałeś w treningach, to i tak wielki sukces.

Mimo wszystko zwiesił nos na kwintę, zastanawiał się nawet, czy nie zaniechać całkiem sportu. Na szczęście jednak przyszły mi do głowy odpowiednie słowa, które wlały w niego otuchę:

– Ta olimpiada nie jest ostatnia! Za cztery lata odbędzie się następna. Po prostu rób dalej swoje! Patrz przed siebie!

To było dobre rozwiązanie. Patrzeć przed siebie! Dawało mu ono napęd do działania. Czasami dobrze nie wiedzieć, co nas czeka. Organizacja kolejnej zimowej olimpiady w 1940 roku miała co prawda być ponownie przyznana Garmisch, ale w związku z wojną impreza nigdy się nie odbyła.

Niezależnie od wszystkiego pojechaliśmy do Garmisch, choć Romek nie brał udziału w zmaganiach sportowych. Tylko nas troje: tato, Romek i ja.

Siedzieliśmy w rzędach na widowni i emocjonowaliśmy się jak cała publiczność. Po raz pierwszy w konkurencji łyżwiarzy szybkich nie startowali wszyscy naraz, lecz każdorazowo dwaj wylosowani zawodnicy.

Absolutnym liderem okazał się Norweg Ivar Ballangrud. Romek od dawien dawna podziwiał tego rosłego sportowca o ogorzałej cerze. Wciąż brzmi mi w uszach jego pełen uznania okrzyk:

– Mój Boże! Zostawia nas w tyle! Jak można być tak szybkim?

I w rzeczy samej, niemieccy panczeniści nie mieli najmniejszych szans.

Ten czas spędzony razem był dobry. Tylko relacje z Helą stawały się coraz trudniejsze. Już w 1934 roku, kiedy Romek sprowadził się do Berlina, wymyślała mu od zdrajców. Romek był niezwykle osowiały po rozmowie, którą odbyli na pożegnanie.

– Cholernie ułatwiasz sobie sprawę! Akurat teraz, kiedy produkcja w zakładach Mayów kuleje, ty bierzesz nogi za pas! – zarzuciła mu. – Ja przynajmniej tutaj zostaję i będę dalej walczyła z buchalterią.

W długich rozmowach Romek wyluszczał Heli, że nie nadaje się na chemika.

– To czemu nie zostaniesz tutaj choćby jako prokurent albo kierownik? Wystarczy, że się trochę wdrożysz! Firma nosi twoje nazwisko. Czy nazwisko doktora Romana Maya nic dla ciebie nie znaczy?

Romek mocno objął Helę i powiedział:

– Nie odchodzę z tego świata. Wrócę tu kiedyś.

Tyle że po przeprowadzce, jak już wspomniałam, od razu znalazł zatrudnienie, a na domiar wszystkiego został mistrzem Berlina w łyżwiarstwie szybkim. Wielce dumny przesłał Heli egzemplarz „Reichssportblatt”, w którym na stronie tytułowej zamieszczono jego zdjęcie – promiennego zwycięzcy. Jak się miało okazać, popełnił błąd. W środku czasopisma widniała bowiem fotografia Romka unoszącego prawe ramię w hitlerowskim pozdrowieniu. Przyzwyczajiliśmy się już do tego i nie widzieliśmy w tym nic szczególnego. Wszystkie kluby sportowe podlegały Związkowi Rzeszy ds. Kultury Fizycznej i pieczę nad nimi sprawowali

narodowi socjaliści. Kiedy jednak Hela zobaczyła Romka u boku jednego z umundurowanych komisarzy ds. sportu, wyciągnęła własne wnioski. Napisała krótki list o takiej oto treści:

Romku!

Zawiodłam się na Tobie sromotnie! Zdradziłeś i sprzedałeś mnie i swój kraj. Pamiętam, że często mówiłeś o Niemcach, że nad nami górują. A zatem opowiedziałeś się po stronie, która przysparza Ci korzyści.

Adieu, mój bracie! Proszę, nie przysyłaj mi więcej listów. Jest mi wszystko jedno, co od tej pory będzie się z Tobą działo.

H.

– Powodzenia to ci ona nie życzy – podsumowałam, gdy Romek przeczytał mi list. – Zawsze była zazdrośnicą. Szkoda. Ale jeśli chodzi o niemczyznę, to przeszła samą siebie.

Romek nie odrzekł nic, ale i tak wiedziałam, że był bezbrzeżnie smutny, bo Hela opacznie go rozumiała. Chciał być bohaterem sportu. Oczywiście brał udział w całym tym bajzlu: ramię w górę, okrzyk *Heil Hitler* i tak dalej. Nie można było inaczej. Ale dał się porwać swojemu zachwytowi nad kultem ciała. A tak w ogóle Hitlera określał mianem ryczącej małpy i nigdy nie wstąpił do partii, chociaż wielokrotnie składano mu taką propozycję. Sport był dla niego sportem, ni mniej, ni więcej.

Rozbrat między moimi dziećmi spotęgował się, kiedy pierwszego września 1939 roku Niemcy wkroczyli do Polski. Nigdy nie zapomnę, jak Romek, mój ojciec i ja siedzieliśmy przed radioodbiornikiem i z gęsią skórką słuchaliśmy wrzasków Hitlera: „Od godziny 5:45 odpowiadamy ogniem. Od teraz za każdą bombę zapłacimy im bombą!”.

Byliśmy doszczętnie przygnębieni, zaszokowani. Początkowo wierzyliśmy, że to Polacy zaczęli inwazję. Wersja taka nie była aż tak nedorzeczna, pomimo obowiązywania paktu o nieagresji [5]. Atmosfera była bardzo podgrzana. Te niekończące się spory od czasu Traktatu Wersalskiego. Hitler chciał odzyskać korytarz polski, który oddzielał Rzeszę Niemiecką od Prus Wschodnich. W ostatnim tygodniu sierpnia Stefka depeszowała, że jej synowie Lech i Zbigniew „wyjechali”. Dośpiewałam

sobie, że jako rezerwiści zostali zapewne powołani. Polska ogłosiła powszechną mobilizację, co oficjalnie było ściśle tajne, ale stanowiło wyraźny sygnał dla Hitlera: nie damy się tak łatwo wziąć, jak Czesi w marcu 1939 roku.

Pamiętam, jak po zapowiedzi wojny biegaliśmy po mieście i gromadziliśmy zapasy: wódkę, mąkę, kartofle, papierosy, mleko w puszkach. Ponieważ większość ludzi robiła to samo, niebawem półki w sklepach były puste.

Wieczorem pierwszego września nagle zawyły syreny. Szybko zaciemniliśmy okna i pobiegliśmy do piwnicy. Takiego zachowania nauczyliśmy się na ćwiczeniach Związku Ochrony Przeciwlotniczej Rzeszy. Drżący siedzieliśmy w ciemnicy. Nic się nie wydarzyło. Nazajutrz radio podało, że dwa polskie samoloty zmierzały w stronę Berlina, a potem zawróciły.

Oczywiście oglądaliśmy kronikę filmową, ale donoszono w niej tylko o rozpromienionych żołnierzach Wehrmachtu albo o rozradowanych folksdojczach, którzy w zachwycie obrzucali kwiatami tych pierwszych. Kampanię w Polsce nazwano „wojną kwiatową”. Podobno nie połała się krew.

Pomimo to towarzyszyło mi mdlące uczucie. Koniecznie chciałam się dowiedzieć, jak się miała Hela. Z urzędu pocztowego kilkakrotnie dzwoniłam bezpośrednio do niej, do biura buchalterii spółki Mayów. Dopiero po kilku próbach telefonistce udało się nawiązać połączenie. Rozmowy zagraniczne były bardzo drogie. Specjalnie podjęłam z banku pieniądze, żeby mieć czym zapłacić.

– Fabryki Chemiczne Mayów, May przy aparacie – zgłosiła się Hela.

– Dziecko! Nic ci nie grozi?

– A, to ty, Grete – powiedziała Hela zimno. – Tu jest spokojnie – twierdziła. – Wujek Cyl dba o mnie. Znowu jest prezydentem miasta, bo jego poprzednik uciekł przed Niemcami wraz ze strażą pożarną i soldateską. Na dodatek ci kretyni wysadzili mosty, żeby nie ułatwiać sprawy Niemcom. Wielkie mi bohaterstwo!

– Na pewno ci tam dobrze? Nie boisz się?

– Tylko sztukasów. Nie sypiam zbyt dobrze po nocach, bo nieustannie mam w uszach warkot silników. Wzięli sobie na cel szpitale i kościoły. Wujek Cyl mówi, że Anglicy i Francuzi przyjdą nam z odsieczą. Niedługo. Tutaj, na obrzeżach miasta, w Luboniu i Puszczykowie, tak czy siak jesteśmy bezpieczni.

– Nie sądzę. Mój Boże, Helu, przyjedź do Berlina, jesteś w końcu Niemką!

– Nie pojedę do Berlina! Wolę zginąć z Polakami – powiedziała ostro. Język mi na chwilę skołowaciał.

– Opamiętaj się! Dlaczego miałabyś ryzykować życiem? Uciekaj, zanim będzie za późno – kładłam jej do głowy.

Hela nie dała się wyprowadzić z równowagi.

– Wujek Cyl też stąd nie ucieka. Troszczy się o mnie i doskonale wie, co robić. Podsunęto mu informacje, jakie zamiary mają naziści. Chcą zniszczyć Żydów, katolików i polską inteligencję. Wszystkich, którzy stoją na ich drodze. Jestem dla nich nieciekawa.

– Helu, co ty wygadujesz – krzyknęłam. – Nigdy nie wiesz, na kogo trafisz! Nawet tutaj, w Berlinie, mamy się na baczności. Wyjedź stamtąd, to obszar działań wojennych! Jeśli nie chcesz przyjechać do Berlina, to jedź gdzie indziej, do jasnej cholery!

– Owszem, noszę się z zamiarem wyjazdu. Koko i Ziemo Ratajscy też opuścili miasto. Koko przyłączył się do podziemnej armii w Warszawie. A Ziemo jest już w Anglii, by wspierać brytyjskie siły powietrzne. Opracowują nową technologię dla samolotów bojowych.

Oczami wyobraźni ujrzałam kuzynów Heli. Dwóch wysokich blondynów, jeden z nich – przystojny lekkoduch, drugi – chłopak twardo stojący na ziemi, raczej nieśmiały. Obaj synowie prezydenta miasta Poznania nie mogli się od siebie bardziej różnić. Ziemo był młodzieńcem, który – jeśli chodzi o upór w dążeniu do celu i pilność – w niczym nie ustępował swojemu ojcu Cyryłowi. Na chrzcie nadano mu imiona Ziemowit Roman, co było kolejnym hołdem złożonym mojemu zmarłemu teściowi. Najwyraźniej Ziemo

odziedziczył po tym powszechnie szanowanym człowieku więcej cech niż mój ukochany syn. Ziemo był wzorowym chłopcem. O Romku nie mogłam tego powiedzieć.

Mojego syna pociągał bardziej brat Ziema, Kordian, pieścotliwie zwany Koko. Ten lekkomyślny, uderzająco piękny chłopak miał w szkole równie katastrofalne oceny jak Romek. Nieraz mówiłam synowi:

– Nie chcesz nadrobić matury? Nawet Koko ją zdał.

Ale rzucałam grochem o ścianę.

Kiedy Romek mieszkał jeszcze w Poznaniu, często jeździł razem z Koko na łyżwach. Pewnego razu wypożyczyli motocykle i wozili za nos policjantów, którzy podejrzewali, że chłopcy chcą dokonać zamachu na willę prezydenta Ratajskiego. Po szalonym pościgu Koko i Romek zdołali się ukryć z motocyklami w zaroślach. Śmiali się niemal do rozpuku, że postawili policję w stan alarmu. Naprawdę mieli szczęście, że nikt ich nie znalazł.

Hela wyrwała mnie z zamyślenia.

– Oczywiście mogłabym spróbować uciec do Anglii. Ziemo na pewno załatwi mi jakieś zakwaterowanie – zastanawiała się na głos. – Jak myślisz?

– Co ty chcesz robić w Anglii? To jasne, że Ziemo może być dla nich przydatny jako inżynier. Mówi biegle po angielsku i w Warszawie studiował na kierunku inżynierskim lotnictwo i astronautykę. Już jako dwudziestolatek popłynął na „Estonii” do Nowego Jorku i pracował tam w charakterze tłumacza. Ale ty? Ty się nawet nie dogadasz. Mówisz tylko po polsku, francusku i niemiecku.

– Masz rację. I tak myślałam raczej o wyjeździe do Warszawy.

– Do Warszawy? Skąd ci przyszło do głowy, że w stolicy będziesz bezpieczniejsza niż w Poznaniu?

– Może nie bezpieczniejsza. Ale mogłabym się przyłączyć do Koko i walczyć w podziemiu.

– W podziemiu? Helu, ty jesteś postrzelona! Kobiety nie mają tam czego szukać.

– Grete, zawsze mówiłaś, że człowiek musi się bronić, kiedy dzieje mu się krzywda. A Koko mówi...

– Koko przeszedł szkolenie wojskowe – ucięłam jej z wściekłością. – Był w batalionie pancernym i nauczył się posługiwać bronią! Hełu, na miłość boską, wojnę pozostaw żołnierzom!

– Czasy się zmieniły – odrzekła z dumą. – Obecnie nawet my, kobiety, możemy coś zdziałać. Może niekoniecznie z bronią w rękę, ale w tajnych akcjach.

W jej głosie pobrzmiwał heroiczny ton, który wcale a wcale mi się nie podobał. Nie mogłam jednak dalej z nią rozmawiać, bo skończyły mi się pieniądze. Telefonistka ordynarnie przerwała połączenie.

Niedługo po naszej rozmowie wydarzenia przyspieszyły. Niemcy dotarli do Poznania 10 września 1939 roku. W kompletnej rozsypce Hela zadzwoniła do mnie z mieszkania przyjaciółki, której telefon najwyraźniej nie był na podsłuchu. Cyryl Ratajski był zmuszony przekazać urząd prezydenta miasta Niemcom. W poznańskim ratuszu zasiadał teraz niejaki generał VollardBockelberg. Niektórych mieszkańców centrum miasta bezwzględnie wyrzucono z domów, aby mogli się do nich wprowadzić niemieccy urzędnicy i żołnierze. Lokatorów tych poddano „przymusowemu przesiedleniu” do Generalnej Guberni, obszaru pod panowaniem Hansa Franka [6]. W ten sposób szanowani obywatele z dnia na dzień zmienili się w żebraków. Na obczyźnie bowiem przymusowi przesiedleńcy nie mieli pojęcia, gdzie i z czego mieliby żyć.

Poznańską synagogę narodowi socjaliści przekształcili na kryty basen dla Niemców. Na ławkach w parkach, w oknach wystawowych i w większości tramwajowych wagonów rzucały się w oczy tablice z napisem „Tylko dla Niemców”. Poza tym okupanci rozwieszali obwieszczenia z nowymi rozporządzeniami: polskie dzieci utraciły prawo do picia pełnotłustego mleka, korzystania z placów zabaw i kontynuowania nauki po ukończeniu szkoły podstawowej. Hela z przerażeniem patrzyła na zgraję wyrostków z Hitlerjugend, którzy pobili małego chłopca. Nic złego nie zrobił, po prostu wracał sam do domu. Opowiadała mi, że przez wiele dni odczuwała wstyd, że nie pospieszyła malcowi z pomocą.

Każdy Polak, który mijał na ulicy Niemca, musiał zdjąć nakrycie głowy. Istniał zakaz zwracania się do Niemców oraz używania publicznie języka polskiego. Każdy Polak w wieku powyżej 12 lat miał obowiązek wykonywania ciężkich prac. Ponadto w godzinach od 22 do 5 rano obowiązywała godzina policyjna, w trakcie której nikt nie mógł wychodzić na zewnątrz.

Hela miała szczęście. Nikt nie rościł sobie praw do jej mieszkania, chociaż wciąż nie przyznała się, że jest Niemką. Zajmowała jeden z lokali w kolonii Poznańskich Zakładów Nawozów Fosforowych, gdzie od 1909 roku mieściło się osiedle urzędników wyższego szczebla zakładu Mayów w Luboniu. Po dziś dzień domy te stoją w półkolu wokół pomnika doktora Romana Maya. Jeden z nich babcia Helena sprezentowała Heli. Był to wolno stojący domek z niewielkim ogródkiem. Jednak jak na oczekiwania nowych panów Kraju Warty był on najwyraźniej nazbyt skromny. Tak czy inaczej Niemcy na razie nie wykazywali nim żadnego zainteresowania.

W pierwszym roku okupacji nowi niemieccy panowie mieszkali po sąsiedzku z polskimi bojownikami ruchu oporu, nawet o tym nie wiedząc. Gauleiter Arthur Greiser zajął ustronną willę w lesie w Puszczykowie na przedmieściach Poznania. Niemcy od razu przemianowali tę dzielnicę na Puschkau. Willa Greisera do złudzenia przypominała więzienie o zaostrowym rygorze, w dzień i w nocy strzegli jej esesmani. Willa Ratajskiego, który przyłączył się do podziemnego ruchu oporu, także znajdowała się w Puszczykowie. Codziennie Cyryl i jego szofer przejeżdżali obok posiadłości Greisera i nikt ich nigdy nie wykrył.

W 1940 roku wobec Ratajskiego i jego żony Stachy zastosowano „areszt prewencyjny” i osadzono ich w Forcie VII. Było to więzienie w typie twierdzy, które później miało zyskać smutną sławę „najmniejszego kacetu Polski”. Mimo wszystko Ratajscy mieli szczęście w nieszczęściu. Za sprawą pomyłki administracyjnej wypuszczono ich już po czterech tygodniach i przesiedlono do Generalnej Guberni.

Dopiero po wojnie dowiedziałam się, jak dokładnie wyglądał terror w Polsce. Młodych ludzi łapano na środku ulicy jak bydło i ekspediowano do pracy przymusowej na terenie Rzeszy. Często pozostawiali w domu małe dzieci, które tym samym skazywano na śmierć z głodu, a przynajmniej zmarnienie.

Każda fabryka w Berlinie, także firma Borsiga czy Telefunken, zatrudniała robotników przymusowych z podbitych terenów. Te nieszczęsne istoty, które wyrwano z ich naturalnego otoczenia i po których wyraźnie było widać tęsknotę za ojczyzną, nazywaliśmy „obcymi robotnikami”. Jakikolwiek kontakt z nimi był surowo zabroniony. Kobiety, które widziano w towarzystwie „obcego robotnika”, wywożono do kacetów. Postępek taki nazywano „hańbą rasową”. Między obojgiem nie musiało nawet do niczego dojść, wystarczyły same plotki. Te politowania godne dziewczyny były określane mianem „kochanic Francuzów” lub „kochanic Polaków” i bite po twarzach przez esesmanów na ulicy.

Pewnego razu widziałam gromadkę przymusowych robotników na dworcu w Tegel. Wysiadali z bydlęcego wagonu i wyglądali tak nędznie, że najchętniej wcisnęłabym im do rąk bułki, które przeznaczone były właściwie na naszą kolację. Ale zakazał mi tego obecny na miejscu policjant. Zwróciłam wówczas uwagę, że ludzie ci nosili na ubraniach różnorakie naszywki: żółte romby z literą P oznaczały narodowość polską. Inni mieli na płaszczach naszywki ze słowem „Ost”, to byli z kolei pracownicy ze Wschodu, których los był jeszcze bardziej parszywy niż dola Polaków. Te budzące niepokój obrazy natychmiast wyparłam ze świadomości. Na pewno wszyscy tak robili.

W telewizji pokazują czasem przemówienie Goebbelsa w Pałacu Sportu, kiedy dziesięciu tysiącom zgromadzonych minister propagandy zadaje pytanie: „Czy chcecie wojny totalnej?”. A tłum wrzeszczy: „Taaak!”. To było w 1943 roku, po klęsce pod Stalingradem, kiedy w gruncie rzeczy dla wszystkich musiało być już oczywiste, że zaczyna się zjazd po równi pochyłej.

Do dziś nie umiem sobie wyjaśnić, skąd Goebbels wziął tylu skończonych idiotów. Kiedy przemawiał Göring, często puszczano nagrania wiwatów, to obecnie rzecz wiadoma. Ale wiec w Pałacu Sportu był autentyczny. Pomimo to osobiście nie spotkałam nikogo, kto by naprawdę upajał się wojną. Od samego początku mieliśmy nadzieję, że jakoś uda nam się przetrwać. Romek miał to szczęście, że „telefunkerzy” konstruowali ważne pod względem strategicznym instalacje radarowe. Dlatego też jako pracownik działu rozwoju został uznany za tzw. UK⁶, czyli osobę niezbędną, której nie można było oddelegować do służby wojskowej. O tym, jak ważne były produkty

firmy, świadczyły wizyty naczelnego szefa wydziału łączności, który regularnie zjawiał się w Zehlendorfie przy Goerzallee w celu omówienia produkcji na zlecenie wojska. Ów generał, który obecnie znany jest wyłącznie w kontekście spisku Stauffenberga, nazywał się Erich Fellgiebel. Przez przypadek był, podobnie jak Romek, rodowitym poznaniakiem. Czy generał domyślał się, z jakim konfliktem wewnętrznym zmagają się ludzie z pogranicza? Jego zachowanie nie pozwalało na wyciągnięcie żadnych wniosków. W każdym razie bez wahania podpisał dokument, który przyznawał Romkowi kategorię UK na czas nieokreślony. Czy zrobił tak, bo potrzebował akurat tego konstruktora, czy też dlatego, że poznał miejsce jego urodzenia?

– Co to za człowiek z tego Fellgiebla? – zapytałam kiedyś Romka.

– Wszyscy czują przed nim nabożny respekt. Jest koryfeuszem technik łączności. W tej dziedzinie nikt mu nawet do pięt nie sięga. Tylko raz miałem okazję z nim porozmawiać.

– Był miły?

– Powiedziałbym raczej, że rzeczowy. Przede wszystkim dał nam wyraźnie do zrozumienia, czego oczekuje: co najmniej perfekcji.

– Nie możesz mi choć z grubsza zdradzić, nad czym pracujecie? – wierciłam Romkowi dziurę w brzuchu.

– Mamy chronić Rzeszę przed nalotami bombowców.

– Czy istnieje ta *Wunderwaffe*, o której tyle się mówi?

– Mamuś, nie wolno mi o tym mówić – brzmiała jego standardowa odpowiedź.

Bardzo poważnie podchodził do tajemnicy służbowej, i słusznie. Nawet pracownicy Telefunken nie mogli wymieniać się uwagami na temat tego, co się działo w poszczególnych działach. Identyfikatory pracowników miały różne kolory, tak że każdy z nich uzyskiwał dostęp tylko do określonych obszarów. „Telefunckerzy” wiedzieli, że w całym budynku przy Goerzallee pozakładano pluskwy. Docierało do mnie niewiele informacji. Na przykład to, że przez jakiś czas Romek dojeżdżał rano do pracy nie do Zehlendorfu, tylko na lotnisko Tempelhof. Poznałam to po jego bilecie okresowym na

szybką kolejkę i tramwaj.

Dopiero po zakończeniu wojny dowiedziałam się, że był jednym z konstruktorów tak zwanego *Würzburg-Riese*, olbrzyma z Würzburga. To ustrojstwo wyglądało jak przeskalowana antena satelitarna. W języku fachowym: radiolokacyjne urządzenie radarowe, które potrafiło wykryć samoloty wroga, przede wszystkim w nocy. Würzburg-Riesen miały połączenie telefoniczne ze stacjami nocnych myśliwców. Ta gigantyczna baza danych i sieć informacyjna miała za zadanie ochronę Rzeszy Niemieckiej przed nocnymi nalotami z Zachodu.

Pod koniec 1940 roku przyszedł list od mojej szwagierki Stefki. W oszczędnych słowach powiadamiała nas, że jest najszczęśliwszą osobą na ziemi, ponieważ wreszcie dowiedziała się, że jej syn Lech żyje. Przysłał jej kartkę pocztową z oflagu VII A Murnau, na której można było przeczytać: „Nie martwcie się o mnie, mam się bardzo dobrze!”.

Wieczorem opowiadałam Romkowi rozentuzjasmowana:

– Wyobraź sobie, że napisała do mnie Stefka Broekere. Lech żyje! Trafił do niewoli niemieckiej. Ale ma się dobrze. Jestem taka rada!

– Stary, dobry Lechu. No tak, takiego spryciarza to niełatwo zwalić z nóg – ucieszył się Romek.

– Myślisz? Na mnie zawsze sprawiał wrażenie subtelnego i zamyślonego.

– Jeśli o czymś myślał, to zapewne o tym, co zmaluje w następnej kolejności – zaśmiał się Romek. – A czy ty wiesz, mamuś, że którejś zimy Lech ciągnął mnie na nartach za swoim fordem T? Jechał jakieś 60 kilometrów na godzinę, więcej jego fura nie wyciągała. Opuścił szybę i krzyknął: Romek, kiedy wreszcie się puścisz? Ani mi się śniło. Jechaliśmy tak na pewno z godzinę. Niezła zabawa. Z Lechem zawsze coś się działo.

– Ach, Romek, Romek – skwitowałam.

List Stefki studiowaliśmy parę razy, bo mieliśmy świadomość, że korespondencja podlega cenzurze, trzeba więc było czytać między wierszami, jeśli chciało się naprawdę czegoś dowiedzieć o położeniu danej osoby.

Mój syn już siedział z nosem w atlasie Rzeszy Niemieckiej.

– Murnau to całkiem niedaleko od GarmischPartenkirchen – ustalił.

Romek zawsze widział w Lechu, starszym od niego o osiem lat, swego rodzaju wzór do naśladowania. Lech był niewzruszony, męski, chwacki, nigdy jednak grubiański czy raniący. Romka nie opuszczała myśl, by odwiedzić kuzyna w obozie jenieckim. Powziął mocne postanowienie, że przy najbliższej okazji, gdy pojedzie do Garmisch, złoży mu tam wizytę. Obóz oficerski Murnau, w skrócie Oflag VII A, był położony nad Staffelsee i łatwo było tam odbić.

Stosowna okazja nadarzyła się jeszcze w styczniu 1941 roku. Romek brał udział w kwalifikacjach do mistrzostw Niemiec w łyżwiarstwie szybkim. Pędził, jakby od tego zależało jego życie, 1500 metrów pokonał w 2 minuty i 34 sekundy. Wynik ten okazał się na tym dystansie jego rekordem życiowym, którego nigdy już nie pobił. Był oszołomiony i czuł się potem wystarczająco silny, aby stanąć twarzą w twarz z Lechem. Garmisch od Murnau dzieliło zaledwie 25 kilometrów, istniało nawet połączenie kolejowe.

Przez siedem lat obaj ani się nie widzieli, ani ze sobą nie rozmawiali. Romek wiedział jednak, że już w 1938 Lech wstąpił do szeregów Armii Poznań i szybko awansował do stopnia porucznika. Zaraz na początku wojny, jesienią 1939, został pojmany przez Niemców. Romek nastawił się na to, że Lech będzie wobec niego nieprzychylny. Nie spodziewał się, że obaj padną sobie w ramiona i wszystko będzie radosne i lekkie jak kiedyś. Ale chciał się naocznie przekonać, jak wiodło się jego kuzynowi.

Lech Broekere był jednym ze 170 tysięcy żołnierzy, których wzięto do niewoli 19 września 1939 roku w bitwie nad Bzurą. Około pięciu tysięcy miało szczęście trafić do obozu dla oficerów w Murnau. Przez wiele dni Polacy dzielnie walczyli z przewagą niemieckich wojsk, ale potem zostali otoczeni przez dywizje pancerne i trafili pod ostrzał ośmiu tysięcy samolotów. W chwili niemieckiej napaści tylko 200 polskich myśliwców stało w gotowości do obrony. Przypominało to walkę Dawida z Goliatem. Francja i Anglia, które złożyły wcześniej pisemną deklarację pomocy, wystawiły Polskę do wiatru. Naczelnym dowódcą Armii Poznań, generał Kutrzeba, nie widział innego wyjścia, jak podpisać akt kapitulacji i udać się do niewoli wraz ze

swoimi ludźmi.

Kiedy Romek odnalazł koszary batalionu pancernego w Murnau, przedstawił się kapitanowi Oswaldowi Pohlowi [7], dziarsko wykonując niemieckie pozdrowienie, i oświadczył:

– Chciałem się tutaj porozglądać.

Pohl miał pociągłą twarz o przymrużonych oczkach oraz cienki, puchaty wąsik *à la Hitler*.

– Porozglądać się, he? – odparł Pohl, a w jego głosie słychać było coś, co przypominało czyhającego na ofiarę dzikiego kota.

Natarczywie zlustrował Romka od stóp do głów. Specjalnie na tę wizytę Romek przyszył sobie do wyłogu małą swastykę. Nagle w jego głowie ziała potworna pustka. Jak miał wyjaśnić, czego tu szukał?

– A dlaczegoż to nie nosi pan munduru?

– Dostałem kategorię UK. Występowałem właśnie w kwalifikacjach do mistrzostw Niemiec w łyżwiarstwie szybkim w Garmisch...

Romek sam siebie łajał, że z takim ożywieniem miele językiem. Dzięki Bogu Pohl musiał w tamtej chwili odebrać najwyraźniej ważny telefon. Nagle stracił zainteresowanie gościem i przekazał Romka w ręce katolickiego duchownego, który nazywał się Martin Lohr. Wcześniej powiedział duchownemu po polsku, żeby wszystko pokazał odwiedzającemu.

– On mówi po polsku? – Romek spojrzał pytająco na księdza.

– Dlatego kapitan Pohl został tutaj przeniesiony. A co pana tutaj sprowadza? – zapytał Lohr wprost.

– Chciałbym się zobaczyć z Lechem Broekere, moim kuzynem – odparł Romek. W gruncie rzeczy było to bardzo proste.

– Rozumiem – odrzekł Lohr, patrząc na Romkową przypinkę ze swastyką. – W regionach granicznych takich rodzin jest wiele.

– Troszczy się pan o zbawienie duszy jeńców?

– Jestem duszpasterzem katolików. Mój kolega Satzinger opiekuje się

protestantami. Raz w tygodniu mamy prawo odprawiać nabożeństwo na placu apelowym. Polacy to bogobojny ludek, ich wiara daje im oparcie i powstrzymuje przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

„Wiem”, pomyślał Romek i już miał na końcu języka: „Ale większy od wiary Polaków jest zabobon”. Ostatecznie jednak zdecydował, że się zamknie.

Lohr zabrał Romka na przedstawienie teatralne w sali gimnastycznej. Paru mężczyzn przebrało się za ptaki i odgrywało scenę ze „Snu nocy letniej” Szekspira. Sala była zastawiona krzesłami i pękała w szwach. Kiedy Romek omiół wzrokiem widzów, zobaczył, że głowy mężczyzn są ogolone na łyso. Ale bądź co bądź wyglądali na dobrze odżywionych i czystych. Widocznie nie trzeba było tutaj nosić odzieży więziennej. Mężczyźni – jak jeden mąż – mieli na sobie mundury. Romek usiadł na wolnym miejscu w pierwszym rzędzie i oglądał spektakl. Nie miał jednak serca do Szekspira. Chciał się zobaczyć z kuzynem. Odwrócił się, chcąc o niego zapytać księdza, ten jednak gdzieś zniknął.

W czasie antraktu Romek stał niezdecydowany i nieco zagubiony. Nosił czarny sweter z kilkoma białymi pasami pośrodku, na którym pysznił się emblemat Berlińskiego Klubu Łyżwiarskiego, do tego ciasno opięte czarne spodnie z gumką. Już ze względu na swój strój tkwił pośród tych wszystkich mundurów jak ciało obce.

Nagle ktoś go bezceremonialnie szturchnął:

– Romek, mordo ty moja, skąd się tu wzięłeś?

To był Lech, który z drewnianym dziobem sterczącym mu z twarzy był niemal nie do poznania. Romek zidentyfikował go tylko po głosie.

– Ehm... Przez przypadek znalazłem się w okolicy. Pomyślałem, że sprawdzę, co u ciebie słychać.

Było to spotkanie nierównych. Romek wracał właśnie z Garmisch z ceremonii wręczenia nagród zwycięzcom. Był wolnym człowiekiem, a jego niegdyś tak dumny kuzyn był pokonanym, jeńcem. Nie stali już po tej samej stronie.

– To czego tu chcesz? – zapytał Lech opryskliwie.

– Wszystko *allright*?– spytał Romek.

– Co? Ty kpisz czy o drogę pytasz? Co za porąbane pytanie! Nic nie jest w porządku! Jestem tu uziemiony. Tęsknię za żoną i córkami, chętnie też zobaczyłbym jeszcze swoją matkę. Wolno mi napisać do nich tylko jeden list i dwie kartki w miesiącu, na zadrukowanym papierze, i wszystko cenzurują.

– Czyli że nie jest dobrze?

– O raju, ty o niczym nie masz pojęcia. Ale dzięki, że pytasz!

Nie można było nie dosłyszeć drwiny. Romek szukał odpowiednich słów, ale Lech nie dawał mu żadnej szansy.

– Jesteś jednym z pokazowych sportowców Hitlera. Hela pokazała mi to czasopismo z tobą na okładce. Uważaj tylko, żebyś się zbytnio nie wstawiał za polskimi krewnymi. Mógłbyś na tym stracić.

Słowa Lecha bardzo uraziły Romka, ale był na nie przygotowany. Mniej więcej tak wyobrażał sobie spotkanie z kuzynem.

– Jesteś niesprawiedliwy, Lechu. Naprawdę myślisz, że ja chciałem tej wojny? – Romek zniżył głos do szeptu. Wypowiedzi, które nadwerężały siłę obronności, karano śmiercią.

– Nie chodzi o to, czy jej chciałeś. Opowiedziałeś się po drugiej stronie, więc nie przychodź mi tutaj i nie oczekuj rozgrzeszenia! Jak dotąd trzymałeś się z dala, nie chcąc pobrudzić sobie rączek. A ja nadstawiałem karku za swoją ojczyznę. Jeśli wciąż żyję, to przez czysty przypadek! Nasz kuzyn Przemo zginął w walkach o Warszawę, o ile jeszcze nie wiesz.

– Co? Przemo? – Romek był zaszokowany.

– Tak, trafiony niemiecką kulą, kiedy pełnił wartę na ulicach.

– Przemo, Niezwyciężony? Jesteś pewny, czy nie leży przypadkiem w jakimś lazarecie? Przecież brał udział w Pucharze Davisa, był trzy razy z rzędu tenisowym mistrzem Polski i założył w Poznaniu klub hokejowy. Jego kondycja fizyczna była niewiarygodna. Może przeżył trafienie kulą?

– Nie pieprz bez sensu. Przemo nie żyje.

Romek powiedział w zamyśleniu:

– Kiedy widziałem go ostatni raz, miał – jak mi się wydaje – mroczne przeczucia.

– Skąd ci przyszła do głowy ta bzdura?

– To było w 1938. Pisał relację z Berlina dla „Kuriera Warszawskiego”. Miał absolutną pewność, że wybuchnie wojna. Był przygnębiony.

– A ty mu nie wierzyłeś.

– Owszem, wierzyłem. Nie wierzyłem tylko, w przeciwieństwie do niego, w przewagę polskich sił zbrojnych. Był na mnie zły, bo powiedziałem, że nasi panowie w Polsce wolą wydawać pieniądze na konie niż na broń, i dlatego uzbrojenie polskie jest przestarzałe.

– Najlepsza artyleria konna zda się psu na buty, kiedy bombardują cię samoloty. Ale dajmy temu spokój. Dowiedziałeś się przynajmniej, co się stało z mężem kuzynki Sławy, Józefem von Zollem?

– Nie.

– Dobry Boże, myślałem, że uraczysz mnie jakimiś nowościami. Wszystko wskazuje na to, że ja, w niewoli, jestem lepiej poinformowany niż ty, w Berlinie.

– Przykro mi...

– Wspaniale. Wobec tego opowiem ci. Poczciwy mąż Sławy nieco się rozzuchwiał wobec Niemców, dlatego też skazali go na śmierć. Chcieli go rozstrzelać na rynku w Mosinie.

– Co takiego? Dlaczego? Przecież jest Austriakiem, a więc praktycznie obywatelem Rzeszy. – Romek po raz drugi był widocznie zszokowany.

Lech wyjaśniał całą sprawę, przy czym w jego tonie dało się wyczuć odcień rozdrażnienia:

– Naziści się teraz nie patyczkują. Jakkolwiek na to patrzeć, ma za żonę Polkę i walczył po stronie Polaków! Rozstrzelać chcieli go jednak za to, że całą produkcję mleka ze swoich posiadłości w Korniku dostarczał do polskiej mleczarni. W oczach nazistów popełnił grzech śmiertelny. Tyle mleka dla podludzi!

– Kiedy słyszałeś o nim po raz ostatni?

– Na Boże Narodzenie. Sława przysłała mi opłatek i kartkę z aniołkiem. Napisała, że Józef jeszcze żyje, ale jest przetrzymywany w oflagu Woldenberg [8], gdzie nie może go odwiedzać. Już raz pojechała tam koleją. Woldenberg leży niespełną godzinę drogi od Poznania, sam wiesz. Ale nie ma rady. Nie mogą się zobaczyć.

– Dlaczego? Przecież mnie do ciebie wpuścili.

– Na dwoje babka wróżyła. Nowi panowie i władcy są humorzaści.

– A tobie, Lechu? – spytał się Romek. – Mogę ci coś przesłać? Czego ci trzeba?

– Nigdy więcej tu nie przyjeżdżaj! Narażasz na niebezpieczeństwo mnie i siebie. Nie mam zamiaru skończyć jako trup.

– Tylko tyle ode mnie wymagasz?

– Jeśli będziesz pisał do mojej rodziny, przekaz im, że mam się dobrze. Nie chcę, aby głodowali ze względu na mnie. Nieustannie przysyłają mi paczki żywnościowe. A przecież sami nie mają nic. Poza tym Niemcy czasem plądrują przesyłki. Na Boże Narodzenie spałaszowali ich zawartość.

Romek przyjął to do wiadomości. Nadszedł czas pożegnania. Co za osobliwe więzienie. Mógł je opuścić, bo miał niemiecki paszport. Lech nie mógł. Kolejny raz czuł się między wszelkimi możliwymi młotami i kowadłami. Nie tak łatwo było się otrząsnąć z tego nieprzyjemnego uczucia.

Kiedy Romek wrócił do domu, poruszony zrelacjonował spotkanie:

– Romku, jeśli Lech nie wysechł jak szczapa, a jeszcze może grać w teatrze, to chyba nie ma powodów do narzekania – uznałam. – Wiesz co, ludzie gadają to i owo. Wszyscy mówią, że najgorzej jest trafić do niewoli rosyjskiej. Rosjanie nie podpisali konwencji genewskiej. A Niemcy owszem.

– Wiesz co, mamuś, Lech nie jest już tym samym Lechem. Kiedy pomyślę o tym, jaki był kiedyś... Taki wyniosły i silny. A teraz wygląda jak zaszczute zwierzę i ma głowę łysą jak kolano.

– Włosy mu odrosną – pocieszałam.

– Że też aż tak bardzo mnie nienawidzi! Przecież znamy się... jak łyse konie. Nie rozumiem...

– Zawsze za bardzo się wszystkim przejmowałeś – oceniłam. – Wszystko się jakoś ułoży. No i na pewno są ludzie, którzy na wojnie cierpią bardziej niż on.

Naówczas nawet nie przypuszczaliśmy, że koszary batalionu pancernego w Murnau krańcowo się różniły od niezliczonych obozów koncentracyjnych i jenieckich na terenie Rzeszy Niemieckiej, w których ludzie padali jak muchy. Takie oflagi jak Murnau były placówkami na pokaz, miały grupę teatralną, kasyno i dużą bibliotekę. Zgodnie z konwencją genewską około pięciu tysięcy oficerów i generałów, których tam przetrzymywano, nie można było angażować do ciężkich robót fizycznych. Oficjalnie mogli oni otrzymywać paczki żywnościowe z zagranicy w nieograniczonych ilościach, w związku z czym byli całkiem dobrze zaopatrzeni. W lecie 1942 roku oficerowie osadzeni w obozie zorganizowali nawet wystawę rolniczą, na którą przybyli fachowcy z Monachium. Międzynarodowy Czerwony Krzyż przeprowadzał regularne kontrole, czy w oflagach takich jak Murnau przestrzegano zaleceń konwencji genewskiej. Zdarzały się sporadyczne szyskany i rozstrzelania, ale nie było żadnego porównania ze zbrodniami wojennymi popełnionymi na innych jeńcach.

Rozdział 10

Jak często w życiu Romka bywało, jego posępne myśli rozwiął sport. Bezpośrednio po nieprzyjemnym spotkaniu z Lechem, w lutym 1941 roku, zaproszono go do udziału w międzynarodowych zawodach Niemcy kontra Szwecja. W tamtych czasach impreza miała znamię czegoś szczególnego. Płynęło się do Sztokholmu na pokładzie olbrzymiego parowca. Szwecja pozostawała neutralna, a Skandynawowie wciąż byli najlepszymi panczenistami. Dlatego też w Rzeszy Niemieckiej, ba, na całym świecie kultywowano skandynawski styl biegania na łyżwach. Romek napisał mi stamtąd kartkę.

Kochana Mamuś!

Nareszcie dopłynęliśmy na miejsce! Coś fantastycznego! Nie mają tutaj zaciemnienia! Przywitała nas prasa. Potem idziemy do konsula NSDAP i takie tam.

Pozdrawiam serdecznie

Roman

Na temat nazistowskich bonzów, których nazywaliśmy „złote bażanty”, bo najczęściej byli tłuści i obwieszani złotymi orderami, Romek nie tracił więcej słów, niż to było konieczne. Przyjmował ich jako z góry danych. Dla niego liczyło się jedno: być najlepszym panczenistą spośród przybyłych Niemców! Napawało go to olbrzymią dumą.

Niemal zapomniałam nadmienić, że mój ukochany nade wszystko syn był dostępny tylko w podwójnym pakiecie. Pisałam już, że jestem stara i zapominalska. Jednak w tym wypadku chodzi raczej o wyparcie. Pierwsze wrażenie na temat niektórych ludzi bywa mylne. Z upływem czasu okazują się o wiele gorsi, niż się myślało. Wybiegam jednak zbyt naprzód.

Pewnego dnia Romek przyprowadził do domu młodą kobietę. Do tamtej pory w jego sprawach sercowych panowała posucha, w każdym razie nie dotarły do mnie żadne przecieki. Kiedy byliśmy w kąpielisku nad jeziorem Wannsee, młode dziewczyny ukradkiem oglądały się za moim Romkiem, co nie było niczym dziwnym z uwagi na to, że był atletycznie zbudowany i zgrabny jak model. W tamtej epoce kult cielesności stał bardzo wysoko w hierarchii wartości tak kobiet, jak i mężczyzn. Wytrenowane ciało ceniono bardziej niż tytuł doktorski. Naturalnie na dłuższą metę ta bzdura się nie sprawdza, bo w końcu każda cielesna powłoka więdnie. Tylko duch trzyma się dłużej, co najlepiej widać po mnie. Mniejsza o to, kobiety zawsze miały słabość do Romka, ale on nie był typem zawadiaki. Tyle wiem, że trafiła się jedna z drugą, które fotografował. Na przykład taką Brigitkę, delikatną, skromną dziewczynę o sarnich oczach. Często pstrykał jej zdjęcia. Ona pisywała do niego sążniste listy o tym, co właśnie porabia i jaka jest pogoda. Ale Romek nigdy o niej nie mówił. Pewnie była dla niego zbyt nudna. Tak naprawdę pałał entuzjazmem dopiero wtedy, gdy przybył z tą dziewczyną.

– Mamo, oto Anneliese Schorr.

Zlustrowałam pannicę, najdyskretniej jak mogłam. Była naprawdę imponująca: kręcone blond włosy, duże niebieskie oczy, wysoko osadzone brwi, kilka szelmowskich piegów. No i ta figura – opływowa, można by rzec.

Zaparzyłam kawę i zapytałam bez owijania w bawełnę:

– Gdzieście się poznali?

– W Berlińskim Klubie Łyżwiarskim – odpowiedziała Anneliese.

Jak na mój gust trochę oschle. Trudno było ocenić, co z niej za jedna. W każdym razie na nieśmiałą mi nie wyglądała.

– Mamuś, Anneliese jest obok Ruth Hiller jedną z największych nadziei medalowych w łyżwiarstwie szybkim. Zdobyła już tytuł mistrzyni Berlina!

Z uznaniem gwizdnęłam przez zęby. Annelise natychmiast się roześmiała i zaczęła trajkotać. Stara śpiewka: wystarczy wyrazić swój podziw, a już dana osoba porzuca rezerwę. Pod tym względem Anneliese nie różniła się od innych.

– No cóż, pani May, my, kobiety, nie możemy jeszcze brać udziału w olimpiadzie. Nie tak dawno nie pozwalano nam startować nawet w zawodach. Dopuszczano do nich tylko mężczyzn. Zresztą wcześniej uprawiałam łyżwiarstwo figurowe, występowałam na sztucznym lodowisku przy parku we Friedrichshain. Ale to już przeszłość. Teraz jestem panczenistką.

– Co pani jeszcze porabia? – drążyłam, żeby podtrzymać rozmowę.

– Poza tym niewiele. Zresztą nie ma takiej możliwości, jeśli chce się osiągnąć coś w sporcie.

– Anneliese ukrywa się przed ojcem – wtrącił Romek. – Już dwa razy był na treningu w klubie i pytał o nią. – Romek pogłaskał Anneliese z czułością po głowie i dorzucił: – Jak nie miała dostatecznie dobrych wyników, to ją bił. Czasami też, kiedy był nie w sosie, bo nikt nie kupił od niego antyków.

– A co z pani matką?

Skrepowana Anneliese wbiła wzrok w ziemię. Romek odpowiedział za nią:

– Zmarła, kiedy Anneliese miała cztery latka. Mamuś, Anneliese nie ma nikogo. W dzieciństwie opiekowała się nią czasem ciotka, ale mieszka teraz w Norymberdze, bo dostała angaż jako śpiewaczka operowa.

– Szuka pani jakiegoś lokum? Chce pani zamieszkać u nas? – zapytałam.

Poniekąd było mi jej żal, ale na myśl o pytaniach dozorky zdejmowała mnie zgroza.

– Mieszka w umeblowanym pokoju u państwa Otto, tuż za rogiem – uspokoił mnie Romek. – Nie puszczą pary z ust. Ojciec Anneliese nigdy jej nie znajdzie.

– Ile ma pani lat? – sondowałam młódkę.

– Dziewiętnaście – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Począwszy od tego dnia Romek przyprowadzał Anneliese niemal co dzień. Byli jak papużki nierozłączki. To razem trenowali, to przychodzili i jedli u mnie w domu. Z początku panienka wносиła powiew świeżości. Jednak na dłuższą metę przeszkadzało mi parę rzeczy. Na przykład to, że Anneliese migąła się od pomagania mi w pracach domowych. Przychodziła jak do hotelu, nie raczyła umyć nawet jednego talerza czy szklanki. Nigdy też niczego nie przynosiła, co po prawdzie najmniej mi wadziło, ponieważ nie miała żywcem nic. Uważałam jednak, że byłoby wskazane, gdyby raz na jakiś czas zjadła coś z własnych racji żywnościowych.

Z natury jestem osobą dobroduszną i szczodrobliwą. Niemniej jednak naprawdę wnerwiało mnie, że Anneliese brała sobie od nas wszystko, nie przynosząc nic w zamian, i że nie kiwnęła nawet palcem, jeśli chodzi o sprzątanie i zmywanie. Kilka razy wcisnęłam jej do ręki talerz, aby go wytarła. Albo kazałam jej mieszać zupę czy nakrywać do stołu. Wypełniała wprawdzie moje polecenia, ale tak źle i z taką niechęcią, że po jakimś czasie dałam za wygraną.

W rozmowach z Romkiem wyrażałam się bardzo ostrożnie. Byłam zwyczajnie zbyt szczęśliwa, że w moim życiu istnieje syn, aby go od siebie przegnać słowami krytyki. Wolałam już, żeby przesiadywał u mnie z tą całą Anneliese, niż żeby w ogóle go nie było. Tylko raz puściły mi nerwy, mianowicie kiedy dziewczę bez pozwolenia założyło moje najdroższe lakierowane czółenka. Kupiłam je jeszcze przed wojną i prawie nigdy w nich nie chodziłam, z wyjątkiem szczególnych okazji. Pewnego ranka zauważyłam, że ich nie ma. Dopiero wieczorem, solidnie wygniecione, wróciły na swoje miejsce. To mnie wytrąciło z równowagi.

– Nosiłaś moje buty? – zapytałam Anneliese bez ogródek. Gotowało się we mnie z wściekłości.

– Owszem – odpowiedziała, szczerząc się w bezczelnym uśmiešku. – Naszła mnie ochota, żeby je przymierzyć, ale na dłuższą metę nie mogę w nich chodzić, bo nie służy to moim nogom. Już mi się porobiły bąble.

Więcej się o tym nie zająknęła, a ja byłam jak oniemiała.

– Nie waż się nigdy zakładać moich rzeczy – syknęłam na nią.

– W porządku – mitygowała się Anneliese.

Najchętniej od razu wyrzuciłabym na zbity pysk to dziewuszysko, które nie miało szacunku dla mojej własności. Ale ze względu na Romka wzięłam się w garść. Prawidła pozwoliły mi przywrócić lakierki do stanu wyjściowego. Od tej pory chowałam przed Anneliese wszystkie porządne buty, a szafę ubraniową zamykałam na klucz.

Romek był zakochany po uszy. Mówił o niej pieszczotliwie „Annelie” i w kółko powtarzał, że trzeba ją chronić. Bo jest taka młoda i nie ma nikogo na tym świecie – prócz niego. Z biegiem czasu „Annelie” wydawała mi się coraz mniej sympatyczna. W związku z tym rozmawiając z Romkiem w jej obecności, przechodziłam na język polski. Mówienie nastęrczało mi trochę kłopotu, ale w ten sposób udało nam się stworzyć wysepkę poufałości, na którą Anneliese nie miała wstępu. Do tej samej sztuczki, jak już mówiłam, uciekali się kiedyś ludzie z wyższych sfer, kiedy chcieli swobodnie porozmawiać w zaufanym gronie. Tyle że w przypadku Romka daleko bym nie zaszła z moim francuskim. A tematy naszych pogawędek były niewinne. Rozmawialiśmy na przykład o psach Heleny, które miały głupawy wyraz pysków, i o tym, jak pierwszy raz przepełnęliśmy wpław z kąpieliska nad Wannsee na Pawią Wyspę, a zaskoczone kaczki przyglądały nam się, kiedy je mijaliśmy, sunąc po tafli wody. Anneliese czuła się wykluczona, i słusznie. Ten świat wcale je nie dotyczył. Był to świat Romka i mój.

Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej nieufna. Niedługo miało się zresztą okazać, że nie ufała nikomu. Nawet Romkowi. Raz zarzuciła mu wręcz, że naśmiewa się z niej za jej plecami, kiedy rozmawia ze mną, swoją matką. Romek zdębiał. Przecież to była nieprawda. Mojemu synowi można

było wiele wytknąć, ale nie to, że jest podstępny lub podły. A już na pewno nie wobec Anneliese.

Przez jakiś czas do nas nie przychodziła. W to mi graj! I tak spędzała razem z moim synem całe dni w klubie łyżwiarskim albo na jakichś zawodach. Miało to ten minus, że praktycznie nie widywałam Romka. Jego typowy dzień wyglądał następująco: pobudka o bladym świcie, trening na terenie parku olimpijskiego, praca w Telefunken i wczesne kładzenie się do łóżka. O pracy dla Telefunken nie wolno mu było rozmawiać. O Anneliese ja nie chciałam słuchać. Dlatego też często pytałam: „Jak było na treningu?”. A on odpowiadał: „Super, mamuś! Dobranoc”. I tyle.

Prawie nigdy nie powiedziałam złego słowa o jego ukochanej. Doskonale wiedziałam, że jestem bezsilna w obliczu siły przyciągania, z jaką na niego oddziaływała. W zamian za to grałam rolę pewnej siebie. Do czasu, aż pewnego dnia Romek oznajmił z całą powagą:

– Mamuś, Anneliese jest kobietą mojego życia.

Zdobyłam się na maksymalną rzeczowość:

– Wiem, że jesteś zakochany bez pamięci. Ale czy zastanawiałeś się kiedyś, jakie cechy powinna mieć kobieta na całe życie? I czy Anneliese może się nimi poszczycić?

Romek uśmiechnął się od ucha do ucha:

– Ona jest po prostu cudowna. Przepiękna i elegancka, i mądra. Czy pokazywałem ci już jej portret olejny? Jest nie tylko wirtuozerką płóz, ale też pędzla. Wyobraź sobie, że podarowała Führerowi landszafcik, ot tak, a on jej wysłał kartkę z podziękowaniami.

– Führerowi? Trochę to nadgorliwe, prawda? – wysnęło mi się. – Czy nie twierdzisz, że w sporcie chodzi o to, jak dobrym się jest, a nie jak blisko partii?

– Mamuś, Annelie nie należy do partii! Jednak to dla niej ogromny zaszczyt, że Führer naprawdę powiesił sobie jej obraz. Zwłaszcza że się na tym zna, bo sam kiedyś malował. Wiesz o tym, prawda?

– Führer jako znawca sztuki? No, sama nie wiem. Każdy lubi to, co lubi, a

on chce ludziom wmówić, co ma się im podobać. Ale wróćmy do mojego pytania, Romku: jakie cechy ma mieć twoim zdaniem kobieta na całe życie?

– U mnie to całkiem proste: muszę ją kochać!

– Dobrze, tylko za co ty kochasz Anneliese?

– Hm. No cóż... jest miła i szybka... i... No cóż.

Łatwo sobie wyobrazić, że jego słowa mnie nie przekonały. Dołączyłam tym samym do armii teściowych, które wobec swoich synowych są nastawione, delikatnie ujmując, krytycznie. Ale pozostało to, jak parę innych rzeczy, moją tajemnicą. Mimo że byłam absolutnie pewna jednego: co jak co, ale na 100 procent ta dziewczyna nie była miła.

Postanowiłam mieć oko na tę aferę i uczynić z czasu swojego sprzymierzeńca. Z chwilą gdy pryskał czar nowości, niejeden patrzył na kobietę innymi oczami. Gdy w 1940 roku oficjalnie się zaręczyli, specjalnie się nie denerwowałam. Uznałam wręcz, że tak będzie lepiej, ponieważ w domu już zaczęto plotkować. W końcu wszystko musiało mieć swój ustalony porządek.

Nie miałam wątpliwości, że Romek kiedyś rozstanie się z tą dziewczyną. Zresztą oboje chcieli wziąć ślub dopiero po wojnie. Nie było przecież sensownych mieszkań. A zanim poszliby na swoje, ich słodkie stadło może by się samo rozpadło.

Końca wojny nie było widać, ale jakoś się dostosowaliśmy. Godziliśmy się z faktem, że racjonowano artykuły spożywcze. Graliśmy w tę samą grę, co w czasie pierwszej wojny: erzac marmolady, kawy, chleba i tak dalej. Ogólnie biorąc, sytuacja zaopatrzeniowa była ciut lepsza niż wtedy, przynajmniej w pierwszych latach wojny.

Coraz więcej znaczyło dla mnie chodzenie do kina. Z jednej strony potrzebowałam jakiejś odskoczni, z drugiej chciałam oglądać cotygodniową kronikę filmową. Kronika zawsze miała wydźwięk nieco chępliwym. Nawet ja wiedziałam, że wiadomości trzeba dzielić przez pół. Zresztą i tak skupiałam się bardziej na obrazach. Naówczas byłam jeszcze pewna, że obraz nie może kłamać.

Romek i Anneliese próbowali nie zaprzętać sobie głowy sytuacją

polityczną. W zamian brali udział we wszystkich mistrzostwach w łyżwiarstwie szybkim, które organizowano w czasie wojny. Kilku sportowców trafiło z poboru do armii, pomimo to świętowaliśmy, kiedy Romek po raz kolejny zdobył mistrzostwo Berlina.

Kontakt z Helą nadal był utrudniony. Słałam jej paczki oraz listy i kartki o całkowicie nieszkodliwej treści. Połączeń telefonicznych prawie nie udawało się nawiązać. Pamiętam jedną rozmowę z 1940 roku. Zadzwoiłam do Heli w jej miejscu pracy, zakładach Mayów.

– Zakłady Chemiczne w Lobau, May – zgłosiła się Hela.

Natychmiast zorientowałam się, że Niemcy przemianowali Luboń na Lobau, a z nazwy firmy najwyraźniej wykreślili nazwisko mojego teścia. Nie uszło też mojej uwadze pewne napięcie wyczuwalne w głosie Heli. Mimo to zapytałam najpierw:

– Mówi mama. Jak się masz, dziecko?

– Ach, to ty – bąknęła. – Jak mam się mieć? Ciągle zajmuję się księgowością. Ale nie mam zbyt wiele do roboty. Zostało nas raptem 30 osób, pozostałych zwolniono. Spichrze w fabryce służą teraz jako magazyny na artykuły spożywcze. Oczywiście są pilnie strzeżone. Dzięki naszym świetnym połączeniom szynowym Niemcy mogą wysyłać żywność, którą zabrali Polakom i Żydom, prosto do żołnierzy na froncie wschodnim.

– Czyżbyś nie dojadła, córuś?

Zaśmiała się gorzko.

– Gdybym miała żyć z tego, co wydzielają nam Niemcy, już dawno umarłabym z głodu. Dzięki Bogu mam dobre układy.

– Ależ, Helu, jesteś przecież Niemką.

– Moje serce bije dla Polski! Nie mogę złożyć wniosku o niemieckie kartki żywnościowe. To by było nie fair wobec moich krewnych i przyjaciół. Ten sposób myślenia doprowadzał mnie do białej gorączki.

– Jak można być takim uparciuchem! A może ty wolisz głodować? Albo idziesz na czarny rynek i opylasz swoje drogocności?

– Jeszcze mi życie miłe! Niemcy rozstrzelali już ludzi przyłapanych na pokątnym handlu. Czasem na to pozwalają, a czasem nie. Nigdy nie wiadomo, kiedy urzędzą kolejną obławę. Co to to nie. Prowadzę handel wymienny z krewnymi i przyjaciółmi.

– Mam nadzieję, że nie zastawiasz biżuterii. Obiecuj mi, że dasz mi znać, zanim do tego dojdzie. Mogę cię wesprzeć.

– Grete, wszyscyśmy tu pozakopywali w ogrodach kosztowności i srebrne zastawy, żeby Niemcy ich nam nie odebrali. Ostatnio wymieniam nawóz na chleb i marynaty. Dobrze to idzie. Każdy, kto tylko może, uprawia warzywa i owoce.

– Mój Boże, Helu, dlaczego nie pokażesz niemieckim urzędnikom swojego paszportu?

– Żeby mnie przydzielili do jednej z tych kretyńskich kategorii? Jest pani folksdojczką? A może Niemką pierwszej, drugiej, trzeciej lub czwartej klasy? Wszystkie te ich określenia: *volksdeutsch*, *reichsdeutsch*, *auslandsdeutsch*⁷. To mi uwłacza!

– Miejże nieco rozsądku i mów niemieckim władzom to, co chcą usłyszeć. Nikomu w ten sposób nie zaszkodziś.

– Przenigdy! Za nic w świecie nie dam się uznać za Niemkę! Hela zaczęła mówić przytłumionym głosem.

– Niech nikt spośród moich znajomych i krewnych nie myśli, że jestem zdrajczynią. Taką, która wydaje własnych sąsiadów w łapy gestapo tylko dlatego, że są Polakami lub należą do ruchu oporu. Taka to ja nie jestem.

– Nie wyobrażam sobie, że choćby Cyryl mógłby cię uznać za zdrajczynię. Zna cię zbyt dobrze. Wykaż się sprytem i obróć okoliczności na własną korzyść.

– Jasne, to by było dla mnie bardzo łatwe. Niemieccy urzędnicy zaszeregowaliby mnie pewnie jako folksdojczkę pierwszej klasy. Jestem przecież niebieskooką blondynką, mówię znośnie po niemiecku i moja matka jest Niemką. Musiałabym jeszcze tylko wstąpić do partii lub oświadczyć, że Polacy należą do niższej rasy. Wtedy jednak ludziom, którzy są dla mnie ważni, nie będę mogła spojrzeć w oczy. Sobie samej zresztą też.

– Nikt nie mówi, że musisz wstąpić do partii. W czasie wojny obowiązują inne zasady. Trzeba myśleć praktycznie i zachować zdrowy rozsądek. Każdy to zrozumie.

– Nie, Grete, grubo się mylisz! Folksdojczce, którzy tu żyją, stanowią prawdziwe zagrożenie. Są podstępni. Z okien swoich kuchni strzelali do naszych polskich żołnierzy.

– Helu, ty w życiu nie skrzywdziłaś nawet muchy. Każdy, kto cię zna, świetnie o tym wie.

– A to już nie jest takie łatwe. W tych czasach trzeba się opowiedzieć po którejś stronie. Przecież nie mogę za kilka deko masła zdradzić kraju, w którym dorastałam. Nigdy nie wpiszę się na folkslistę. Wolę już przymierać głodem.

– Helu...

Świerbił mnie język, żeby powiedzieć: „Jak można być tak głupią!”, ale opanowałam się i stwierdziłam tylko:

– W każdym razie wiedz, że jeśli tylko potrzeba ci pomocy... Jestem tu i zawsze możesz się do mnie zwrócić.

– Tylko że nie potrzeba mi pomocy, Grete.

– Na pewno?

– Muszę już kończyć. Ktoś wszedł do biura.

W głowie miałam mętlik. Najpierw musiałam jakoś przetrwać to, co powiedziała mi Hela. Była cholernie dumna i nieroztropna. To przywilej młodości, prawda? Wiara, że ze wszystkim można się uporać w pojedynkę.

Jeszcze raz zrobiłam w myślach przegląd naszej rozmowy. Czy musiałam czytać między wierszami? Miała co jeść czy nie? I czemu nie mogłam się pozbyć wrażenia, że Hela czyni mi jakiś zarzut? Przecież sama podjęła decyzję o pozostaniu w Polsce. Ale na deliberowanie znowu nie miałam zbyt wiele czasu. Cały dzień zajmowałam się kupowaniem niezbędnych do przeżycia produktów: chleba, mleka, jajek, płatków mydlanych, erzacu kawy.

Po tej rozmowie telefonicznej nie udało mi się już dodzwonić do Heli. W

ostatnich latach wojny nie pracowała w zakładach Mayów, a jako że nie miała prywatnego telefonu, nie wiedziałam, jak mam się z nią skontaktować. Słanie listów i kartek było bez sensu. Cała korespondencja podlegała cenzurze, więc i tak nie można było pisać wprost. Towarzyszył mi nieokreślony lęk o Helę, który ciążył w brzuchu niczym ołowiana kula. Czyżby przyłączyła się do polskiego ruchu oporu? Przez długi czas nie miałam o niej żadnych wieści.

Moje obawy zdawały się potwierdzać, kiedy w 1943 roku przyszła pocztówka z Warszawy od Mirona, dawnego kolegi Romka z ławy szkolnej.

Drogi Romku!

Jak się masz? Czy ty w ogóle wiesz, że wujek Wartski wyjechał na zawsze? Widziałem się z Helą i Koko. Pracują razem. Mnie się wiedzie dobrze, mam pracę i mieszkanie przy ulicy Siennej, z własnym telefonem. Daj znać o sobie!

Pozdrawiam serdecznie

Miron

tel. 212-41.

Nie wiedzieliśmy, o jakim wujku mowa. Aż wreszcie Romka oświeciło.

– Może mieć na myśli wyłącznie wujka Cyla! Nie znam innego wuja, który jest lub był w Warszawie. Miron użył pseudonimu, żeby kartka przeszła przez cenzurę.

Faktycznie, Wartski oraz Górski to były dwa pseudonimy, którymi posługiwał się Cyryl Ratajski, odkąd przeszedł do konspiracji w Warszawie. Stał na czele państwa podziemnego zwanego Delegaturą Rządu na Kraj. Polski rząd pod przywództwem generała Sikorskiego przebywał na uchodźstwie w Anglii.

„Wyjechał na zawsze” nie brzmiało zbyt dobrze. Nie żył?

Dopiero dużo później dowiedzieliśmy się, że Cyryl faktycznie zmarł. W swojej warszawskiej kryjówce kazał się informować o wszystkim, co działo się w Polsce. Zadekował się u pewnej rodziny i prawie nigdy nie opuszczał mieszkania. Nawet jego żona, Stacha, nie do końca wiedziała, gdzie się ukrywał. Warszawa stanowiła centrum polskiego ruchu oporu przeciw niemieckiemu okupantowi. Cyryl był delegatem rządu londyńskiego w Generalnej Guberni. Dowodził „cywilnym” ruchem oporu, którego celem była walka o zachowanie integralności narodu polskiego za pomocą różnych środków: fałszywych papierów, podziemnej policji, tajnych kompletów i zakazanych gazet. Różnice zdań pomiędzy poszczególnymi ugrupowaniami a rządem na uchodźstwie były wykańczające. Najgorsze jednak były Hiobowe wieści, które Cyryl otrzymywał codziennie od posłańców, najczęściej dzieci lub staruszek. Ten został rozstrzelany, ów wywieziony do obozu koncentracyjnego.

Tego, jak perfidne okrucieństwa czekają tam na ludzi, Cyryl dowiedział się z upiornymi szczegółami. Od Jana Karskiego, człowieka, który dla zdobycia tych informacji narażał życie. Karskiego przemycono do getta warszawskiego. Żeby wyglądać tak samo jak jego wyniszczeni mieszkańcy, kazał sobie wyrwać dwa zęby trzonowe. Później przebrany w mundur ukraińskiego milicjanta przeniknął do jednego z obozów zagłady na terenie

Polski. Jako kurier poinformował najpierw podziemny rząd polski i rząd na uchodźstwie. Potem udało mu się nawet dotrzeć do amerykańskiego prezydenta Roosevelta i zdać relację z tego, co widział na własne oczy.

Jednak okrucieństwa trwały dalej, bez zmian. Cyryla dręczyły wszystkie uzyskiwane informacje, a zarazem swary pomiędzy poszczególnymi odłami podziemia. Ostatecznie partie polityczne, które czuły się przez niego niedostatecznie reprezentowane, pozbawiły go urzędu [9]. W wieku 64 lat Cyryl, niegdyś zagorzały bojownik o Polskę, podupadł na zdrowiu fizycznie i psychicznie. Jego powierzchowność nie pozwalała rozpoznać dawnej energii. Otyły, pozbawiony złudzeń i posiwiaily zachorował w końcu na żółtaczkę. Choć dokuczały mu silne bóle, odmówił przyjęcia pomocy lekarskiej. Ponoć powiedział: „Moi rodacy w obozach koncentracyjnych nie mają dostępu do lekarza, więc i ja nie roszczę sobie pretensji do takiego luksusu”. Zmarł w październiku 1942 roku w Warszawie i został pochowany pod przybranym nazwiskiem przez przedstawicieli Armii Krajowej.

Mnie w tamtym czasie dręczyła głównie troska o Helę. Miron widział ją razem z Koko. Byłam pewna, że wcieliła w życie swój plan i podobnie jak on przystąpiła do polskiego ruchu oporu. Może tak było lepiej, że będąc w Berlinie, nie wiedziałam, na jakie ryzyko każdego dnia naraża się moja córka.

Nie miałam też głowy do tego, żeby się wczuć w jej sytuację, ponieważ ciągle byłam niewyspana. Jesienią i zimą 1940 roku syreny alarmu przeciwlotniczego wyły mniej więcej co drugą noc. Mieszkańcy Reinickendorfu i Borsigwalde nie byli jeszcze dotknięci skutkami nalotów. Mój ojciec, Romek, Anneliese i ja za każdym razem z biciem serca schodziliśmy do prowizorycznie podstemplowanej piwnicy naszego domu. Do torebki wpychałam najważniejsze rzeczy, dokumenty i kilka fotografii. Uznaliśmy, że naprawdę bezpieczne betonowe bunkry, na przykład ten w pobliżu ogrodu zoologicznego, były zbyt daleko. „Bomby zawsze spadają na innych”, wmawialiśmy sobie.

Jednakże było tylko kwestią czasu, kiedy alianci zaatakują także nasze dzielnice. W końcu produkowano tutaj hurtowo broń. Nie tylko w zakładach Borsiga, w których od 1934 roku większość udziałów przeszła w ręce Hermanna Göringa. W Borsigwalde miał swoją siedzibę producent

uzbrojenia Mauser, działała też Niemiecka Fabryka Broni i Amunicji. Nieopodal znajdowało się również lotnisko Tegel, którego należące do Luftwaffe pułki artylerii przeciwlotniczej używały jako poligonu. Bez trudu mogliśmy sobie wyobrazić, że alianci byli o tym poinformowani.

W 1943 roku sytuacja stała się naprawdę złą. Każdej nocy niebo było usiane bombowcami. Bomby fosforowe wyrządzały ogromne szkody.

– To już koniec świata, a jednocześnie nasz – krakała moja sąsiadka.

Mogliśmy jednak mówić o szczęściu – ostatecznie w Berlinie nie rozpętała się burza ogniowa, jak miało to miejsce choćby w Hamburgu.

Jakoś ułożyliśmy się z towarzyszącym na co dzień strachem. Do schronu przeciwlotniczego zaczęłam zabierać okulary do pływania, by chronić oczy przed odpryskami, oraz zwilżoną szmatkę, którą można było zakrywać usta i nos, żeby nie udusić się od pyłu.

W sierpniu 1943 bomby spadły na Zehlendorf, trafiając w laboratoria Telefunken. Chwała Bogu, Romka nie było wtedy w pracy, bo akurat pojechał na lotnisko Tempelhof. Wieczorem uściskaliśmy się mocno, a ja sobie solennie obiecałam, że już nigdy nie skieruję pod adresem Romka najmniejszego słówka krytyki. Staralam się nawet trochę polubić Anneliese. Kto w tamtych czasach mógł wiedzieć, jak długo jeszcze będzie mieć bliskich?

Dwa miesiące później Romek i Anneliese przyszli do mnie z wyrazem zakłopotania na twarzach. Zaproponowałam im szklaneczkę sznapsa i ku mojemu ogromnemu zdumieniu nawet Romek, który poza tym gardził alkoholem, łyknął sobie trochę.

– No, o co chodzi? Coście znowu zmajstrowali?

– Będziesz babcią – wyrzucił z siebie Romek i uśmiechnął się półgębkiem.

– Co takiego? Ale ja...

Nie umknęło mojej uwadze, że się cały czas do siebie lepili, chociaż nawet nie wzięli ślubu. W tej chwili jednak było to najmniejsze z moich zmartwień.

– Anneliese urodzi małego Maya! Czy to nie wspaniałe?

– Chwila moment! A kto powiedział, że to będzie chłopiec? – zaprotestowała dziewczyna.

– Coś mi tak mówi. – Romek promieniał, a Annelise dała mu kuksańca w bok.

W głębi mojej duszy walczyły ze sobą różnorakie odczucia. Przede wszystkim cicha radość i powściągnięta euforia. Ze wzruszeniem pomyślałam o Romku i o tym, jak maleńki i mięciutki był jako niemowlę, o jego przypominających puch włoskach.

Z drugiej strony okropnie się martwiłam o dzidziusia, który miał przyjść na świat w tak niespokojnych i niebezpiecznych czasach. Wtedy znowu pomyślałam o tym zramolałym dozorczy i o ludzkim gadaniu. Nieślubne dziecko było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy.

– Który to miesiąc? – dociekałam ze wzrokiem utkwionym w brzuch Anneliese. Wzruszyła ramionami.

– Sam początek – stwierdziła.

– Musicie czym prędzej wziąć ślub – zdecydowałam. Oboje pokiwali głową na znak pogodzenia się z losem.

– Jakoś sobie poradzimy – wymamrotał Romek. – Możemy mieć tylko nadzieję, że ta cholerna wojna niedługo się skończy.

Pod koniec stycznia 1944 roku Anneliese i Romek wzięli ślub. Było to skromne wojenne wesele, bez wielkiego zadęcia. Do urzędu i z urzędu. Najtrudniej było zdobyć „zaświadczenie o zdolności małżeńskiej”. Wydawano je tylko w przypadku posiadania czystego konta w kartotece policyjnej, nieposzlakowanego świadectwa zdrowia oraz dowodu aryjskiego pochodzenia z trzech pokoleń. Anneliese nie pamiętała dobrze nawet swojej matki, o dziadkach nie ma nawet co mówić. Jej ojciec, Franz Schorr, za bardzo nie mógł służyć pomocą. Pamiętał wprawdzie nazwisko panięskie swojej pierwszej żony i miejsce jej urodzenia. Nie wiedział jednak nic o jej rodzicach. A zatem razem z Anneliese pojechaliśmy na rowerach do wioski, w której urodziła się jej matka. Sprawdziłyśmy zakurzoną księgę parafialną i odnalazłyśmy jej dziadków i pradziadków. Najwyraźniej byli ochrzczeni w

wierze katolickiej. Uff – mieliśmy farta!

Po ceremonii w urzędzie odbyła się tylko skromna uroczystość przy kieliszku alkoholu w piwnicy piwnej. Najbardziej odświętnym jej elementem był duży bukiet tulipanów, który Romek skądś wytrzasnął dla Anneliese. Młodzi wzięli na świadków funkcjonariusza sportowego, którego nazwiska nie pamiętam, oraz mojego tatę, „dziadka Leitloffa”. Wieczorem na miasto znowu spadły bomby. Tym razem oberwał Pałac Sportu, w którym Romek i Anneliese zawsze trenowali. Mój syn chciał się upajać gorącą nocą poślubną, a został – można powiedzieć – na lodzie. Ktoś z klubu poprosił go bowiem o pomoc w usuwaniu gruzu z lodowiska. W tym czasie Anneliese spała u mnie na sofie.

Romek wrócił do domu dopiero nad ranem. Zaparzyłam kawy żołądźcówki, która musiała wystarczyć za całe śniadanie. Chleb znowu się skończył.

– I jak tam Pałac Sportu? – zapytałam.

– Cudownie – orzekł Romek. – Dzięki dziurze w dachu jest więcej tlenu, to i lepiej się trenuje – szczerzył się.

Ten wymuszony optymizm przyswoiliśmy sobie wszyscy.

Tymczasem Anneliese wyprowadziła się ze stacji u rodziny Ottonów i zajęła piętro willi w Borsigwalde. A stało się to tak: mając na względzie przyszłość we troje, Anneliese przemogła się i starała pogodzić z ojcem. I znowu objawił się ten wszechobecny wymuszony optymizm. Wszystkie ciosy, wszystkie rozczarowania, które Franz Schorr zafundował swojej córce, zostały zepchnięte do podświadomości, bo ojciec Anneliese zdążył się tymczasem bogato ożenić, a mianowicie z wdową po fabrykancie kapeluszy. Należało do niej kilka willi w Berlinie, których piętra wynajmowała. Jedno z mieszkań nie nadawało się pod wynajem dla obcych, ponieważ kręte schody łączyły je z belétagem, który zamieszkiwał Franz Schorr ze swoją nową ślubną. W tym luksusowo urządzonej „mieszkanie w mieszkaniu”, oddzielonym jedynie cienką ścianką, Franz zagwarantował swojej córce swego rodzaju prawo bezpłatnego pobytu. Jeśli ojciec Anneliese zmienił się na korzyść, to szczodrość na pewno nie zaliczała się do jego nowych mocnych stron. Ponieważ Anneliese i Roman chcieli kupić własne meble

dopiero po zakończeniu wojny, Franz udostępnił córce całe wyposażenie piętra willi. W zamian musiała ona podpisać pięciostronicową „umowę użyczenia”, w której drobiazgowo wyszczególniono wszystkie przedmioty. W spisie ujęto każdą łyżkę, każdy obraz i każdą pozłacaną gałkę u drzwi, aby kiedy przyjdzie co do czego, nie brakowało nic. Antykwariusz zdawał się bardziej martwić o to, że Anneliese mogłaby sobie coś przywłaszczyć, niż o to, że może ją trafić bomba. Franz Schorr zastrzegł się też przeciw wspólnym posiłkom. „Jesteś dostatecznie dorosła, żeby o siebie zadbać”, oświadczył córce. Pewnego razu Anneliese zapukała do ojca, żeby z nim porozmawiać, i zastała go, jak podciągał ananasa przypiętego do metalowego łańcucha. Łańcuch zamykał na kłódkę, żeby Anneliese przypadkiem nie wpadła na pomysł, by sobie odciąć kawałek owocu. Nie interesowało go, że wkrótce zostanie dziadkiem. „Z dziećmi mi nie po drodze”, skomentował.

Niedługo po weselu, w lutym 1944 roku, Romek dostał powołanie do wojska. Wysyłano go akurat na granicę niemieckopolską! Do Gubina, na tak zwaną linię Odry i Nysy. Trafił do zastępczej kompanii łączności, ponieważ był przydatny dla wojska. Rozumiał zarówno język niemiecki, jak i polski, a ponadto jako „telefunker” znał się dobrze na technice łączności. Dlatego też nie tylko mógł prowadzić nasłuch nadajników wroga, ale też zakładać podsłuch na liniach telefonicznych.

Ponownie zobaczyliśmy się już w marcu. Z okazji odbywających się w Berlinie wojennych mistrzostw „Berliner Illustrierte” chciała opublikować fotoreportaż z Romkiem i Anneliese. Z tej okazji Romek dostał dwa dni urlopu. Zasłynął jako mistrz Berlina w łyżwiarstwie szybkim, a Anneliese dochrapała się już tytułu mistrzyni Rzeszy tudzież niemieckiej mistrzyni w wyścigach na wrotkach i na łyżwach. Bohaterowie sportu cudownie odwodzili myśli ludzi od nędzy dnia powszedniego. Pogodne artykuły w prasie dobrze służyły podtrzymaniu morale. Ludzie lubili czytać o czymś, co nie miało nic wspólnego z wojną. Zgodnie z zasadą: „Wróg to nam może! Nasze życie toczy się dalej”.

Fotograf sportowy Max Schirmer pojawił się w domku Leitloffów przy Wittestraße. Sam był kiedyś atletą i cały czas głądził o tym, że fotografia sportowa to forma sztuki. „Nikt nie robi tak dobrych zdjęć jak ja”, chwalił się.

Jego asystent oświetlił nas jaskrawym światłem lampy. A potem Schirmer pstryknął fotkę ojcu, Romkowi, Anneliese i mnie, w zażyłej bliskości. Poza tym uwiecznił Romka w trakcie treningu i szlifowania płóz u łyżew. Jednak na większości zdjęć pojawiała się Anneliese, od pasa w górę. Nosiła się na czarno, bo, wiadomo, czerń wyszczupła. Reporter zadał nam kilka niezobowiązujących pytań w stylu: „Czy szybkość jest u państwa cechą rodzinną?” albo „Czyż aura nie dopisuje?”. W istocie, słońce świeciło, w powietrzu znów unosił się zapach wiosny.

Po tej małej wycieczce w krainę pięknego pozoru rzeczywisty świat na nowo pogrążył się w mroku. Romek musiał wracać do Gubina. Tata, Anneliese i ja co dzień czekaliśmy w napięciu, kiedy rozbrzmi alarm przeciwlotniczy. Aby mieć lepszy obraz sytuacji, słuchaliśmy wrogiej rozgłośni angielskiej, co było bardzo niebezpieczne, ale nie mogliśmy z tego zrezygnować.

Dopiero w lipcu 1944 roku, kiedy Anneliese wydała na świat dziecko, Romek ponownie otrzymał dwa dni urlopu. Tato, mój syn i ja udaliśmy się razem do kliniki w Moabcie. Anneliese zdecydowała się na poród w tym właśnie szpitalu, ponieważ w jego podziemiach znajdował się wytrzymały na bomby bunkier z salą operacyjną i porodówką. W końcu nie chciała, aby w trakcie bólów porodowych zaskoczyło ją wycie syren.

Kiedy po raz pierwszy wzięłam maleństwo na ręce, do oczu napłynęły mi łzy wzruszenia. Wyglądał kubek w kubek jak mój Romek, tylko że w mniejszym formacie. Czarne jak smoła krótkie włoski okalały zaróżowione policzki.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam.

Wzruszała mnie ta puchata istotka, która ufnie wtuliła się w zagłębienie mojego ramienia. Wszystko w niej wydawało się doskonałe: delikatne paluszki, które już się zacisnęły w piąstki, drobne uszka. Upłynęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio trzymałam w ramionach takie maleństwo. Dziecko zawsze wnosi trochę nadziei i niewinności, nawet w czasach wojny.

– Jak ma mieć na imię? – zapytałam świeżo upieczonych rodziców. – Co powiecie na Romana Trzeciego?

– Nie mam nic przeciwko – powiedział Romek i trochę niezgrabnie wziął dziecko na ręce. Podczas kiedy delikatnie go dotykał, miał chmurne spojrzenie. Byłam rozczarowana, że nie potrafił się cieszyć. „Ach, ci mężczyźni – pomyślałam z oburzeniem. – Lepiej sobie radzą z autem niż z dzieckiem”.

– Jak ci się podoba imię Roman? – zwróciłam się do Anneliese.

Wzruszyła ramionami. Nie mogłam jej rozgryźć. Czy była tylko wyczerpana? Zachowywała się tak, jakby niemowlę nic jej nie obchodziło. Może faktycznie poród ją wykończył. W każdym razie nie miała zbyt wiele czasu na odpoczynek. Jeszcze tego samego dnia moją synową wypisano z kliniki. Musiała ustąpić łóżko ciężko rannemu.

Co zadziwiające, Romek nie wykazywał radości, że żona i dziecko są już w domu. W ogóle wydawał się przybity.

– Zaopiekuję się Anneliese i dzieckiem, kiedy będziesz musiał wyjechać – obiecałam mu.

Przypuszczałam, że martwi się o oboje. Ale potem, kiedy Anneliese i dzieciak już spali, opowiedział mi, co go tak naprawdę gryzło.

– Mamuś, nie chcę wracać do Gubina. Dłużej tam nie wytrzymam. Wydano nam rozkaz rozstrzelania każdego Polaka, którego złapiemy w lasach. Nieważne – mężczyznę, kobietę czy dziecko.

– Przecież Polacy już dawno się poddali – powiedziałam kompletnie zdumiona.

– Ach, mamuś, naczytałaś się „Völkischer Beobachter”⁸ czy co? To wersja oficjalna. Polacy nadal walczą. Podobno po lasach ukrywają się partyzanci.

– Prawdopodobieństwo, że jako radiooperator skrzywdzisz jakiegoś Polaka, jest raczej małe, prawda?

– Podczas patrolu natknąłem się na młodą Polkę, która miała na płaszczu naszywkę z literą „P”. Była wychudzona do cna i drżała na całym ciele. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

– Strzeliłeś do niej? Nie żyje? – pytałam.

– Nie! Nie miała przy sobie niczego, czym mogłaby się bronić. Naumyślnie oddałem strzał obok niej. Mogę mieć tylko nadzieję, że nikt mnie nie widział. Z tego powodu jestem już jedną nogą na tamtym świecie.

– Po jakiego grzyba taka głupia gęś wałęsa się po lesie? – złościłam się.

– Mamuś, nikt z własnej woli nie przebywa nocą sam w lesie, tyle jest pewne. Dziewczyna musiała mieć jakieś powody. Prawdopodobnie wywieziono ją na roboty przymusowe do Gubina [10] i chciała wrócić do rodziny.

– No nic, Bożeż ty mój. Puściłeś ją wolno i nikt nic nie zauważył. Machnij na to ręką.

– Tym razem. A co, jeśli zdarzy się to jeszcze raz i jeszcze raz? Nie mogę przecież kogoś zabić z powodu partyzanckiej hysterii.

Romek patrzył w pustkę. Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam nim.

– Nic się nie stało!

Ale nadal był strapiony.

– Podśledzałem pewną rozmowę. Oddziały SS „Totenkopf”² mają palić wszystkie wioski, w których mogą przebywać ludzie z ruchu oporu. Rozstrzeliwać nawet kobiety i dzieci. „Zamknąć serce na współczucie” – to słowa Führera [11]. Naczelnym dowódcą też je nam wbijał do głowy. Wojna czyni z nas wszystkich potwory, gdziekolwiek spojrzeć – zbrodnia i mord. I na taki świat mamy wydawać dzieci? Myślę, że popełniliśmy błąd. Cóż ma zrobić małe, niewinne stworzenie w takim świecie jak ten?

– Zawsze wszystko brałeś sobie za bardzo do serca. Spróbuj patrzeć w przyszłość – zachęcałam Romka.

– Ty nic a nic nie rozumiesz! – zawołał nagle i opuścił mieszkanie, trzaskając drzwiami.

Byłam bardzo głęboko wzburzona. Ten zamierający głos, te migoczące błyski w oczach – nigdy wcześniej nie zaobserwowałam u niego takich reakcji. Zawsze był poważny, ale coś takiego...

Założyłam płaszcz i już chciałam pobiec za Romkiem, kiedy osesek zaczął

kwilić. Anneliese przeciągnęła się na sofie i wcale się nie sposobila, żeby wstać. A więc to ja wyjęłam malucha z wózka, ułożyłam na ręku i masowałam mu główkę i brzuszek, dopóki się całkiem nie uspokoił. Wiedziałam, co to kolki dokuczające noworodkom.

Romek zniknął na wiele godzin. Pełna złych przeczuciu snulałam się z kąta w kąt, nucąc dziecku po cichutku: „Ach, śpij, mały książę...”.

Nie miało najmniejszego sensu pytać Anneliese, dokąd mógł pójść Romek lub co się z nim dzieje. Jeśli ktokolwiek rozumiał mojego syna, to z pewnością nie była to ona, której myśli krążyły wyłącznie wokół niej samej.

Tymczasem dziecko zasnęło i tylko ja powoli odchodziłam od zmysłów. Gdzie, do jasnej cholery, poszedł Romek!? Co, jeśli teraz zaczną się naloty, a on będzie na środku ulicy bez możliwości schronienia się w jakiejś piwnicy?

Dopiero po dwóch czy trzech godzinach – za oknami była kruczoczarna noc – usłyszałam, jak mój syn wchodzi do mieszkania. Nie był to jednak powód, by odetchnąć z ulgą. Od razu zauważyłam, że coś nie gra. Patrzył pustym wzrokiem i rzekł:

– Nie mogę tego zrobić. To niemożliwe.

– Na miłość boską... O czym ty mówisz? – wykrztusiłam. Wzbierało we mnie mroczne przeczucie połączone z paniką. Romek obdarzył mnie zmęczonym spojrzeniem, jego oczy miały zaczerwienione brzegi.

– Chciałem się rzucić pod pociąg metra. Czekałem w nieskończoność, ale nie nadjechał – powiedział cicho ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– O nie! – krzyknęłam przerażona. – Miałeś szczęście w nieszczęściu. Brytyjczycy i Amerykanie zbombardowali tyle tuneli i mostów, że ani metro, ani szybka kolejka, ani nawet tramwaje już nie kursują.

Mocno go do siebie tuliłam, podczas gdy jego ramiona zwisały bezwładnie. Chciałam go zatrzymać, przekazać mu całą swoją siłę, czułam jednak, że to nie działa. Brakowało mu ducha, by dalej to wszystko ciągnąć. Jak gdyby pękł jego duchowy kręgosłup.

– Romku, proszę cię, wytrzymaj – zaklinałam go. – Ta mordercza wojna musi się niedługo skończyć. Błagam, myśl o przyszłości, o swoim synku.

Musisz go chronić, kiedy już będzie po wojnie. Jesteś mu potrzebny. Pomyśl o olimpiadzie w 1948, jeszcze nie będziesz za stary, pomyśl o Clasię Thunbergu [12].

Usiłowałam do niego dotrzeć, miałam jednak wrażenie, że wcale mnie nie słucha. Bardziej do siebie niż do mnie powiedział:

– Zanim ktoś mi rozkaże palić polskie wsie z żywymi ludźmi, wolę umrzeć...

– Romku, jesteś żołnierzem Wehrmachtu i nie musisz tego robić. Sam przecież mówiłeś, że to sprawa SS „Totenkopf”.

– Sam już nie jestem taki pewien. Wiesz, co grozi za odmowę wykonania rozkazu.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedziałam.

Kiedy próbowałam go objąć, odsunął się.

– Chcesz o tym porozmawiać z Anneliese?

Romek energicznie potrząsnął głową.

– Proszę, nic jej nie mów. Ona by mną tylko gardziła. Dla niej nie ma nic gorszego od samobójcy.

– Nigdy o niczym się nie dowie – przyrzekłam mu. – Idź się umyć, żeby nic nie zauważyła.

Nazajutrz wszystko było jak zawsze. Anneliese, Romek i ja siedzieliśmy przy śniadaniu, pijąc kawę żołądkówkę. A potem Romek wrócił do Gubina i przez dobrą chwilę nie widziałam go.

W 1944 roku naloty przeprowadzano także w biały dzień. Anneliese parę razy chowała się w naziemnym bunkrze koło ogrodu zoologicznego, jeśli tylko była w pobliżu. Takich bunkrów było kilka – monstrualne warownie z betonu i stali, wzniesione naprędce w czasie wojny. Bunkier przy zoo my, berlińczycy, nazywaliśmy piesszczotliwie „Gustawem”. Jego nazwa pochodziła od „żelaznego Gustawa”, bohatera powieści Hansa Fallady, twardego chłopaka. Bunkier miał dwie wieże dla działek przeciwlotniczych. Telefunken zamocowała na nich urządzenia radarowe. Romek był tam

kilkakrotnie przy ich instalacji. Dowiedział się wówczas, że berlińskie muzea zamierzały przechowywać w wieżach swoje najcenniejsze zbiory, i rozpierała go z tego powodu duma.

– A więc widzisz, Annelie, jak bezpieczny jest ten bunkier. My, telefunkerzy, dbamy o bezpieczeństwo – wyjaśnił Romek. – Ty i maluch jesteście moim największym skarbem. Proszę cię, jeśli ogłoszą alarm przeciwlotniczy, schowaj się właśnie tam. Nie chcę, żeby wam się coś przytrafiło – napominał.

Tyle że droga z Borsigwalde do bunkra koło ogrodu zoologicznego była daleka. Poza tym już od wczesnych godzin rannych oblegały go matki z małymi dziećmi. Czasami wtłaczano do środka nawet 30 tysięcy ludzi. Ciżba wywoływała u Anneliese agresję, dlatego też postanowiła, że więcej tam nie pojedzie, a w razie alarmu schroni się w piwnicy sąsiedniego domu. Była to zwykła piwnica, której strop podparto drewnianymi słupami.

W tym samym miesiącu, w którym urodziło się dziecko, dokonano zamachu na Hitlera. Erich Fellgiebel, ten sam, który swego czasu uznał Romka za UK, zadbał o to, by w dniu zamachu kwatera główna Hitlera przez jakiś czas była odcięta od kontaktu ze światem zewnętrznym. Fellgiebla stracono jeszcze w lipcu. Sama nie wiem, jak często myślałam: „Dlaczego im się nie udało? Dlaczego akurat Hitler stał za grubym filarem? Jak gdyby zawarł pakt z diabłem”.

W sierpniu 1944 Romek dostał nowe powołanie. W stopniu grenadiera musiał zasilić szeregi 563. dywizji piechoty.

– Jako grenadier najbardziej z całej kompanii oberwę po dupie – zaklął. – Czym niższa ranga, tym większe ryzyko.

Oddziałem Romka dowodził człowiek, który był osławiony ze względu na swoją brutalność, generał pułkownik Ferdinand Schörner, nazywany też „bestią w mundurze”. Chełpił się, że z miejsca pakuje kulkę w łeb każdemu, kto się miga od walki albo tchórzy. Pewnego razu kazał rozstrzelać jakiegoś młodego chłopaka, który wycofał się na tyły kilka chwil przed rozpoczęciem ataku. Wydawało mu się, że miał po temu absolutne prawo, w końcu był pupilkiem Hitlera. Po wojnie Schörner stanął przed sądem za popełnione okrucieństwa. Ażeby można go było ukarać, po wojnie uchwalono nawet

specjalny przepis, tak zwane *lex Schörner*.

Oddział Romka miał najpierw popłynąć statkiem do Rewala. „Czyli na Wschód”, myślałam z przerażeniem. Naprzeciw Rosjanom. Tym samym skończyły się krótkie wypadki z Gubina do Berlina. Towarzyszyło mi przykre uczucie. Razem z tatą pojechaliśmy do Döberitz, gdzie nowa kompania Romka brała udział w uroczystości poświęcenia broni na poligonie. Sztandary ze swastyką łopotwały wokół podium, na którym zasiadali wysocy rangą oficerowie obok, w sumie niepozornego, generała Schörnera. Partia przykładała większą niż kiedykolwiek wagę do demonstracji swej potęgi i dumy, zwłaszcza że chyba nikt już nie wierzył w „ostateczne zwycięstwo”. Działa artyleryjskie i przeciwpancerne sterczały niczym pięści wzniesione ku niebu. Karabiny maszynowe i granatniki stały jak pod sznurek. Padła komenda: „Hełmy z głów! Klękni!” Potem kapelan połowy pobłogosławił zabijanie. *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.* Zdjął zawieszony na szyi mosiężny krzyż i przeżegnał nim broń. Młodzi ludzie mogli zaintonować „radosną pieśń”. W gardle poczułam dławiącą kulę.

Gdy kapryśne szczęście

Kiedyś się odmieni,

Gdy nie powrócimy

Do ojczystej ziemi,

Gdy kula nam śmierć zada, Gdy los da znać o sobie,

Da znać o sobie,

To spoczniemy w czołgu,

Tym spizowym grobie [\[13\]](#).

Musiałam powstrzymać łzy, bo nie chciałam, by Romek widział mnie w takim stanie. Jednak spojrzał w moją stronę i uśmiechnął się: był zdecydowany nie dać się sponiewierać. Romek waleczny, zwycięski. Mój dzielny chłopiec.

Gdy nastał czas pożegnania, zdążyłam się już pozbierać do kupy. Romek powiedział:

– Nie będzie tak źle!

Skinęłam głową, podkreślając, jak bardzo jestem dobrej myśli, i przybrałam na twarzy udawany uśmiech. Tato bez słowa przytulił Romka i kiwał głową, by go trochę rozruszać. Romek pożegnał się z Anneliese, przeciągle całując ją w usta.

Potem długo nie dostawaliśmy od niego żadnych wieści.

I znów nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Do dziś śnią mi się niekiedy noce w ówczesnym Berlinie. Anneliese była wykończona nerwowo i bardzo często podrzucała mi dziecko. Ale właściwie nie bardzo mogłam pomóc, ponieważ maleństwo chciało ssać pierś. Ledwie Romuś zasypiał, już był alarm przeciwlotniczy. O ciszy nocnej można było tylko pomarzyć. Wszyscy byliśmy istnymi kłębkami nerwów.

Mimo wszystko Anneliese ani się widziało wziąć udział w akcji NSDAP, polegającej na ewakuowaniu matek z dziećmi na wieś. Nic to nie kosztowało. Wystarczyło wymienić parę kartek żywnościowych na kartki wyjazdowe, by w wagonie specjalnym trafić do miejsca przeznaczenia. Czego się można było tam spodziewać? Według partii – bezpieczeństwa lotniczego, mięsa i pełnoziarnistego chleba. Anneliese, z natury nieufna, nie wierzyła tym zapewnieniom. „Kto wie, w jakiej oborze przyjdzie mi spać i jak będziemy strzeżeni?“, mówiła. Nie mieliśmy ani krewnych, ani przyjaciół w miejscowościach, które nie były zagrożone nalotami. A może u jakiegoś chłopca na wsi? Tam też nie witano nas z otwartymi ramionami. Anneliese wolała zostać w swoim pięknym mieszkaniu na piętrze willi, dopóki istniała taka możliwość.

Nie byliśmy bohaterkami. To, co Goebbels nazwał „berlińską wolą przetrwania”, w rzeczywistości było czymś kompletnie innym, czymś do bólu irracjonalnym: kurczowo chwytaliśmy się rzeczy swojskich i na później odsuwaliśmy moment, w którym będziemy musieli spojrzeć w otchłań.

Pewnego ranka w lecie 1944 roku stałam w kuchni, wciąż jeszcze zaspana. W nocy prawie nie zmrużyłam oka, bo ogłoszono alarm przeciwlotniczy dla całego Berlina. Nagle ktoś zadzwonił, a kiedy otworzyłam drzwi, niemal umarłam ze strachu. Na korytarzu stała Anneliese z dzieckiem. Oboje wyglądali jak widma. Od stóp do głów byli uwalani

pyłem. Mały Romek przypominał porcelanową lalkę. Z bladego czoła spływała mu strużka krwi. Na dłoniach i twarzy Anneliese krew już zakrzepła, wargę miała opuchniętą.

– Wchodźcie – powiedziałam. – Chwała Bogu, w ten dom nic nie wałnęło. Najpierw obmyłam główkę dziecka.

– Boże, jest całkiem zniekształcona – wykrzyknęłam. – Musimy iść z nim do lekarza. Anneliese nie wykazywała żadnej reakcji.

– Jesteś ranna? – zapytałam.

Pokręciła przecząco głową.

Przekonałam ją, żebyśmy pospieszyły z małym do szpitala w Reinickendorfie. Metro i kolejka praktycznie nie kursowały, a stacje były nabite ludźmi, którzy się w nich zakwaterowali, bo ich domy zbombardowano. Po drodze widziałyśmy ogromne leje po bombach zięjące w asfalcie. Niektóre budynki wciąż płonęły. Anneliese sprawiała wrażenie zubożniałej, prawdopodobnie była pod wpływem szoku. I tak byłam zadowolona, że mi towarzyszyła. Dziecko sama niosłam.

Kiedyśmy tak szły, opowiedziała mi – co chwilę przerywał jej kaszel – co się stało. Musiałam ją ciągnąć za język, żeby dowiedzieć się szczegółów. Schroniła się w zwykłej piwnicy w Borsigwalde. Odgłos silników samolotowych słyszała z całkiem bliska.

– Najpierw rozległo się kilka głuchych wybuchów, przynajmniej sześć – powiedziała i odchrząknęła.

Dałam jej trochę przegotowanej wody z manierki, którą przezornie zabrałam ze sobą. Anneliese nawdychała się za dużo pyłu i dawało jej się to teraz mocno we znaki. Pył szklany i odłamki kamieni były niebywale podstępne. Mogły oślepić albo tak doprawić płuca, że nie można było złapać tchu. Wypiwszy łączywie niemal całą wodę, ciągnęła swoją opowieść:

– Cały dom drżał, światło zgasło. Słyszeliśmy trzaski i syki. Bomby zapalające. Siedzieliśmy ściśnięci jak sardynki w puszce, mokrzy od potu i sparaliżowani strachem. Potem nastąpiła jeszcze jedna eksplozja i cały dom zawalił się nad nami z ogłuszającym łoskotem. Musiałam stracić na chwilę przytomność, a kiedy się ocknęłam, usłyszałam plusk wody, więc bałam się,

że woda zaleje piwnicę i że się utopię. Z góry sypał się drobny pył, który tamował mi dopływ powietrza. Chciałam jednego: wydostać się z tej pułapki.

– I co zrobiłaś? Ktoś ci pomógł? Znalazłaś zapasowe wyjście?

– Nie było widać żadnego wyjścia, pomoc też nie nadeszła. Wydawało się, że zginął nawet strażnik obrony przeciwlotniczej, bo nie odwołano alarmu. Z gruzu wystawało tylko parę kończyn pokrytych białym pyłem, zarzuconych jedna na drugą, nic się nie poruszało. Słaby promień światła przebijał się z zewnątrz przez szparę, chciałam się przez nią precyzyjnie. Zakrwawionymi palcami odgarnęłam gruz i podźwignęłam się do góry. Panicznie się bałam, że utknę w pół drogi. Na górze siedziała już jakaś kobieta, której udało się wydostać na zewnątrz przede mną. Kiedy zobaczyła, jak grzebię w swojej torebce, zaklęła: „Niech to szlag jasny trafi! Moje kartki żywnościowe!”. Niczym wariatka starała się przeczłgać z powrotem do piwnicy, odsunęła na bok kilka luźnych cegieł i gołymi rękami grzebała w rumowisku. Ponieważ chciała sprawdzić, czy przypadkiem ktoś inny nie miał ze sobą kartek, obmacywała wszystko, co przypominało w dotyku torebkę lub płaszcz. Niemal całkowicie zniknęła pod gruzami, aż w końcu wydała z siebie pisk, bo zobaczyła niemowlę. „Ono jeszcze żyje”, zawołała. Wzięła je ostrożnie na ręce i z trudem wygramoliła się na zewnątrz. Dopiero wtedy zaświtała mi myśl, że to był mały Roman. Zupełnie o nim zapomniałam.

– Zapomniałaś o swoim dziecku?

Byłam zbulwersowana. Cały czas zakładałam, że Anneliese trzymała je na ręku i ochraniała, wyczołgując się ze sterty kamieni. Fakt, że zostawiła małą istotkę na dole i nawet jej nie szukała, był tak pożałowania godzien, że naprawdę mnie zatkało.

Jednak nie zarzuciłam jej pretensjami i dokuczliwymi pytaniami, bo najpierw chciałam ratować dziecko, które miało na głowie broczącą ranę. Moja głowa, ciężka i zamroczone od niewyspania, była całkowicie zajęta orientowaniem się w chaosie ruin. Niektórych ulic nie sposób było rozpoznać. Po godzinie, a może po dwóch godzinach błądzenia w kółko dotarliśmy do kliniki. Niemal w ogóle nie została uszkodzona, w środku personel dwoił się i troił. Trochę trwało, zanim znalazłyśmy lekarza, który

był gotów nas wysłuchać. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego, prawdopodobnie zarwał noc tak jak my.

Założywszy bandaż na główkę Romka, powiedział rzeczowo:

– Dziecko nie przeżyje.

Ogarnęła mnie szewska pasja.

– Nie może pan tak szybko rezygnować! Musi się dać coś zrobić. To małe stworzenie ma przed sobą całe życie. Jest tylko trochę zmęczone trudnymi przejściami.

– Łaskawa pani, to nie ma nic wspólnego z trudami. Dziecko jest nieprzytomne i nie wykazuje żadnych odruchów – odparł. – Czaszka trzymiesięcznego niemowlęcia jest zbyt miękka, by przetrwać tego typu urazy bez szkód. Dopiero okaże się, które obszary mózgu uległy zniszczeniu. W każdym razie dziecko ma jednostronny paraliż.

Aby to zademonstrować, uniósł prawą nóżkę, która bezwładnie opadła.

– Nawet gdyby przeżyło, musi się pani liczyć z trwałymi uszkodzeniami.

Łzy ciekły mi po policzkach, podczas gdy Anneliese stała obok pozornie niewzruszona. Zadałam sobie pytanie, czy moja synowa przypadkiem zostawiła pod gruzami nie tylko swoje dziecko, ale też swoje serce.

– Nie może pan tego wiedzieć – zaprotestowałam. – Może jeszcze wydobrzeje.

– Czy dziecko jest już ochrzczone? – dopytywał lekarz. – Jeśli nie, sugerowałbym chrzest z wody.

– Patrz, na jaki zaszary świat przyszedłeś! – zwróciłam się do malucha, który od czasu, kiedy przyszła z nim Anneliese, ani razu nie otworzył oczu. W rozpacz głaskałam jego policzki.

Moja synowa wydawała się podenerwowana.

– No to go ochrzcijmy. Nigdy nie wiadomo, czy się nie przyda.

W tamtej chwili zaczęłam odczuwać do niej bezbrzeżną odrazę. Zachowywała się tak, jakby nic jej nie obchodziło. Czy taką przybrała strategię na przetrwanie? Nie rozumiałam jej. Kiedy sięgam myślą wstecz,

uderza mnie to, że także Anneliese na pewno potrzebowała opatrunku. Ale ani ona, ani ja nie robiłyśmy wielkich ceregieli z powodu jej obrażeń. Byłam na nią zbyt wściekła, aby się o nią zatroszczyć.

Kapelan szpitalny, którego odnalazłyśmy, podobnie jak lekarz wydawał się przeciążony obowiązkami i nie emanował pociechą. Wcisnął Anneliese do ręki sukienkę chrzcielną, którą ostrożnie założyłyśmy na Romka. Umościliśmy go na krześle wśród masy poduszek. Ksiądz pożyczył nam aparat fotograficzny, abyśmy miały „ostatnią pamiątkę”, którą zamierzał nam później przesłać. Obfotografowałyśmy maleństwo ze wszystkich stron. Leżało pogrążone we śnie w białej sukieneczynie niczym aniołek. Potem ksiądz udzielił mu błogosławieństwa i nakreślił krzyżem znak krzyża na zdeformowanym czółku.

Rozdział 11

Liczyliśmy się z tym, że lada dzień stracimy dziecko. Ale mały Roman nawet nie myślał o umieraniu. Wprost przeciwnie: rozwijał się wspaniale. Często popiskiwał z zadowolenia, a jego miękka główka już wkrótce przybrała zwyczajny kształt. Nie dostrzegałam też śladów paraliżu. Ogarniała mnie błogość za każdym razem, gdy Anneliese przynosiła mi dziecko. A czyniła tak często. Nawet pod koniec wojny zawzięcie trenowała, żeby wrócić do dawnej formy.

Pod koniec września 1944 roku przyszedł list. Nareszcie Romek dał znak życia! Anneliese była na tyle miła, żeby mi go od razu przeczytać.

Na Wschodzie, 13.09.44

Kochany Wróbelku!

Mam nadzieję, że oba moje listy z Gdańska doszły do Ciebie. 11 września napisałem Ci parę słów także stąd, bo właśnie przyjechała kuchnia, która zawsze zabiera nasze listy. Dziś zapowiedzieli, że poczta będzie przychodzić raz na 10 dni. Na pewno jesteśmy już okrążeni i wszystko wożą statkiem. Nie wiemy tutaj o niczym, co się dzieje na świecie. Nie mamy gazet, nawet starych, do brudnych spraw. Ludzie przebąkują, że Amerykanie są już w Trewirze. To samo jest tutaj z Tartu. Strzelamy bez ustanku i widzimy pożary, i nie wiemy, czy jest ono już w naszych rękach, czy jeszcze nie. Przewieźli nas do najgorszej pułapki. A więc jak będziesz pisać, to także o sprawach politycznych, co mówi raport Wehrmachtu. Piszę na dworze, mam skostniałe ręce.

Szyneł, który by mi się teraz przydał, dawno już przepadł. Nocą, kiedy śpimy, nie nadążamy drzeć, bo tak szybko przemarzamy.

Co najgorsze, od wielu dni mam przemoczone stopy, dookoła same bagna.

Chciałbym tylko wiedzieć, co my tu w ogóle robimy, skoro wróg jest już w Niemczech. Słyszałem coś takiego, że po kapitulacji w Finlandii mamy oczyścić kraj z oddziałów do piętnastego. Ale może też będziemy musieli tutaj zostać, dopóki nie załadują ludzi w Helsinkach. Tutaj ciągle przelatują ptaki wędrownie. Nadciąga zima. Wszystko zmierza na zachód i na południe, tylko my stoimy na złym peronie. Estończycy patrzą na nas wilkiem, powoli też mają tego po dziurki w nosie. Jak Ci się układają stosunki z Ottonami? Pozdrów ich ode mnie. Czy u Was też ciągle pada?

19.09.44

Dziś rano o 5:00 było bardzo zimno. Pola są już białe. Niedługo zacznie się nasz sezon. Miejmy nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Mojemu kompanowi udało się już, jak myślę, przejść na drugą stronę. Jest dosyć spokojnie. Aha, jak nie dostaniesz porządnej piasty do roweru, zadzwoń do Fritza Wenera pod numer (272) lub (456). Toż własną żonę sprzedaje za papierosy. Piasta nie musi być z lekkiego metalu, grunt, że do kolarzówki, może być używana, na pewno ma taką. I przekaż mu pozdrowienia. Możesz mu powiedzieć, gdzie jestem. Owoce też za papierosy. Ma ogród. Nie za dużo, bo te rzeczy są bardzo drogie. Jak ich nie wystarczy, kup u Balerskiego.

Godz. 19.45

Rosjanie przeszli przez rzekę i założyli przyczółek. O 19:30 ruszył nasz kontratak. Działa wałą tak, że aż się trzęsie całe wrzosowisko. Właśnie ugotowałem ziemniaki w mundurkach i wszamałem je z solą, bo wyżywienie jest tu nieszczególnie. Mój kompan Jandi jest dziś na szpicie. Ja siedzę przy działach 1500 metrów z tyłu i piszę w swoim dole. Na wszelki wypadek noszę buty do biegania.

Chyba mam zbyt dużo pytań i życzeń do Ciebie, wydaje mi się, jakbym był z dala od domu już wieczność całą. Zresztą nie zdziałasz cudów. Właśnie wraca mój kompan i będzie tu spał, bo samemu można zamarznąć na śmierć.

Ano właśnie, mówią, że toczą się walki o Akwizgran i że Ruski jest już w Królewcu. To doprawdy zabawne. Jak my się stąd wydostaniemy? A więc, kochany Wróbelku, niech Ci się wiedzie, wszystko będzie dobrze. Całuję Cię serdecznie

Twój Schlumpi

PS Żeby nie zapomniał, kilka pytań, na które chciałbym dostać odpowiedź: Jak się masz i jak się mają sprawy w ogóle? Jak się ma maluch? Jak się ma Hela? Wyślij jej pieniądze, jeśli ich potrzebuje! Bardzo ważne: złóż wniosek o kartki na tytoń. U

nas były cięcia, przypada na nas 5 papierosów dziennie. Przydałyby się w domu. Czy poczyniłaś już jakieś kroki względem butów? Jeśli nasz kumpel nie może z nich nic zrobić, idź może do zakładu Rukela, tego od łyżew. Pisz do mnie oczywiście w kopertach z nagłówkiem doktora Romana Maya. Korespondencja firmowa jest szybciej przewożona. Mam nadzieję, że znajdziesz jakieś.

– Czemu od razu nie przysłał papierosów? – zapytała zirytowana Anneliese. – Przydałyby mi się.

– Może nimi płaci – zasugerowałam. – Pisz przecież, że wyżywienie jest złe.

Anneliese tradycyjnie wzruszyła ramionami. Pożegnała się, tłumacząc, że chce się spotkać na treningu z innymi sportowcami.

– Nie napiszesz kilku słów do męża? – zapytałam.

– Ach, wystarczy, jak zrobię to jutro albo pojutrze. – Pomachała mi ręką na pożegnanie. – I nie patrz tym tragicznym wzrokiem. Dobrze się ma, przecież sam pisał.

Całe popołudnie przesiedziałam przy stole kuchennym. List ten, jak wszystkie listy od Romka, przeczytałam z 10 razy. Zastanawiałam się przede wszystkim, o czym mogę mu napisać, żeby go bez potrzeby nie obciążać. Pytał o malucha. Ale miałam opory, by mu przekazać informację, że jego syn był przywalony gruzem. Nagryzmołam więc kilka oględnych linijek, że mamy się dobrze i że w miarę możliwości będę podporą dla jego żony i dziecka. Na zakończenie napisałam: „Patrząc na to, jak się sprawy mają, jestem pewna, że niedługo znowu się uściskamy”.

Niewykluczone, że Romek nigdy nie dostał mojej wiadomości. Bo już kilka dni później Anneliese bez słowa dała mi do przeczytania list. Była to oficjalna informacja o śmierci mojego syna, którą dostała pismem poleconym. Urzędowy druk, w którym rubryki wypełniono na maszynie do pisania. Wszystko musi mieć swój porządek, także śmierć.

Grenadier – Roman May – kompania dział piechoty, pułk grenadierów, 563. dywizja piechoty – w dniu – 29 września 1944 – oddał życie – za Führera, Naród i Ojczyznę.

Do pisma dołączono odręczny list do Anneliese, który także dała mi do

przeczytania, bo rzekomo nie mogła odcyfrować pisma. Odczytałam go na głos.

Na Wschodzie, 05.10.1944

Wielce Szanowna Pani!

Z ciężkim sercem sięgam po pióro. Spoczywa na mnie obowiązek przekazania Pani niezmiernie smutnej wiadomości, że w dniu 28.09 o godz.

17:00 oddał życie Pani małżonek. Wydaje mi się, że jestem w stanie ocenić rozmiar Pani bolesnej straty. Pani mąż szczęśliwie przetrwał niebezpieczne przestrzenne zmiany po to tylko, by od nas odejść w taki sposób. W drodze ze stanowiska ogniowego do punktu obserwacyjnego odłamek granatu zadał mu natychmiastową śmierć. Przypadł mu w udziale osobny grób w ogrodzie zamku Birini, w odległości 54 km od Rygi.

Śmierć Pani męża, łaskawa Pani, jest ogromną stratą także dla mnie. Był powszechnie lubiany, a ze względu na swoją obrotność i pomysłowość także niezbędny. Akurat Pani męża chętnie zatrzymałbym w oddziale. Ale obecne czasy pokazują, jak niewielki mamy wpływ na nasze życzenia. Cicho i cierpliwie musimy spełniać nasz obowiązek, a kiedy los zbliża się do nas w takiej postaci, nie pozostaje nam nic innego, jak się przed nim pochylić.

Odejście Pani męża dotknęło mnie szczególnie. Jestem berlińczykiem i znałem go z widzenia, a mianowicie z imprez sportowych. Gdyby opatrność zrzędziła, że wrócę do ojczyzny, chętnie złożyłbym Pani wizytę i odpowiedział na wszelkie pytania. Z głęboką czcią kłaniam się przed małżonką jednego z moich poległych żołnierzy.

Oddany Pani Otto Kiening, dowódca sztabu 18180 B

– To wszystko jest jakieś okropne! – wydusiła Anneliese w nagłym przypiływie emocji. Jej głos brzmiał głośno i nieprzyjemnie. A po chwili przerwy dodała: – Razem z małym Romanem odwiedzę dużego Romana w Rydze. Kiedy tylko nadarzy się okazja.

Nie wierzyłam jej. Nigdy nie zauważyłam u Anneliese nawet śladu troski o Romka, dopóki jeszcze żył. Nigdy nie była w stosunku do niego szczególnie opiekuńcza albo kochająca. I właśnie z tą kobietą, jako jedyną, Romek przeżył miłość. To była prawdziwa tragedia. W zaistniałej sytuacji nie widziałam lepszego wyjścia, jak wyciągnąć butelkę koniaku, który

zachomikowałam na lepsze czasy. Teraz „żelazna rezerwa” musiała nam posłużyć jako środek do znieczulenia uczuć. Siedziałyśmy jedna naprzeciw drugiej, blade i sztywne, nie mając sobie nic do powiedzenia. Po prostu wychylałyśmy kieliszek za kieliszkiem.

Kiedy butelka była pusta, chciałam tylko położyć się spać i najchętniej już nigdy nie wstawać. Nie było mi to jednak dane, alarm przeciwlotniczy wył prawie każdej nocy, a czasem nawet za dnia. Byłam niczym w transie.

W kolejnych tygodniach Anneliese starała się jeszcze bardziej niż zwykle nie dopuszczać do siebie żadnych uczuć, tymczasem mnie wszystko zdało się nagle absurdalne, a całe życie jawiło się niczym kiepski dowcip. Promiennie błękitne niebo nad Berlinem. Ptaki ćwierkające zbyt głośno. Chciało mi się wyc z bólu nad tą bezsensowną, tą niepotrzebną, tą przypadkową ofiarą. Ale z moich ust nie wydobyło się ani jedno westchnienie. Ani jedno słowo żalu. Paraliżował mnie ból. Śmierć mojego syna wznosiła się przede mną jak żelbetonowy mur. Nieubłagany. W mojej głowie w kółko krążyło tylko jedno słowo: „Romek, Romek, Romek...”.

Dopiero wiele dni później pierwsze łyzy utorowały sobie drogę z głębi mojej duszy. Wszystkiemu winien był ten głupi porcelanowy pierrot, który siedział samotny i opuszczony na wyszydełkowanej poduszce. Co za przeraźliwy widok! Gapił się na świat swoimi nieruchomymi porcelanowymi oczami. Jak to możliwe, że widok lalki mógł być aż tak bolesny? Lalki, której Romek nigdy nie chciał. Którą mu kupiłam, kiedy już od dawna był zbyt duży na tego typu zabawy. O ile kiedykolwiek bawił się lalkami. Kupiłam ją u Tietza jako prezent na powitanie. Kiedy to było: w 1928 czy 1929? Nie pamiętam. Czy w ogóle chcę pamiętać? Nie, to przecież bez sensu.

W tamtym czasie wszystko mogło się jeszcze dobrze ułożyć. Gdy Romek przyjechał do mnie, do Berlina, a ja oddałabym wszystko, żeby ze mną został. Przytulił pierrota do serca tylko ze względu na mnie, a jego ostry porcelanowy nos kłuł mnie w brzuch, kiedy się objęliśmy. Dlaczego teraz mi to przyszło do głowy? Było, minęło. Wszystko jedno.

Dopiero po paru tygodniach Anneliese dostała mały tobołek z osobistymi rzeczami Romka. Oczywiście miał ze sobą jej zdjęcie. Pokazała mi je z widoczną dumą.

Marszcząc czoło, przyjąłam do wiadomości, co Anneliese nabazgrała na fotografii: „Zaufanie rodzi zaufanie. Twoja Pipinka”. Mocno powątpiewałam, czy zasłużyła sobie na zaufanie Romka, ale teraz było to bez znaczenia.

Swoje myśli zachowałam dla siebie. Zamiast tego zapytałam:

– Co było jeszcze wśród rzeczy Romka?

– Nic szczególnego. List do mnie, rozpoczęty.

Kochana Pipinko!

Siedzę ze swoim druhem Jandim w dole. Śmiejemy się właśnie z kawału, który zasłyszał u jakiegoś landsera: „Nigdy jeszcze nie mordowano tyle, co za Stalina, nie głodowano tyle, co za Gutmanisa [14] i nie kochano się tyle, co za Hitlera”. Co mają na myśli pod kochaniem? Jandiego i mnie?

– Zdaje się, że nieźle się tam zabawiali – powiedziała Anneliese i wyciągnęła z torebki coś nieforemnego. – Popatrz, było w paczce. Mamy to zatrzymać? Nikomu niepotrzebne.

Podawała mi pomięty, brązowawy papier. Była to mapa, na której Romek nanosił wszystko. Linie frontu wokół Rygi zaznaczył niebieską kredką. Duże czerwone strzałki pokazywały trasę marszu jego oddziału. Na Zatoce Ryskiej odkryłam nagle brązowawą plamę. Struchlałam.

– To krew! – zawołałam i z przerażeniem odłożyłam mapę na stół. Anneliese wydawała się tym niewzruszona.

– Daj, zobaczę – stwierdziła i wzięła mapę. – A więc tak wyglądał kocioł kurlandzki. Popatrz na strzałki. Wehrmacht maszerował prosto na Zatokę Ryską. Rosjanie nadeszli z południa i dosłownie zepchnęli Niemców do morza. A ja myślałam, że w przypadku kotła wróg okrąży ze wszystkich stron.

W wywodach Anneliese pobrzmiewała fascynacja. Odjęło mi mowę. Chociaż w tym jej wymądrzaniu się brakowało mi współczucia dla męża, pod względem merytorycznym miała rację. We wrześniu 1944 roku, dokładnie w tym samym czasie, gdy Romek walczył z narażeniem życia, generał Schörner miał zadzwonić do Führera w Wilczym Szańcu i powiedzieć: „Już teraz

nastawiam się na takie rozwiązanie, że trzeba będzie pływać. Z trudem przychodzą mi te słowa, ale to już nasz koniec” [15].

Co wcale nie oznaczało, że Hitler szybko przysłał im posiłki. Pozostał przy swoim rozkazie przetrwania za wszelką cenę.

Pośród osobistych rzeczy Romka był także „Niemieckorosyjski słownik wojskowy. Do użytku na polu walki i w życiu codziennym” [16]. Kiedy go czasem wertuję, mogę tylko z niedowierzaniem kręcić głową nad tym, czego uczono naszych żołnierzy. Po co komu rosyjskie zwroty grzecznościowe, jak na przykład „przepraszam”, „dzień dobry” czy „proszę”, kiedy nawet nie dochodziło do bezpośredniego spotkania? Jeśli chodzi o Rosjan, Romek mógł widzieć tylko lufy ich karabinów i ogień armat.

Na samym początku słowniczka był przegląd najważniejszych fraz: „Stój!”, „Na ziemię!”, „Ręce do góry!”, „Przyprowadź...”, „Powiedz...”, „Daj mi...” lub „Gdzie ukrywacie (zapasy, partyzantów, broń)?”. Wydawca widać tryskał zbytnim optymizmem. Takie rozkazy i pytania mogły się przydać wyłącznie zwycięzcom.

W dalszej kolejności były słowa i zdania zdradzające nędzę codziennego życia żołnierza Wehrmachtu: P jak pchły lub platfus. Albo S jak sąd doraźny lub szpital polowy. Bezczelną drwiną wydaje mi się zdanie: „Pomocy! Krwawie!”. Czy ktoś wyobraża sobie, że jakiś Rosjanin, słysząc na polu walki takie zawołanie, nadbiegłby z opatrunkiem? Ja nie!

Po wojnie wielu skrupulatnych księgowych obrachowało, że przeciętnie trzech na czterech żołnierzy Wehrmachtu zginęło na froncie wschodnim. Obszar, na który los rzucił mojego syna, otrzymał wymowny przydomek „kurlandzki kocioł śmierci”.

Mało kto uszedł z niego z życiem. Garstka tych, którzy mimo rosyjskiej przewagi, skąpego zaopatrzenia i nędznego ekwipunku zimowego przeżyli ten koszmar, powędrowała następnie do niewoli rosyjskiej, skąd po wielu latach – o ile w ogóle – wyszła na wolność z traumą.

Czy miałam się cieszyć, że przynajmniej to zostało oszczędzone Romkowi? Jesienią 1944, kiedy trzymałam w ręku wiadomość o jego śmierci, nie byłam w stanie się na to zdobyć. Nie chciałam wiedzieć, jak się to odbyło

en detail.

Jak już mówiłam, żyłam w swego rodzaju lunatycznym śnie. Gdy wreszcie nastął koniec wojny, nie umiałam się radować. Burczałam tylko: „O pół roku za późno”.

Najlepsze w stanie pokoju było to, że zaprzestano nalotów. Ostatni miał miejsce pod koniec kwietnia 1945 roku. Poza tym nie odczuwało się wyraźnej zmiany. Tym, co nam pozostało, były głód i strapienie.

Cieężko było nie myśleć o Heli. Liczyłam się z najgorszym. Ostatnio widziano ją żywą w Warszawie. Akurat w mieście, które Rosjanie i Niemcy chcieli zrównać z ziemią. Na myśl o tym trzęsłam się ze strachu, kolejnej wiadomości o śmierci nie byłabym w stanie znieść.

Budynek przy GeneralBarbyStraße, w którym do dziś znajduje się moje mieszkanie, z wyjątkiem kilku śladów po wybuchach pozostał praktycznie nietknięty. To, co wyglądało na cud, zawdzięczaliśmy naszemu dozorczy, który, odkrywając jakąś bombę zapalającą, natychmiast gasił ją piaskiem. W tym celu wychodził z piwnicy jeszcze przed odwołaniem alarmu, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Był to w moich oczach czyn bohaterski, którego nigdy mu nie zapomnę. Chociaż poza tym niemożliwie mnie wkurzał.

Z kolei mój dom rodzinny przy Wittestraße 7 spłonął do fundamentów. Sądzę, że ta strata obeszła tatę bardziej niż śmierć mamy. Kiedy stanął przed dymiącymi zgliszczami swojego domu, coś w nim pękło. Nie wolno przesadzać starych drzew.

„Przeprowadzisz się do mnie”, zakomenderowałam, a tata posłuchał. Przeprowadzka poszła błyskawicznie. Cały dobytek, jaki mu pozostał, mieścił się w pudełku po butach.

Do Berlina jako pierwsi przedarli się Rosjanie. Baliśmy się ich panicznie. Co rano pierwszą rzeczą, jaką robiłam, było włączenie radioodbiornika, aby wysłuchać wiadomości na temat ich dokładnej pozycji. Dwudziestego piątego kwietnia 1945 roku Rosjanie dotarli do Reinickendorfu. W piwnicy naszego domu zaszyło się paru chłopaków z Volkssturmu¹⁰. Obowiązywał zakaz wywieszania białych flag, a przecież zrobiłabym to z największą

chęcią. Bezsensowne walki pomiędzy Volkssturmem a Rosjanami zdawały się trwać i trwać.

Kiedy 30 kwietnia Hitler odebrał sobie życie, odczułam zarazem ulgę i niepokój. Co z nami będzie? Czy staliśmy się teraz zwierzyną łowną dla Rosjan? Docierały do nas straszne wieści o krwawych akcjach odwetowych i zbiorowych gwałtach. Mówiono, że nie odpuszczali nawet takim starym krowom jak ja.

Jednak w sierpniu 1945 zamiast Rosjan do Reinickendorfu weszli Francuzi. Hordy „francmanów”, czyniąc wielki raban, wkroczyły do byłych koszar Hermanna Göringa przy Scharnweberstraße, położonych o rzut kamieniem.

Oczywiście z początku także oni, jako mocarstwo zwycięskie, strasznie się puszyli. Zarekwirowali tę odrobinę chleba, która nam została, ponieważ sami nic nie mieli. Odkurzyłam mój nieco zardzewiały francuski i niekiedy udało mi się uskuteczyć jakiś handelek. Trzy kromki chleba za jednego gauloisa. Papierosy oszukiwały głód, przynajmniej na jakiś czas. Raz udało mi się zamienić jednego na dwie ogromne francuskie brzoskwinie. Myślałby kto, że coś świeżego, z dużą zawartością witamin dobrze się człowiekowi przysłuży. Figa z makiem! Po spożyciu tych soczystych owoców przewróciłam się i ocknąłam dopiero w szpitalu – przekłety żołądek, skurczony w czasie wojny, nie tolerował takiej ilości jedzenia naraz. A już na pewno nie wtedy, gdy było to coś innego niż suchy chleb.

Osobiście nigdy nie miałam nic przeciwko „żabojadom”. Wręcz przeciwnie. Kochałam ich język. Tyle że Francuzi odgradzali się od nas, berlińczyków, na wszelkie możliwe sposoby. Otworzyli własne sklepy i własne kino, gdzie nie mieliśmy prawa wstępu. Dzielnicę, w której rozpanoszyli się razem ze swoimi krewnymi, ochrzcili mianem Quartier Napoléon.

Pierwszy i jedyny raz w życiu naprawdę musiałam tyrać – w budowlance – że tak powiem. Na głowie miałam coś na kształt turbanu ze starych szmat, który utrzymywał w kupie fryzurę. Pomagała każda kobieta, która mogła: nieważne czy proletariuszka, czy hrabina. To była sprawa honorowa. Nazywano nas *Trümmerfrauen*¹¹. Pracowałyśmy za mniej niż jedną

reichsmarkę na godzinę. Brałyśmy się do dzieła uzbrojone w kilofy, wiadra i łopaty. Aby szybciej usunąć kamienie, ustawiałyśmy się w szeregu i podawałyśmy je sobie z rąk do rąk. Grzbiet bolał, ręce były utyłane kurzem, niekiedy zakrwawione, a paznokcie pozadzierane. Nie to jednak było dla mnie najgorsze. Najgorszy był strach, że znajdę gdzieś jakiegoś trupa. A zdarzało się to nieustannie, kiedy rozbierano góry gruzu. Szczególnie smutne było to wówczas, gdy się nawet nie wiedziało, co to był za człowiek. Skąd pochodził, co porabiał w życiu. Parę razy zdarzyło się, że w trakcie odgruzowywania ginęły kobiety. Krusząca się fasada domu łatwo mogła runąć. Nie podejmowano specjalnych środków mających nas chronić. Musiałyśmy liczyć na szczęście.

Głód był naszym nieodłącznym towarzyszem. Co prawda, dostawałyśmy lepsze kartki żywnościowe – kategoria druga za wykonywanie ciężkich prac – jednak racje nie wystarczały nigdy, by się najeść do syta. Gardła miałyśmy wysuszone na wiór i nieustannie podrażnione przez unoszący się w powietrzu pył. Ale nie było kwękania. Spragnieni musieli się ustawiać na końcu kolejki do najbliższej pompy i czekać.

Jedyną rzeczą, dzięki której się trzymałam, było poczucie koleżeństwa pomiędzy kobietami. Kobiety potrafią być wobec siebie zawistne, potrafią knuć intrygi i prawić sobie złośliwości, ale my, *Trümmerfrauen*, trzymałyśmy sztamę! W tamtych czasach poznałam przyjaciółkę na całe życie. Kiedy podzieliła się ze mną ostatnią skibką chleba, bo moja gdzieś się zawieruszyła, poczułam się tak, jakby na moją pełną mroku duszę padł jasny promyk słońca.

– Jak się nazywasz? – zapytałam.

– Erna Baar. Pochodzę z Mazur w Prusach Wschodnich.

Okazało się, że w trakcie ucieczki przed Rosjanami Erna straciła całe swoje mienie i została rozdzielona z rodzicami, najprawdopodobniej nie żyli.

– A dzieci? – dopytywałam.

– Nie – odparła, podczas gdy ja obgryzałam wyschlą połówkę kromki. – Żaden mężczyzna nie chciał mnie za żonę, bo jestem taką dryblaską.

Tym samym zbyteczne było kardynalne pytanie, gdzie zaginął albo zginął jej narzeczony lub mąż. Po pracy zabrałam Ernę ze sobą do domu i przedstawiłam ją tacie.

Tata zadarł głowę ku Ernie i zapytał:

– Gra pani w kanastę albo remika?

– W kanastę – odpowiedziała Erna.

W ten sposób rozpoczęła się długa i intensywna przyjaźń. Byłyśmy nierozłączne. Ona, wysoka jak cyprys, oraz ja, kulista jak bukszpan – „mała” Erna i ja przedstawiałyśmy zabawną parę. Ale nam było wszystko jedno. Anneliese zapytała mnie kiedyś:

– Czy od teraz jesteś lesbijką?

Jeśli ktoś nigdy nie miał najlepszej przyjaciółki, nie umie sobie tego wyjaśnić. Jak często spotykamy w życiu ludzi, którzy rozumieją nas bez słów?

Rozdział 12

Jedno pytanie wciąż pozostawało otwarte: czy Hela przeżyła wojnę? Jeśli tak – przez co przeszła w Warszawie? Wszystkie listy, które wysyłałam do Stefki i Heli, pozostały bez odpowiedzi. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę wszechobecny chaos. Służba poszukiwań Czerwonego Krzyża pomogła mi tyle samo co odpowiednia służba kościelna, czyli niewiele.

Postanowiłam więc poszukać Heli osobiście, kiedy tylko uzbieram pieniądze na bilet. Najpierw chciałam spróbować szczęścia w Poznaniu, bo nie mogłam sobie wyobrazić, że moja córka pozostała w doszczętnie zburzonej Warszawie. Jednak, jak często w moim życiu bywało, musiałam odsunąć to zamierzenie na czas nieokreślony – 1945 rok nie był najkorzystniejszym momentem na podróż do Polski. Kursowało tylko kilka pociągów, tory wszędzie były zniszczone przez bomby.

Pewnego dnia przy odgruzowywaniu spotkałam kobietę, która złorzeczyła pod nosem.

– Gdybym wiedziała, że w Berlinie prawie nie pozostał kamień na kamieniu, pewnie dwa razy zastanowiłabym się nad ucieczką.

– A skąd pani pochodzi? – zapytałam.

– Z Posen, znaczy się: z Poznania – odparła.

Nie dając mi nawet szansy na wtrącenie jakichś pytań, zaczęła snuć długą opowieść o swojej ucieczce. Była folksdojczką i jak inni folksdojczycy żyła podczas okupacji Poznania na koszt podbitych Polaków. Teraz życie tych ludzi pograżyło się w chaosie. Jej ucieczka przed Rosjanami była prawdziwą odyseją. Słuchając jej, marzyłam, żeby móc zamknąć uszy. Takie historie męczyły mnie niemiłosiernie. Przecież w tamtych czasach każdy przez coś przeszedł.

Słowa tłustej kobity spadały na mnie jak grad, aż w końcu przerwałam jej obcesowo:

– Skoro pochodzi pani z Poznania, zna pani przypadkiem rodzinę Mayów albo Fabryki Chemiczne doktora Romana Maya?

– Osobiście nie. Ale nie sądzę, żeby po budynkach fabrycznych coś zostało. Wehrmacht zamierzał puścić z dymem wszystkie instalacje przemysłowe, zanim Rosjanie wejdą do miasta. Niemcy chcieli pozostawić im same ruiny. Z pewnością zrobili to bardzo porządnie.

„Dobrze, fabryka może i przepadła z kretesem, ale niewykluczone, że Hela wciąż żyła”, pomyślałam. Dlatego wyciągnęłam z torebki ostatni atut, zdjęcie portretowe mojej córki.

– Widziała pani przypadkiem tę kobietę? – zapytałam.

Grubaska zmrużyła oczy:

– Może i widziałam. Ale nie jestem pewna.

Można było oszaleć. Znikąd pomocy. Ta kobieta tylko kradła mój cenny czas. Po rozmowie z nią prześladowały mnie senne koszmary, w których Hela płonęła w Fabrykach Chemicznych, ponieważ starała się ugasić podłożony przez żołnierzy Wehrmachtu ogień albo ocalić jakieś papiery wartościowe. To byłoby w jej stylu. Bez wątpienia wróciła z Warszawy do domu, żeby wszystkiego dopilnować.

Mijały dni i miesiące jednostajnej harówki. Anneliese i Romuś naraz jakby się zapadli pod ziemię. Po tym, jak jesienią 1944 roku mieszkanie Anneliese całkowicie zniszczyły bomby, przez jakiś czas przebywała z dzieckiem u mnie. Potem pomieszkiwała u znajomych. Ponieważ nie wymeldowała się ode mnie, przypuszczałam, że za całą sprawą kryje się jakiś mężczyzna.

Dopiero pod koniec 1945 roku do domu przysłała kartka pocztowa z informacjami o miejscu pobytu mojego wnuka.

Fürth k. Norymbergi, listopad 1945

Droga Mamusz!

Pewnie zastanawiasz się, dokąd mnie tymczasem poniosło. Znalazłam pracę w Pałacu Sprawiedliwości w Norymberdze. Potrzebują na pęczki tłumaczy do procesów zbrodniarzy wojennych. Także stenografek do całej tej papierkowej roboty. Mój angielski jest całkiem niezły. To fascynujące, kogo tu można spotkać – całą starą gwardię: Speera, Heßa i Göringa – sprawiają wrażenie spokojnych. Żołnierze amerykańscy są bardzo mili. Dostałam Persilschein, uznano mnie za sympatyczkę. Co prawda, nie mogę głosować w wyborach, ale gdybym chciała, mogłabym nawet iść na studia. Jeden z amerykańskich oficerów chce się ze mną ożenić i zabrać ze sobą do USA. Ale ja nie chcę. Czego mam szukać w USA? Dziecko zostawiłam u mojej ciotki Liesl. O ile wiem, ma się ono dobrze. Jeśli chcesz, prześlij mu pozdrowienia na adres: Liesl Schorr, Speckhardstraße 6, Norymberga, dz. Mögeldorf.

Pozdrawiam

Anneliese

Ależ się zdenerwowałam! Dlaczego ten babsztyl nie zostawił malca ze mną? Najwyraźniej nawet nie wiedziała, jak się ma jej własne dziecko.

Przebywając w Norymberdze, Anneliese znajdowała się w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Amerykanie przeprowadzali proces lustracji nazistów w sposób o wiele skrupulatniejszy niż u nas Francuzi. Anneliese relacjonowała mi później, że musiała odpowiedzieć na ponad sto pytań. Była jednak dostatecznie szczwana, by zataić, jakim uwielbieniem darzyła kiedyś Hitlera. No i dostała Persilschein – tak nazywano zaświadczenie, które jak słynny proszek do prania „wybielało” ludzi, czyli uznawało, że nie popełnili zbrodni wojennych.

Ze mną Francuzi rozprawili się szybko. Po pierwsze – nigdy nie należałam do NSDAP, po drugie – nigdy wcześniej nie pracowałam. Nie można mnie było pozbawić urzędu ani zarzucić mi jakiegokolwiek aktu okrucieństwa. Nie mogło się to odbyć bardziej łagodnie. Naprawdę nikomu nie wyrzudiłam krzywdy, więc słusznie zaklasyfikowano mnie jako „uwolnioną od zarzutów”.

Cały proces denazyfikacji uważałam, prawdę powiedziawszy, za cyrk na kółkach. Nagle nikt nie chciał się przyznać, że był narodowym socjalistą. A ci, którzy przedtem w zachwycie maszerowali w szeregach „ruchu”, mieli z dnia na dzień się przestawić i podpisać świstek, że od dziś są

„zdenazyfikowani”. Niby jak to się miało dokonać?

Ale mnie zajmowało coś innego: wnuczek. Chciałam się dowiedzieć, co u niego słychać. Rozpytywałam wszędzie, i faktycznie, w całym tym rozgardiaszu udało mi się skombinować pocztówkę. Na przodzie widniał pudel z ogromną kokardą. Wiedziałam, że mały Roman, ujrawszy obrazek, będzie pisał z radości.

Wysłałam tę kartkę do Norymbergi i rychło dostałam odpowiedź od Liesl, ciotki Anneliese.

Norymberga, grudzień 1945

Szanowna Pani!

Wyobrażam sobie, że chciałaby się Pani dowiedzieć, co słychać u Pani wnuczka, zwłaszcza że to jedyny wnuk. Zważywszy, że nie potrafi on jeszcze mówić, a co dopiero pisać, z przyjemnością udzielę Pani informacji. Przysypanie gruzem sprawiło, że u Romka dają się poznać oznaki upośledzenia. Zasięgnęłam opinii lekarza. Twierdzi on, że występują u niego tzw. napady Jacksona. Wystawił dziecku zaświadczenie o 50-procentowym inwalidztwie wojennym. Rentę, która mu z tego tytułu przysługuje, Anneliese chce odkładać na osobnym koncie. Niestety Anneliese nie pokazuje się już od wielu tygodni. Dorastała u mnie, dlatego też znam ją jak zły szeląg: zawsze była uparciuchem i robiła to, na co miała ochotę.

Pomimo wszystko proszę się zbytnio nie martwić – jestem kobietą niezamężną i dlatego potrafię zadbać o chłopca. Swojego zawodu (jestem śpiewaczką operową) nie wykonuję już od lat. Moje mieszkanie, które na szczęście nie ucierpiało od bomb (Mögeldorf leży nieco z dala od centrum Norymbergii), wystarczy dla nas dwojga. Dzieciak jest uroczy i posłuszny ponad miarę. W przeciwieństwie do swojej matki.

Z pewnością zainteresuje Panią, że chłopiec – mimo lekkiego upośledzenia z powodu połowicznego paraliżu – postawił wczoraj pierwsze nieśmiałe kroki.

Pozdrawiam serdecznie

Liesl Schorr

Paraliż? Napady Jacksona? Odpisałam tej pani natychmiast. Chciałam się dowiedzieć, o jakim „upośledzeniu” mówi. Kiedy chłopiec przebywał u mnie, poruszał i rączkami, i nóżkami! Z biegiem czasu wywiązała się

korespondencja, która trwała przez kilka lat. Romuś miewał oznaki paraliżu i czasem sztywniały mu kończyny po prawej stronie. Tym „napadom” można było z biegiem czasu zaradzić za pomocą leków rozkurczowych. Moje obawy, że rana głowy mogła pociągnąć za sobą inne problemy, rozwiały się dwa lata później, kiedy dziecko zaczęło mówić. Pierwszym słowem, które wypowiedział, było „auto”. Nieco później składał już przejrzyste zdania. Kamień spadł mi z serca, że mój wnuczek wyszedł z tego bez szwanku, przynajmniej pod względem umysłowym.

Liesl Schorr opowiadała mi też o dzieciństwie Anneliese. Dziewczynka dorastała u niej, po tym jak jej ojciec przyprowadził ją „na chwilę” i „zapomniał” na wiele lat. W gruncie rzeczy Anneliese powtórzyła ze swoim dzieckiem to, czego sama zaznała. Brak miłości rodzi brak miłości.

Wracając do domu z prac przy odgruzowywaniu miasta, nie lubiłam patrzeć na siebie w lustrze. Miałam pięćdziesiąt parę lat, ale czułam się o wiele starszej. Nie miałam ochoty się malować. Na czole pojawiły się pierwsze zmarszczki od trosk, a moje oczy miały spojrzenie puste i zmęczone. Uważałam swój wygląd za tak smutny, że ostatecznie zdjęłam ze ściany lustro.

Pewnego wieczoru, kiedy Erna, tata i ja siedzieliśmy, grając w kanastę, ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzałam przez judasza i zobaczyłam jakiegoś obcego chudzielca.

– Czytać pan nie umie? – ofuknęłam go przez drzwi. – Zakaz wstępu dla żebraków i domokrażców. Jednak mężczyzna wypowiedział kilka magicznych słów:

– Pani May, przyszedłem z wiadomościami o Heli. Czy Romek jest w domu?

Obleciał mnie strach. W ciągu kilku chwil obcy siedział u naszego stołu. Wyjęłam *calvados* i podetknęłam mu pod nos kieliszek.

– Może najpierw się przedstawię – zaczął. – Nazywam się Miron Czarnecki. Razem z Romkiem chodziliśmy do gimnazjum Bergera w Poznaniu. Ale ostatnie lata spędziłem w Warszawie.

Miron Czarnecki. To nazwisko obilo mi się o uszy, nie wiedziałam tylko,

w jakim kontekście.

– Gdzie jest Hela? – zapytałam. – Dlaczego nie przyjechała razem z panem?

Mężczyzna duszkiem wypił alkohol. Dolałam mu. Potem tata i ja wbiliśmy w niego pytające spojrzenia.

– Nie żyje – powiedział wreszcie Miron.

Nie wiem dlaczego, ale nie wierzyłam w ani jedno jego słowo.

– Przyjechał pan specjalnie, żeby mi to przekazać?

– Nie. Uciekłem przed Rosjanami. Warszawa jest jedną wielką pustynią gruzu. Ruscy właśnie wzięli się za wytępianie polskich patriotów. Tego, kto wcześniej nie zdołał zbiec lub nie został zastrzelony, zabijają lub zamykają w obozie pracy.

– Skąd panu przyszło do głowy, że Hela nie żyje?

– Nie mogła przeżyć.

– A to niby czemu? Pan przecież żyje. Niechże pan się nie każe wyciągać na słówka.

– Mogę dostać kawałek chleba? – poprosił Miron ze spuszczoną głową. – Od dwóch dni nic porządnego nie jadłem.

Bez słowa wypakowałam parę drobiazgów. Pół bochenka erzacu chleba i trochę syropu buraczanego. Przez chwilę patrzyliśmy, jak mężczyzna przeżuwa jedzenie, aż wreszcie nie wytrzymałam.

– Niechże pan opowiada!

– Kiedyś wysłałem do pani syna kartkę. Pamięta pani?

– Możliwe.

– To było po tym, jak spotkałam w Warszawie Helę i Koko. Oboje współpracowali z Armią Krajową. Oczywiście jedno i drugie miało fałszywe dokumenty. W administracji miasta Warszawy roіło się od członków AK, którzy puszczali w obrót dostateczną ilość podrobionych papierów: zezwolenia na podróż, zaświadczenia o zatrudnieniu, niemieckie paszporty.

Ale i tak najlepsze szanse na przeżycie mieli ci, którzy harowali dla Niemców w jednym z ważnych pod względem wojennym zakładów, bo w przypadku łapanki nie można ich było wywieźć na przymusowe roboty. Dlatego załatwiłem Heli pracę w Wavermie. Koko nie chciał, miał już inne plany.

– Waverma? Co to takiego?

– Zjednoczone Zakłady Maszynowe. Produkowano w nich między innymi części do niemieckich UBootów.

– I Hela tam pracowała?

– Przynajmniej na papierze. Najczęściej podróżowała jako łączniczka dla AK.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Ponad rok temu. Hela pomagała przy ewakuacji kobiet i dzieci przed wybuchem powstania w lipcu 1944 roku. Zdążyła mi jeszcze opowiedzieć, że żona jej kuzyna, Zieme, i ich córki są bezpieczne. Chcieli wyjechać do znajomych w Ameryce. Hela nie miała dzieci, a więc pozostała w Warszawie, by przyłączyć się do powstańców.

– Czyli nie widział pan na własne oczy, że ją zastrzelono lub zraniono?

– Nie. Ale zginął nawet Koko. Został skazany i stracony przez swoich, bo w trakcie powstania przebywał w dzielnicy niemieckiej.

– Czy to powód, żeby kogoś stracić? – wtrącił się przerażony tato.

– AKowcy byli zdania, że Koko przekazał gestapo ważne informacje, żeby samemu przeżyć. Nawet jego żona myślała, że wystawiono mu sprawiedliwy rachunek za jego postępkę.

– A Hela? Ona też kogoś zdradziła? – nagabywałam go.

– Gdzieżby tam! – zachnął się Miron. – Woląaby raczej dać się zabić.

– To do niej podobne – skonstatowałam. – Taki sam zakuty łeb jak jej ojciec i dziadek.

Zapaliłam gauloisa, ignorując zebrzące spojrzenie Mirona. Papierosy były moją własnością.

- Czy pan się z nią przyjaźnił? – maglowałam go dalej. Miron spąsowiał.
 - Poprosiłem ją o rękę. Chciała trochę czasu do namysłu.
 - Czyli dała panu kosza?
 - Nie całkiem. Uważała tylko, że czas nie sprzyjał myśleniu o tych sprawach.
 - I miała rację – stwierdziła Erna, za którą żaden mężczyzna jeszcze się nie obejrzał.
 - Pozwoli pani, że zadam jedno pytanie – rzekł Miron z ociąganiem. – Jak potoczyły się losy Romka? Swego czasu nie odpisał na moją kartkę.
 - Poległ na froncie wschodnim – powiedziałam. – Spoczywa na cmentarzu w Rydze.
- Pomieszczenie wypełniła niezręczna cisza. W końcu odezwałam się:
- Co jeszcze wie pan o Heli?
- Miron bezradnie rozłożył ręce.
- Mogę tutaj przenocować? – zapytał nieśmiało.
 - Tak – zgodziłam się. – Na kanapie.
- W moim małym mieszkanku tłoczyły się teraz trzy osoby: Miron, tata i ja. Erna rzadko zostawała na noc. Wynajmowała pokój przy Otisstraße.
- Następnego dnia usiedliśmy do śniadania we troje. Do jedzenia były małe czerstwe kromki posmarowane cienko zamiennikiem marmolady i lurowata kawa.
- Co teraz? Co będzie potem? Na pewno szuka pan pracy. Wyuczył się pan jakiegoś zawodu? – wypytywałam Mirona.
 - Kiedy wybuchła wojna, kończyłem studia na Politechnice. Coś tam znajdę. Nie będę pani ciężarem.
 - Poszukiwani są mężczyźni do odgruzowywania – powiedziałam, myśląc zarazem: „Ale nie tacy, którzy wyglądają tak, jakby zaraz mieli paść na nos”.

– Co z pańską rodziną, Mironie? – zapytał tato.

– Niestety nie wiem, nie sędzę jednak, żeby żyli – odpowiedział.

Wspominałam już, że jestem osobą łagodnego serca. Byłam skora podkarmić trochę to chuchro. Ale powinien wykazać minimum wysiłku i opowiedzieć coś przydatnego.

– Hela mogła przynajmniej dać jakiś znak życia – nawiązałam do rozmowy z wczorajszego wieczoru.

– Skądże znowu – wzbraniał się przerażony Miron. – Naczelną zasadą działalności w podziemiu było niepozostawianie śladów. Żadnych listów, cenzurowano je. Telefonowanie też było śliską sprawą. Chcąc komuś przekazać wiadomość, korzystało się z usług kuriera. Kurierką była też Hela. Uczyla się wiadomości na pamięć i przekazywała je dalej.

– Nie musiała mi nic pisać o działalności w podziemiu. Wystarczyłaby linijka, choćby: „Mamuś, wszystko w porządku”.

– Ale nie było w porządku. Poza tym, o ile wiem, sprzeciwiała się pani wyjazdowi Heli do Warszawy i przyłączeniu się do ruchu oporu.

– Oczywiście! – powiedziałam dobitnie. – Rządzący przychodzą i odchodzą. I po co się mieszać w ich sprawy? To nikomu nie wychodzi na dobre.

Miron spojrział na mnie smutno.

– Gdyby przeszła pani przez to, co ja, zrozumiałaby mnie pani.

– Tak, tak – mruknełam, zanosząc talerze do zlewozmywaka. – W czasie wojny dzieją się straszne rzeczy. Jakby szalał orkan. Trzeba spróbować gdzieś się przycząić i przeżyć. Każda wichura kiedyś przechodzi.

– Pani May, z całym należnym szacunkiem. Nie mieliśmy możliwości przyczajenia się. Naziści wywlekali nas z mieszkań, urządzali łapanki i rozstrzeliwali na chybił trafił, kogo tylko udało im się znaleźć. Nie można się beczynninie przyglądać, kiedy dzieje się tyle niesprawiedliwości.

– Tylko czemu Hela narażała się na niebezpieczeństwo? Czemu nie zaszyla się w Strumianach i trzymała z dala od wszystkiego? – pytałam

Mirona.

– To proste: Strumiany zostały „odpolszczone”. Niemcy wyrzucili na bruk ciotkę Heli, Stefkę. Siali tam straszne spustoszenie. Najpierw powystrzelali gołębie, bo bali się, że mogą to być gołębie pocztowe. Następnie przetrząsnęli cały majątek w poszukiwaniu przydatnych rzeczy i osadzili w nim Niemca, który od tamtej pory tam mieszka.

– Kochana Stefka, biedaczka. Nie wie pan, gdzie teraz jest?

– Może znalazła gdzieś schronienie. Mogę pani zaręczyć: i tak najbezpieczniej było należeć do AK.

– To czemu pan mówi, że Hela nie żyje?

– Spośród bojowników AK, którzy zostali w Warszawie, nie przeżył żaden.

– Przecież była Niemką. Nie miała niemieckiego paszportu?

– Hela miała wiele paszportów – uśmiechnął się Miron. – I podobnie jak ja używała pseudonimu. Ja się nazywałem Piasek, a ona działała w AK jako Agentka Zoo. Jednak w czasie powstania na niewiele jej się to zdało. Powstanie było istnym piekłem.

– A jak pan się wydostał? – indagowałam go.

– Dopisało mi szczęście, bo już wcześniej przeniesiono mnie z Wavermy do Wrocławia. Ale Hela...

– Niechże pan przestanie z tymi złowieszczymi aluzjami. Nic pan nie wie – zgromiłam go.

– Co mam zrobić? – głos Mirona brzmiał rozpaczliwie. – W AK nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Obowiązywała zasada: kto niczego nie wie, niczego nie zdradzi. Wszak niejeden torturowany przez gestapo puszczał w końcu farbę.

Rwałam włosy z rozpaczy.

– Tak dalej się nie posuniemy. Wie pan przynajmniej, gdzie Hela ukrywała się w czasie wojny?

– Nie. Spotykaliśmy się tylko w Wavermie, nigdy u niej w domu. Miałam

tego serdecznie dość.

– A pan jak się przedostał z Warszawy do Berlina? Czyżby kolej wznowiła połączenia? – ironizowałam.

Tamte dni były pełne niepokoju. W trakcie robót byłam tak rozkojarzona, że raz o mały włos zabiłyby mnie spadające cegły. Nie mogłam oderwać myśli od Heli. Skąd brałam pewność, że moja córka żyje? Czy czepiałam się kurczowo ostatniej nadziei, bo stałam na skraju załamania nerwowego? A może powinnam posłuchać intuicji?

W przerwie obiadowej siedziałam obok swojej przyjaciółki pogrążona w milczeniu. Dała mi sójkę w bok:

– Margaretko, coś mi się ostatnio nie podobasz.

– Erno, ja chyba zwariowałam – powiedziałam. – Ale wiem, że Hela żyje.

– To jej szukaj – odparła Erna.

– Ale gdzie? W Warszawie? W Poznaniu? Przecież równie dobrze może leżeć w byle szpitalu albo tkwić w obozie dla jeńców wojennych.

– Nie sądzisz, że gdyby Hela żyła, już dawno dałaby znak? – spytała Erna.
– Zafiksowałaś się na tym. Przecież Miron mówił, że Hela nie żyje.

– Ach, Miron – machnęłam ręką. – Ten to nic nie wie. Myślę, że szukał tylko miejsca, gdzie może mieszkać.

Jeszcze dłuższy czas wałkowałyśmy ten temat. Potem jednak zaabsorbowała nas codzienna walka o byt. Praca, stanie w kolejce po żywność, spanie.

Pewnego wieczoru znowu wracałam skonana do domu, wlokąc się w górę na trzecie piętro. Nie spieszyło mi się, bo wiedziałam, że nikt na mnie nie czeka. Tata pojechał z wizytą do kolegi, Miron zaś zgodził się na pomocnika budowlanego w Poczdamie, gdzie też spędzał noce.

Kiedy dotarłam na górę, zauważyłam, że pod drzwiami coś leży. Słabe oświetlenie u sufitu nie pozwoliło mi rozpoznać, co to było. Przyspieszyłam kroku na schodach i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Była to blondynka, malutka i wychudzona, skulona tak, że bez trudu przecisnęłaby

się przez szparę w drzwiach.

– Hela! – wykrzyknęłam.

W oczekiwaniu na mój powrót musiała zasnąć. Poglaskałam ją po policzku. Jej oczy uchyliły się nieco.

– Grete – wymamrotała zaspanym głosem.

– Ty żyjesz – uradowałam się. – To najpiękniejszy dzień w moim życiu!

Kiedy widziałam Helę po raz ostatni, miała taką samą figurę jak ja: była mała i krągła. Teraz została z niej sama skóra i kości. Cień samej siebie.

– Helu, musisz mi opowiedzieć o swoich przeżyciach! Tyle czasu upłynęło, odkąd się ostatnio widziałyśmy – paplałam, wyciągając z szafek wszystko, co nadawałoby się do zjedzenia. – Wystaw sobie, że był tutaj Miron Czarnecki. Usiłował mi wmówić, że na pewno nie żyjesz.

– Ma rację. Właściwie powinnam być trupem – rzekła Hela.

– Co masz na myśli?

– Nic takiego – zbagatelizowała.

– Najpierw się posil, a potem opowiadaj. Jak tu dotarłaś? Roznosi mnie z ciekawości.

– Szłam na piechotę. Na szczęście jacyś amerykańscy żołnierze wzięli mnie potem na skrzynię ciężarówki.

– To Amerykanie byli w Warszawie?

– Nie, Grete. W Warszawie nie byłam od ubiegłego lata. Ostatni miesiąc spędziłam w Oberlangen. Stamtąd przybyłam do Berlina, do ciebie. Oberlangen leży w pobliżu Bremy, niedaleko holenderskiej granicy.

Przeszkadzał mi jej wyniosły ton. Zawsze mi zresztą przeszkadzał.

– Czemu tam? Czemu się u mnie nie pokazałaś? Berlin leży po drodze.

Hela popatrzyła na mnie wzrokiem wypranym z emocji. Wyglądała na zmęczoną.

– Grete, byłam żołnierką w powstaniu warszawskim, w szeregach Armii

Krajowej. Niemcy wzięli nas do niewoli. Po kapitulacji AK kazali kobietom maszerować na zachód. Jak któraś nie mogła iść dalej, rozstrzelano ją. Miałam na nogach miękkie skórzane buty, dlatego odciski były w miarę znośne. Niektóre jednak... Zresztą szkoda słów. Po kilku miesiącach w BergenBelsen cała zabawa od nowa. Niemcy postanowili, że dla odmiany będą nas głodzić w Oberlangen, i znowu ruszyliśmy w niekończący się marsz.

– Coś tam słyszałam o BergenBelsen. Czyli że byłaś w jednym z tych obozów pracy?

– Tak, niektóre kobiety pracowały, jeśli można to tak nazwać. Naziści mieli tam fabrykę materiałów wybuchowych. Jednak wytrwale wzbraniałyśmy się przed pracą dla Niemców. Naruszyłybyśmy konwencję genewską. Byłyśmy żołnierzkami.

– Biegałaś więc z bronią w ręku i zabijałaś ludzi?

– Że niby ja? Ja byłam łączniczką, a moją bronią – dyskrecja.

– To dobrze. Nie musiałaś brać na siebie winy.

Hela patrzyła przed siebie ponuro. Najwyraźniej przez cały czas mówiłam lub pytałam nie o to, co trzeba.

– Wyglądasz bardzo chudziutko, dziecko. Kiedy jadłaś ostatnio coś porządnego? – przerwałam ciszę.

– Sama nie wiem. Dostawałyśmy jakąś cienką zalewajkę. Mój żołądek nie toleruje nic innego.

– Mam tylko parę kartofli i trochę mleka skondensowanego. Wiesz, że jeszcze niedawno było nas troje: tata, Miron i ja, no i jeszcze Erna?

Hela wbiła spojrzenie w ziemię.

– Co jest między tobą i tym Mironem?

– Nic.

– Wydaje mi się, że ci się oświadczył.

– Grete, ożenek i dzieci to ostatnie rzeczy, o jakich myślę.

– Dlaczego? Masz 33 lata, powoli powinnaś zacząć zastanawiać się nad takimi sprawami. Kobieta nie ma czasu na zawsze. Kto wie, czy kiedyś jeszcze jakiś mężczyzna...

– Przestań! – przerwała mi Hela z krzykiem. – W życiu są jeszcze inne rzeczy niż rodzenie dzieci. Nie wiem zresztą, czy w ogóle mogę mieć dzieci.

– Co znowu?

Hela poczerwieniała.

– Nie pamiętam, kiedy miałam ostatnią niedyspozycję.

– To przez wygłodzenie. Jesteś chuda jak patyk.

– Nie, nie sędzę. W obozie Oberlangen wszyscy głodowali, a mimo wszystko dziesięć kobiet urodziło tam dzieci, w najgorszych z możliwych warunkach. W brudzie i nędzy. Robiliśmy na nie zrzutkę. Która tylko mogła, odrywała kawałek materiału z odzieży, żeby pędraki miały przynajmniej coś na kształt pieluszek.

– Tak. Ale, Helu, teraz wojna już minęła.

– A co ty tam wiesz? Walka się jeszcze nie skończyła. Polska nie jest wolna. Wujek Cyl nie żyje, a nasza fabryka, Bóg jeden wie, czy stoi. A gdzie jest Romek?

Wciąż jeszcze z trudem przychodziło mi o tym mówić. Dlatego też wyjęłam z sekretarzyka list od kapelana polowego i podałam go Heli. Przeczytała go, nie zmieniając nawet miny.

– A więc on też – powiedziała tylko.

Bez śladu żalu za bratem, bez wyrazu emocjonalnego poruszenia. Jak obce mogą się stać własne dzieci?

– Co teraz zamierzasz? – zapytałam.

– Chcę wrócić do Poznania, Grete. Zobaczę, co się ostało.

I tak też było. Hela wróciła do Poznania. Nigdy nie dowiedziałam się od niej, jakie cierpienia znosiła, czy kogoś uratowała, jakie wiadomości przekazała. Nigdy nie chciała o tym rozmawiać. Chciała o wszystkim zapomnieć i patrzeć w przyszłość. Wszyscy byliśmy tacy po wojnie.

Głodowaliśmy i przeżyliśmy mimo strachu. Nie mieliśmy najmniejszej ochoty zastanawiać się nad tym wszystkim.

Straciłam Helę, tak jak straciłam wszystko, co miało w moim życiu jakiegokolwiek znaczenie.

Hela w rękach teściowej, Hela za żelazną kurtyną. Co za różnica? Właściwie przez całe życie była daleko ode mnie i była mi obca.

Po opanowaniu Polski przez Rosjan nie było już tak łatwo wyjechać z tak zwanego bloku wschodniego. Musiałam wysłać Heli oficjalne zaproszenie. Musiałam też zwrócić się z pisemnym oświadczeniem do rządu w Berlinie, że w trakcie pobytu córki pokryję wszelkie koszty związane z mieszkaniem, wyżywieniem, opieką medyczną, a nawet podróżą powrotną. Sama Hela potrzebowała pozwolenia na wyjazd wydawanego przez władze polskie.

Ale nigdy nie przyjechała. Mijały lata. Pisywałyśmy do siebie listy o błażej treści. Zataiła przed Rosjanami, jak wielką patriotką była w czasie wojny. Świetnie umiała grać głupiutką blondynkę. W konspiracji zapewne nauczyła się udawać osobę niezorientowaną, niepolityczną. Była mistrzynią w narzekaniu, jak źle jej się powodziło. Byle tylko nie wzbudzić zawiści u rozmówcy. Woląла wyolbrzymiać do granic możliwości zło, które ją spotkało.

Hela nie mogła już sobie pozwolić na snobizm. Tyle zrozumiała: w nowym porządku społecznym w Polsce potępiano zamożnych. Robotnicy i chłopcy byli cennymi elementami społeczeństwa. Burżuazja? To tylko czereda dawnych krwiopijców. Nicponie, których należało uciskać. Własność prywatną znacjonalizowano, możliwość studiowania była raczej wyjątkiem niż regułą.

Wtopiła się w otoczenie. Nie nosiła już biżuterii, przestała grać w tenisa i okraszać swoje wypowiedzi francuskimi wyrażeniami. Ubierała się ubożuchno i prezentowała skromnie. Od nowa podjęła pracę na stanowisku księgowej w zakładach Mayów. Kiedy dzieło życia jej przodków przeszło w ręce państwa, a funkcjonariusze partyjni nieudolnie nim zarządzali, Hela się nie burzyła. W taki sposób miała święty spokój. Co więcej, dostała z powrotem swój dom w kolonii PZNF w Luboniu. Dom z widokiem na pomnik dziadka, doktora Romana Maya, który nie mógł już być bohaterem, bo uchodził za kapitalistę. Któregoś dnia strącono z postumentu jego

popiersie i oblano je kwasem. Kolumna, z której ojciec założyciel spoglądał kiedyś tak dumnie, została roztrzaskana na drobne kawałki. Podobno nikt niczego nie zauważył. Na komisariacie milicji Hela usłyszała:

– Czego pani chce? Ten pomnik i tak nie wpisuje się w nowe czasy. Mężczyźni tacy jak pani dziadek są winni wyzysku proletariatu.

Ale czy tym się kłopotowała Hela? Odnosiłam wrażenie, że nie miała już ochoty emocjonować się jakąkolwiek ideologią. Mieszkała w domu z pięknym ogrodem, w którym mogła hodować truskawki i róże. Łowiła ryby, spotykała się z przyjaciółkami, pijała herbatki. Z rzadka pisywała do mnie jakiś list, a jeśli już – opowiadała o drobiazgach. Nieustannie podkreślała, że wie dzie jej się dobrze. Ze szczegółami opisywała pogodę, kwiaty, przyjaciółki. Donosiła o zakrapianych wódką wesołych wieczorkach spędzanych na grze w kanastę i remika u tych nielicznych krewnych, którzy przeżyli.

W końcu jednak wyszła za męża. Nie zaprosiła mnie na wesele. Stefka, moja stara sojuszniczka, zrelacjonowała mi wszystko, co należało wiedzieć o wybranku Heli. Nazywał się Konrad Sroka, był adwokatem, nie wykonywał jednak zawodu. Był starszy od Heli o sześć lat i miał mocno przerzedzone włosy. Odkąd się z nim związała, skończyły się wesołe wieczorki z krewnymi. Konrad nie był towarzyski. O ile w ogóle ktoś się dla niego liczył, była to własna rodzina.

Zbyt późno dowiedziałam się, że Hela cierpiała na straszną chorobę. W 1983 roku otrzymałam list, którego sama nie napisała. Poznałam od razu po piśmie i po kiepskiej niemczyźnie.

Droga Teściowo!

Hela nie może sama do pani napisać, bo ma z rękami problemy. Lekarze mówią, to polyarthrititis rheumatoidea. To można przełożyć jako chyba artretyzm. Ma silne bóle, niedobrze się czuje.

Pozdrawiam

Konrad Sroka

PS Na pewno Pani widziała w telewizji, co u nas w Polsce się dzieje i że nie ma co kupić. Jak więc ma Pani możliwość, to chciałbym prosić o rzeczy: kawa, czekolada,

pończochy dla Heli i jeszcze zastrzyki ze złota na bóle stawów Heli (lekarz będzie wiedział, jak nazywają).

Oczywiście. Mieszkałam w końcu w Berlinie Zachodnim, czyli z perspektywy Polaków na „złotym Zachodzie”. Nie mogli wiedzieć, że mam skąpą wdowią rentę i że każdy miesiąc był walką o przetrwanie.

Załatwiłam receptę od reumatologa i odejmowałam sobie od ust, żeby kupić zastrzyki ze złotem. W końcu skompletowałam paczkę razem z dużą ilością czekolady i kawy i wysłałam ją do Polski. Niestety moje dary nie zdążyły dotrzeć do Heli. Moja córka zmarła w 1983 roku, zdaniem jej męża reumatyzm zajął organy wewnętrzne. Pogrzeb odbył się beze mnie – w Luboniu pod Poznaniem, w kręgu najbliższych.

Miałam córkę. Żyła beze mnie i beze mnie umarła. Dlaczego właśnie ta strata była w moim życiu najbardziej dotkliwa? Może dlatego, że nigdy nie udało nam się być dla siebie kimś więcej niż przypadkowymi krewnymi.

Straciłam Helę już w 1918 roku, kiedy podjęłam decyzję o wyjeździe z Poznania. Kiedy postanowiłam, że u Heleny będzie miała lepiej niż u mnie, swojej matki, która była nikiem, zwyczajną córką prokurenta z przedmieść Berlina. Doszłam do wniosku, że nie będę mogła dać Heli, blond dziewczynce, którą wtedy była, dostatecznie dużo, by ją do siebie przywiązać. Chciałam, żeby dorastała w warunkach o niebo lepszych niż ja. Pławiąc się w bogactwie i luksusie, nosząc nazwisko, które ludzie z jej otoczenia wymawiali z podziwem. Obracając się w kręgach arystokratów i wielkich przemysłowców. Skąd miałam wiedzieć, że cały ten dobrobyt legnie w gruzach, zanim Hela skończy 18 lat? Że nastanie światowy kryzys i wybuchnie kolejna wojna światowa, która zniszczy wszystko. Dziś, po wielu gorzkich doświadczeniach, wiem już, że decyzja o pozostawieniu dzieci była zupełnie pozbawiona sensu.

Straciłam Helę, kiedy zdecydowałam się na opcję Rzeszy Niemieckiej, a ona mimo wszystko postanowiła, że zostanie Polką. A może straciłam ją, bo miała wrażenie, że faworyzuję jej brata? Matki muszą kochać swoje dzieci tak samo, nawet jeśli sprawiają im one czasem kłopoty. Często wadziłam się ze sobą. Czy kochałam Romka więcej niż Helę? Na dobrą sprawę to nie ja wybrałam go na swojego ulubieńca. Było na odwrót, Romek wybrał swoją

matkę. Hela opowiedziała się za dobrobytem. Potem za swoją niezależnością.

Nigdy nie chciała się dowiedzieć, jak wyglądała cała sytuacja. Mogę jedynie przypuszczać, że poczuła się porzucona, gdy była jeszcze małą dziewczynką, wrażliwą i potrzebującą oparcia. Później duma nie pozwoliła jej na bliskość. Udawała radosną i nieskomplikowaną, grzebiąc zarazem głęboko pragnienie poczucia bezpieczeństwa. Tak głęboko, że być może nigdy go już nie odnalazła. Tylko z rzadka uświadamiała sobie istnienie okaleczeń doznanych w dzieciństwie. Na przykład w 1930 roku, kiedy przeżyła największy zawód miłosny, kiedy rany, które powstały, gdy ją opuściłam, na nowo się otwały. Kiedy przemożny stał się strach, że nie jest kochana, ponieważ mężczyzna, którego ubóstwiała, nawet jej nie dostrzegął. Wtedy zaczęła mówić na mnie Grete. Grete, a nie Gosia, nie mamuś. Tylko Grete. Jakbym była daleką znajomą. Nigdy nie skierowała pod moim adresem zarzutu, nigdy nie usłyszałam od niej: „Źle mi, mamó”. Ani słowa o wojnie, o okupacji. Wołała zażartować.

Straciłam Helę, bo nie mówiła w moim języku, ani słowami, ani gestami. Straciłam ją, bo podobnie jak jej ojciec wyruszyła na wojnę, aby czegoś sobie dowieść. I dlatego że jej nie podziwiałam ani nie rozumiałam.

Jak można żyć, kiedy popełniło się w życiu tyle błędów co ja? Jak przegnać tyle czarnych myśli? Mam takie oto rozwiązanie: wzbraniam się przed dostrzeganiem mrocznych i posępnych stron życia.

I właśnie dlatego cieszę się z każdego dnia, w którym mogę jeszcze otworzyć oczy, chociaż drobne uciążliwości podeszłego wieku uniemożliwiają wykonywanie coraz większej liczby czynności. Chociaż oczy i uszy stopniowo odmawiają posłuszeństwa. Czemu czepiam się tak kurczowo życia? Przecież większość dni spędzam w domu, bo przerażają mnie te trzy piętra, które trzeba pokonać. Bo zima ze swoją gołoledzią i lato ze swoim skwarem są zbyt męczące. Bo po przejściu trzech przecznic zbyt szybko opadam z sił, by dalej spacerować.

Na ścianie w moim mieszkaniu wisi wiersz. Ktoś mi go wpisał do sztambucha. Autorem jest Heinrich Zille.

Kiedy los ci łupnia da,

Łzy nie wylej nad tą sprawą!

Na gałęzi siądź raz-dwa

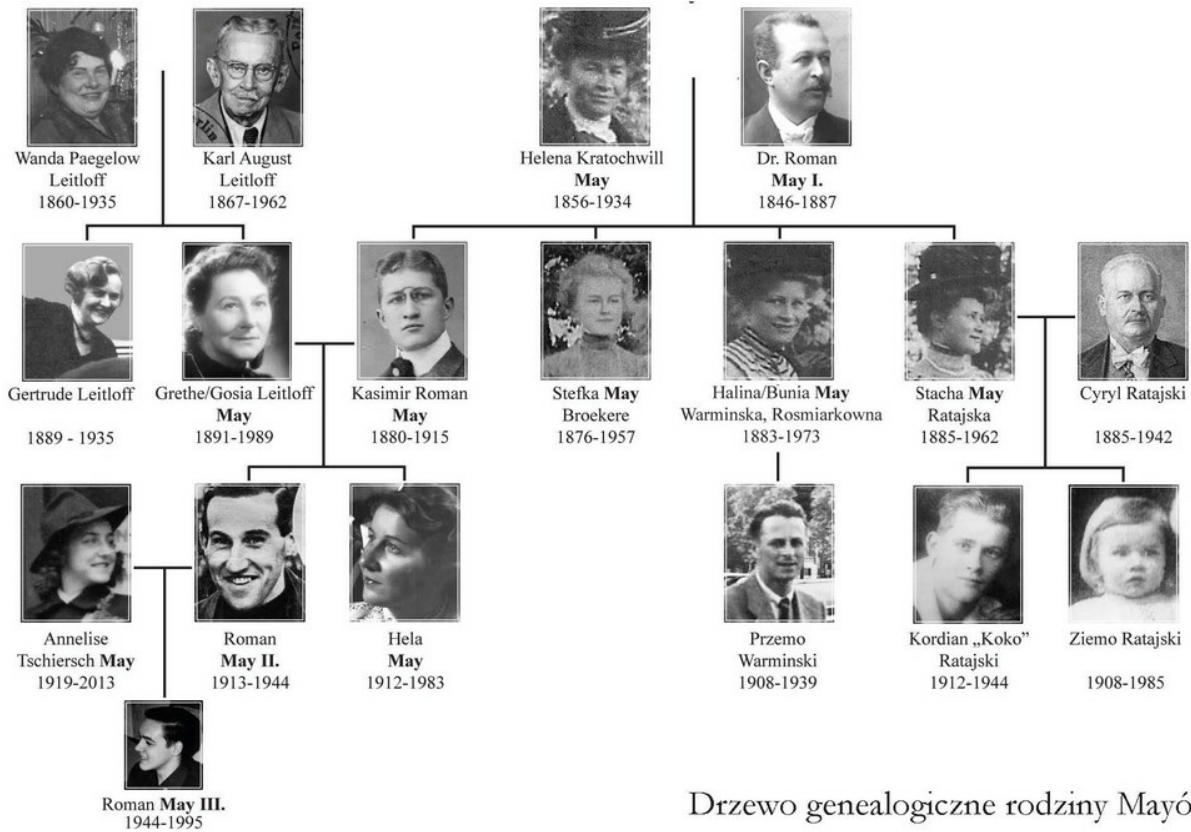
I nogami machaj żwawo.

Droga memu sercu przyjaciółka Erna, która w głębi pokoju nakrywa do podwieczorku, podczas kiedy piszę te słowa, zerka na mnie znad ramienia.

– Co za głupie wierszydło – stwierdza. – Mimo przeciwności losu mam siedzieć na jakiejś gałęzi i wymachiwać nogami? To niemożliwe. Jak tego dokonać, Pips?

Pips, tak nazywa mnie Erna, kiedy uważa, że zachowuję się szczególnie dziecinnie. A ja się do niej uśmiecham i myślę, że wszystko jakoś się układa, kiedy człowiek tylko chce.

– Co ty na to, że wyjdziemy na świeże powietrze? Może skusimy się na torcik szwarcwaldzki albo ptifurki, albo na kawę i likier jajeczny? Mogłybyśmy wywieźć ten nowy fotel na kółkach, ty i ja, i ogrzać nasze stare grzbiety na słońcu. Potem zadzwonię do mojego wnuka, Romana III. Zobaczymy, co mu życie przyniosło. Wyobraź sobie, że chce mnie odwiedzić z żoną i dwiema prawnuczkami! Szkoda, że Norymberga jest tak daleko. A zresztą, co mi tam. I tak cieszę się jak głupia, że niedługo znów go zobaczę.



Drzewo genealogiczne rodziny Mayów

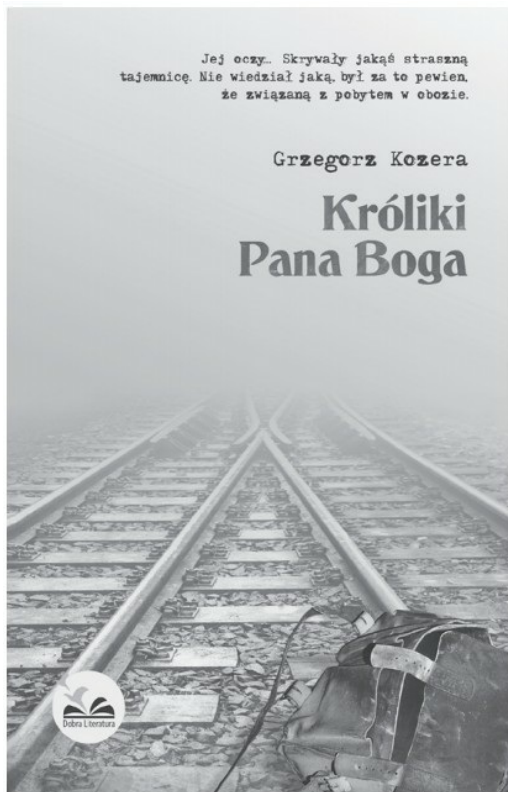
Nota biograficzna

Iris May jest dziennikarką, żoną i matką trójki dzieci. Studiowała literaturoznawstwo, dziennikarstwo i psychologię w Bambergu.



Berlin, późne lato

Grzegorz Kozera Historia o miłości teoretycznie niemożliwej, między dwojgiem ludzi, których dzieli wszystko. Opowieść o trudnych decyzjach i ich konsekwencjach, poświęceniu, zaufaniu i bezsilności jednostki wobec totalitaryzmu.



Króliki Pana Boga

Grzegorz Kozera
Maj 1945. Adam, Halina i Honza – rozbitkowie, którzy ocaleli z wojennej hekatombi – próbują wrócić do Polski. Niemcy skapitulowały, lecz wojna tak naprawdę się nie skończyła, a świat poukładanych wartości dawno runął. Bohaterowie niejednokrotnie przekonają się o tym podczas swojej wędrówki. „Króliki Pana Boga” są nawiązaniem do cenionej powieści Grzegorza Kozery „Berlin, późne lato”, która ukazała się w 2013 r.



**Dobra Literatura – wydawnictwo
i księgarnia internetowa**

Literatura oparta na faktach, beletrystyka, publicystyka popularnonaukowa.

Znajdziecie u nas książki, które warto przeczytać,

które inspirują i dają do myślenia,

pozostawiając po sobie cenne ślady.

Zapraszamy do wspólnej wędrówki!

www.dobraliteratura.pl

książki wywołujące burzę emocji

Przypisy

W książce znalazły swe odbicie, oprócz listów, zdjęć i relacji ustnych, wrażenia z lektury następujących źródeł:

Szarota Tomasz, *Warschau unter dem Hakenkreuz*, Schöningh, Paderborn 1985.

Kleßmann Christoph (red.), *September 1939. Krieg, Besatzung, Widerstand in Polen*. Vandenhoeck & Ruprecht, Göttingen 1989.

DHM Berlin, *Deutsche und Polen. Abgründe und Hoffnungen, Sandstein Kommunikation*, Dresden 2009 (wystawa i album towarzyszący).

Warsaw Rising Museum (red.), *Brok. Eugeniusz Lokajski (1908–1944). A Reporter*, Warsaw 2007.

Davies Norman, *God's Playground. A History of Poland*, t. II: 1795 to Present, Columbia University Press 2005.

www.1944.pl

[1] Zgodnie z konwencją haską użycie amunicji o wierzchołku pozbawionym płaszcza, np. kul dumdum, było od 1907 r. w Rzeszy Niemieckiej zakazane ze względu na niepotrzebne cierpienia, jakich doznawały ofiary.

[2] Adolf Hitler, *Mein Kampf*, München 1926, t. II.

[3] W 1933 r. w Berlinie żyło 170 tys. Żydów, spośród których zaledwie 6,5 tys. przeżyło Holocaust, por. www.berlinjudentum.de.

[4] Berliner Schlittschuhclub, który założono w 1893 r., popadł niedawno w ogromne tarapaty finansowe. Pomimo to jego zawodnicy i zawodniczki wciąż jeszcze zdobywają rekordową liczbę tytułów mistrzowskich.

[5] Pakt PiłsudskiHitler z 26 stycznia 1934 r., zawarty na dziesięć lat, zakładał, że wszelkie kwestie sporne pomiędzy obydwoma państwami będą rozwiązywane na drodze pokojowej. 28 kwietnia 1939 r. Niemcy jednostronnie zerwały to porozumienie.

[6] Obszar Polski znajdujący się pod wojskową okupacją niemiecką w latach 1939–1945, którego nie wcielono do terytorium Rzeszy.

[7] Nie należy go mylić z innym Oswaldem Pohlem, SSObergruppenführerem i

kierownikiem Głównego Urzędu Gospodarki i Administracji SS (WVHA).

[8] Obecnie Dobiegniew.

[9] Por. E. Thomas Wood, Stanisław M. Jankowski, Jan Karski. *Einer gegen den Holocaust*, Bleicher, Stuttgart 1997.

[10] W Gubinie zlokalizowane były obozy pracy przymusowej spółek RheinmetallBorsig oraz C. Lorenz.

[11] Adolf Hitler przemawiający 22 sierpnia 1939 r. przed generalicją Wehrmachtu.

[12] W 1928 r. Fin zdobył złoty medal olimpijski jako najstarszy panczenista w historii. Miał wtedy 34 lata.

[13] *Chorbuch für Front und Heimat: Kameradschaft im Lied*, Berlin 1944 (słowa napisał porucznik Kurt Wiehle w 1935 r. z okazji utworzenia oddziałów wojsk pancernych).

[14] Cipe Gutmanis – bolszewicki oficer w Urzędzie Przesiedleńczym, odpowiedzialny za cierpienia wielu Łotyszów.

[15] Cyt. za: Franz Kurowski, *Todeskessel Kurland. Kampf und Untergang der Heeresgruppe Nord 1944/1945*, Dörfler, EggolsheimBammersdorf 2007, s. 23.

[16] *Deutsch-russisches Soldatenwörterbuch*, Verlag Mitter & Sohn, Berlin 1942.

¹ Tygodnik wydawany w latach 1894–1945 w Berlinie i poświęcony głównie bieżącym doniesieniom. Do jego ogromnej popularności przyczyniła się m.in. nowatorska jak na ówczesne czasy szata graficzna (dużoformatowe zdjęcie na okładce i liczne fotografie w środku numeru). Dzięki bardzo przystępnej cenie był łatwo osiągalny także dla proletariatu. [Wszystkie przypisy oznaczone cyfrą w indeksie górnym pochodzą od tłumacza. Objasnienia przypisów z numeracją w nawiasach kwadratowych znajdują się na końcu książki].

² *Stachel* (niem.) – kolec, cierń.

³ Ilustrowany tygodnik wydawany w Wiedniu w latach 1888–1918 i poświęcony głównie życiu arystokracji oraz nowinkom ze świata kultury, mody i sportu.

⁴ Potocznie używany skrót nazwy Kurfürstendamm, reprezentacyjnego bulwaru w zachodniej części Berlina.

⁵ *Volksempfänger* (niem.) – radioodbiornik produkowany w latach 30. XX w. na masową skalę i sprzedawany po stosunkowo niskiej cenie. Był jednym z ważniejszych narzędzi propagandy nazistowskiej.

⁶ *Unabkömmlich für den Kriegsdienst* (niem.).

⁷ – osoby pochodzenia niemieckiego żyjące poza granicami Rzeszy i nieposiadające niemieckiego obywatelstwa; *reichsdeutsch* – potoczne określenie osób narodowości niemieckiej żyjących na terenie Rzeszy w latach 1871–1945; *auslandsdeutsch* – obywatele

niemieccy żyjący czasowo lub na stałe poza granicami Niemiec.

⁸ Dosł. „obserwator ludowy”, organ prasowy NSDAP.

⁹ Dosł. trupia czaszka; 3. Dywizja Pancerna WaffenSS, która walczyła na froncie wschodnim, dopuszczając się wielu zbrodni przeciw ludności cywilnej.

¹⁰ Oddziały wojskowe sformowane na zasadzie pospolitego ruszenia i użyte przez Niemcy hitlerowskie pod sam koniec wojny.

¹¹ Dosł. „kobiety ruin”.